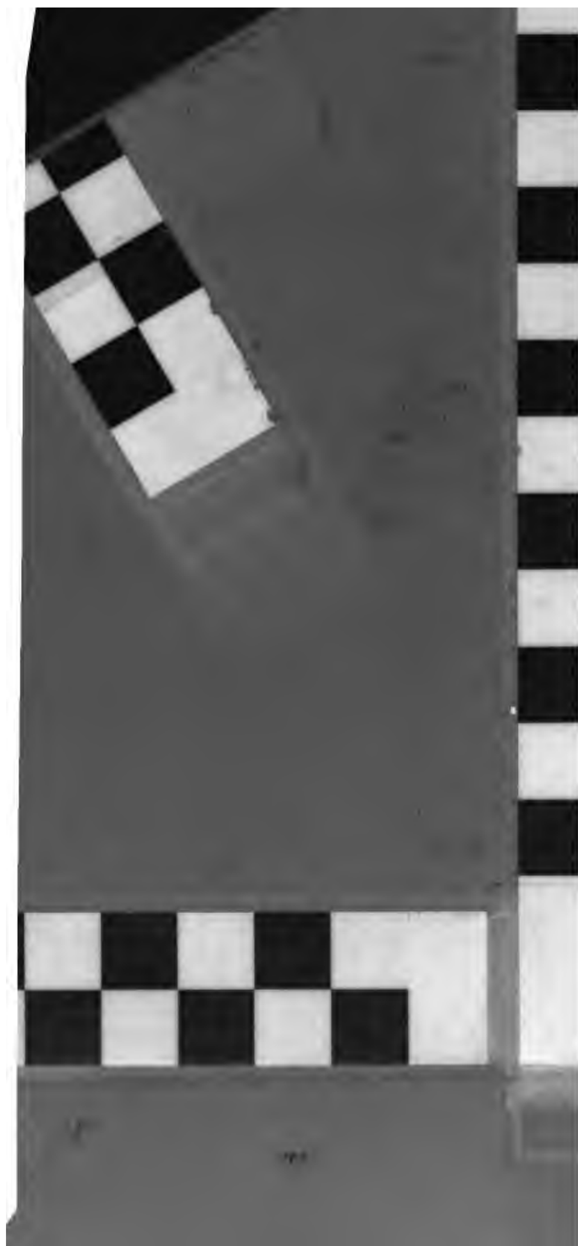





STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

OBRAZY LITEWSKIE.

SERYA PIĄTA.

Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

Jan Kochanowski.

OBRAZY
LITEWSKIE

przez

Ignacego Chodźkę.

Serya Piąta.

DWORKI NA ANTOKOLU.

Wydanie czwarte poprawne.

Dwa Tomy w Jednym.



WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1876.

Дозволено Цензурою 10 Ноября 1875 года.—
Вильна.

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
(Замковый переулокъ, N. 149).

I.

Znikły już z ulic i nazwań miastowych *Dworki*, któremi niedawno przedmieścia miast większych, i niektóre mniejsze miasteczka gęsto zabudowano. Były to zwykle mierniejszej szlachty na starość schronienia, i jej cnót i obyczajów przybytki.

Stare małżeństwa zdawszy gospodarkę dzieciom, skupowały sobie *dworki* w mieście, i spokojnie przy chwale Boskiej pędziły wiek podeszły; karmiąc najczęściej jeszcze, i opatrując wnuków, chodzących tamże do szkoły.

Nie jedna ciepła i podstarzała wdówka, dostawszy od nieboszczyczka męża, dworek na Antokolu, czy pod Zielonym mostem na dożywocie; uciekła doń z gotówką od pasierzbów, wychowując także przy sobie, ze dwie siostrzeniczki lub synowiczki, z któremi nie opuszczała festów w każdym kościele, i dla których gdy podrosły i wyładniały, sprawując wieczorynki i wabiąc *Mościpanów*, sama podróżowawszy się trochę, młodsze swoje przypominała latka.

Niekiedy osiadł we *dworku*, marcowy podsiwiały kawaler, bywalec na świecie, *wędżega* spekulant, z niewielkim zapasikiem grosza; i mały, przekupny, drzewem, zbożem, miodkiem, i wszelkiemi wiktuałami prowadząc handelek, nie pracowity a swobodny wiódł żywot.

W miasteczkach pańskich, przyległych zwykle wspaniałym zamkom i pałacom, *dworki* zamieszkane bywały przez wysłużonych *gracyalistów*, żyjących z ordynaryów dożywotnich i modlących się do Boga za swych *benefaktorów* i chlebodawców.

W miasteczkach zaś sądowniczych, prześwietna palestra budowała sobie dworki, i w nich bywał kantor jurystowskich *konsyliów* i statutowych *sentencyj*, z tą różnicą w ich położeniu: że gdy tu obok dworku Pana *viceregenta* lub *adwokata*, stał często brudny szynkowy dom żydowski, w miastach większych *dworek* szlachecki, nie zniosłby tego uwłaczającego sobie sąsiedztwa, i takim lub owakim sposobem wykurzony żyd, uciekaćby musiał między swych jednowierców.

Dworki miejskie i ich gospodarze, mieli swoje jakby attynencye i śpiżarnie na wsi: krewny, przyjaciel, sąsiad dawny, xiądz Proboszcz parafii w której się piérwej mieszkało, lub jego komendarz, przyjeżdżając do miasta za interessami, nie frasował się bynajmniej o wikt i kwaterę. Zajeżdżał śmiało do *dworku* swych życzliwych, jak do własnego; a oddawszy do śpiżarni Imości baryłeczkę staruszki, i inne zapasy przywiezione, pewnym był smacznego barszczu, pieczeni, i jakiegokolwiek jeszcze miejskiego specyału, którym miłego gościa uprzejma gosposia częstowała. Mieścił się zaś jak mógł, bo wzgląd na wygodę, nie był jako dziś, na szczególniejszej uwadze, a poczciwa drużba i uprzejmość wzajemna, nagradzała niedogodność lokaty.

Wśród miastowego zgiełku, *dworki* wiązały się w osobne towarzystwa: jednostajność wieku i trybu życia mieszkańców, *konfraternia* w bractwach, wspólne obchodzenie festów i uroczystości; a nadewszystko wzajemny szacunek szlachectwa, a ztąd

wzajemny *affekt* i *respekt*, spokrewniały ich mieszkańców, i rozlewały pokój i zgodę na tę maleńką rzeczpospolitę, złożoną z Panów Skarbników, Podczaszych, Derewniczych, Mostowniczych, a w rodzaju żeńskim Podczastaneczek, Skarbnikówien, i t. p. piastujących te honory *per viam haereditatis* od trzeciego częstokroć pokolenia!.. Jeżeli zaś i wmięszał się między nich jaki woźny emeryt; jako szlachcic, miał wprawdzie uczęstnictwo w tém poważném gronie, lecz przybierał tytuł *Generała*, nie ubliżający ich dostojnemu kolężeństwu.

Ktoby chciał widzieć razem wszystkich tych zacnych jegomościów, niechby się udał do najbliższego ich rezydencyi kościoła, na piérwszą mszę ranną; znalazłby całą ławkę, przed którymkolwiek uprzywilejowanym ołtarzem przez nich zajętą, mógłby z niemi razem zmówić rożaniec, i przypatrzyć się tym poczciwym obliczom, których czerstwość i gracki rumieniec, zadawał omyłkę małej czuprynie siwych włosów, na wierzchu wygolonej głowy, jakby na datę ich wieku zostawionej; i na których prosta i prawdziwa pobożność, w serdecznych modłach, i w oczach ku świętej ofierze wzniesionych, pałała.

Ktoby zaś chciał widzieć same Imoście, ciotulki i babulki, z assystencyą siostrzeniczek i wnuczek, miałby się wybrać na wotywę, i opuściwszy piérwsze, zlustrować drugie i trzecie ławki; spójrzeć jak zajmując rubrontami szerokie w nich miejsca, i wrzekomo modląc się gorliwie z xiążek, poważne matrony nie spuszczały jednak z oka swych drobniejszych krewniaczek, a śledząc za ich oczkami, często nieostróżnie ukradkiem, na bok rzucanemi, przerywały swoje *modlimy się*, gorzką panienkom przymówką:— »Gdzie waspanna zirkasz, czy to obrazek w tej węgierce?«

Zachowajmy tu jeszcze i topograficzne opisanie dworków: w Wilnie kamienice wzrosły na ich miejscach, albo jeżeli gdzie został który w zakątku, to przystrojony firankami w nizkich swych okienkach, a upstrzony wewnątrz, z poczciwego jakby szlachcica, został ladajakim paniczem. Stara zaś generacya mieszkańców jego wywlekając się powoli na cmentarze, nowym ścianom i nowym dziedzicom, pozazdrościła bodaj dawnej swej prostoty obyczajów i przymiotów, i do grobu je z sobą zaniosła.

Dworek więc zwykle w głębi dziedzińca zbudowany, miał naprzód sień wielką; w niej magle, pod wschodami prowadzącemi na porządne i zamczyste poddasze. Od sieni na jedną stronę mieszkanie Ichmościów; to jest: wielki pokój, drugi mniejszy za przepierzeniem, trzeci jeszcze mniejszy, graniczący przez ścianę z poważną w sieniach pieczurą, i równejże z nią obszérności; zakanurek to panienek lub chłopców uczepionych do familji.

Gdybym chciał wnętrzne ozdoby tych izb opisywać, musiałbym powtórzyć z małą odmianą opisanie *domku mojego dziadka* (*), bo w każdém szlacheckiém domóstwie, obraz Zbawiciela, lub Matki Boskiej, stanowił główną ozdobę izby i orędownictwo rodziny. U możniejszych, szafa królewiecka dębowa, w filogranowe floresy wysadzana, rzeźbą sztuczną ukoronowana, i mosiężnemi antabami ozdobnie okuta, szérokiemi plecy swemi podpierając ścianę, chlubą była gospodyni, a solą w oku sąsiadkom. Zresztą, kanapa nieco wygodniejsza i kształtniejszéj formy, kilka przy niej raźniejszych krzeseł, miejską we dworkach objawiało *politykę:* przy piecu jednak od kominka, stał ukochany zedelek, na którym częściej i chętniej niżeli na kanapie, zwłaszcza w zimie, domowa sadowiła się gromadka. Za przepierzeniem,

(*) Serya I. Obrazów Litewskich.

łóżka ichmościów, nad niemi obrazków w ramkach i bez ramek cała litania; a między łóżkami pod oknem, stoliczek imości, białemi falbanami aż do dołu opięty, na którém lusterko z szufladką i kilka a czasami i kilkanaście xiążek do nabożeństwa, leżało.

W ciasnym nakoniec alkierzyku, łóżeczka panieńskie, za krótkie trochę na ich wysmukłe figurki; a w kątach kuferki, na których nie tylko same ich właścicielki, ale niekiedy i *estymowany* a *akceptowany konkurent:*

»U nożek swojej kochanki
»Trawił wieczory i ranki.« (*)

Na przeciwku jedna obszérna izba czeladna i kuchnia razem, uzupełniała rezydencyą sług i panów.

Rozporządzenie dalszego zabudowania: stajeń, spichrzów, i rozmaitych składów, zależało od *substancyi* i sposobów wybranych do utrzymania się w mieście właściciela; lecz zawsze w głównym planie jednostajne, otaczało dziedziniec, szczélną bramą zamykany, w środku którego studnia dachem pokryta, częstokroć sama jedna kilka dworków poiła.

Ogródek rozlegał się za dworkiem: w nim kilka lip starych, kilka grusz i jabłoni, pod których cieniem, ujrzałbyś jegomościa siedzącego na ławce z dobrym sąsiadem, i popijających razem *Balbierzyskie* piwko, sławne niegdyś na całe Wilno; a w *kordyalném* wynurzeniu wzajemnych *affektów*, i w spokojném zadowolnieniu ze swojego bytu i stanu, *dyszkurujących* poufale, a kończących dyskurs składaną sentencyą:

»*To pan zdaniem mojém!*« Mospanie!
»*Kto przestał na swojém!*« Mości Dobrodzieju!— i oba siwego pokręcali wąsa.

(*) Dawna piosnka.



II.

Rodzina Dowiatów.

W drugiej połowie panowania Stanisława Augusta, rodzina szlachecka *Dowiatów*, mająca w rozległym natenczas Oszmiańskim powiecie, swoje dziedzictwo i ziemię nadaną jéj, jak twierdziła, *ante unionem* jeszcze, przeniosła się prawie cała do Wilna; a tylko najmłodszy ze czterech braci został na ojcowiznie. Najstarszy X. Ambroży, niegdyś za młodu sławny trybunalski mecenas, teraz Trynitarz, i *Prokurator Causarum* klasztoru antokolskiego *Fratrum de redemptione Captivorum*, mieszkał w tymże klasztorze.

Z kolei Pan Kazimierz Podczaszy Smoleński, *sterilis* w kilkadziesięcioletnim małżeństwie; po długich naradach z ukochaną swą połowicą, i z xiędzem bratem Ambrożym, mającym tak ze starszeństwa, jako i ze stanu swego najważniejszą *preponderencyą* w konsyliach familijnych, dał *valetę* gospodarce, z rozmaitém powodzeniem na possessiach prowadzonej; a oddawszy kapitalik na *prowizyę*, kupił *dworek* na Antokolu, w którym się na resztę żywota swego, oboje Podczaszostwo zalokowało, wchodząc ochotnie w zwyczaje i obyczaje pobożnego i podeszłego jak oni sąsiedztwa.

Pan Franciszek, trzeci z rodzeństwa, od młodości przykładem najstarszego, u którego się aplikował, ująwszy się trybunalskiej kratki; długo *dependent*, dłużej *agent*, nakoniec *patron* najjaśniejszej magistratury; bezżenny Skarbnik *re et nomine*, bo chodząc około interessów jednego z panów litewskich, wymówił sobie oprócz zwykłego *honorarium*; *per modum* gratyfikacyi *stallum* powiatowe. Jakoż pan Wojewoda przywiózł mu z Warszawy *Skarbnikostwo Oszmiańskie*, *munus* i tytuł, wcale do natury pana Franciszka stosowne. Lubił on bowiem pieniążki, zbierał je skrzętnie, chował pilnie, wydawał jak najmniéj; więc miał rzeczywiście piękny skarbek i na obligach i w szkatule, która dla bezpieczeństwa w klasztorze u xiędza brata pod łóżkiem spoczywała. Kupił zaś sobie za kilkaset talarów *dworek* także na Antokolu, i w nim klientelę swą założył. Tym sposobem trzech braci znalazło się osiedlonych obok; a przy nich, i najmłodszy brat gospodarujący na wsi, ojciec jednego syna i kilku córeczek, pouczepiał starsze swoje dziatki: bo Podczaszyna wzięła do siebie Helusię ładną kikanastoletnią jego córeczkę, którą jakby własną ukochała, a pan Skarbnik wziął pod swoją *manudukcyę* i do palestry sposobił syna ich pana Ludwika. Chłopak ten pięknemi przymiotami, obiecywał ozdobę zacnemu imieniowi Dowiatów; lecz pan Skarbnik nie upatrywał w nim, jak powiadał, ani potrzebnej aplikacyi do pracy, ani ochoty i *animadwersyi* do *patrocynii*.



III.

Pan Skarbnik jako Mecenas Trybunalski.

Pan Franciszek Dowiat, któremu osobny jeszcze rozdział poświęcić musiemy, był w rzeczy samej jednym z piérwszych patronów w Litwie.

Lecz potrzeba nam tu objaśnić wprzód i wytłómaczyć,* charakterystykę tamtoczasowych, a nawet bliższego nam wieku prawników i prawniczych talentów; w jednostajnym zawodzie, rozmaitych wszakże, nie tak nauką prawa, bo statut i konstytucye wszyscy na pamięć umieli, jak raczej szczególnym usposobieniem i zdolnościami ku różnym odnogom prawnictwa i processów.

Jak w wojennym rzemiośle, nie każdy wódz równie jest zdolnym do komendy wszelką bronią, ani równie biegłym w układaniu strategicznych planów, jako i w ich wykonaniu pod ogniem nieprzyjaciela; a takoż do głównego dowództwa, jako i do mniejszych potyczek; tak i w mnogiej liczbie palestry, otaczającej niegdyś wszelkie sądownicze juryzdykcye, nie każdy z ichmościów patronów był razem *exekutivus* i *tęgi do planów.* Były głowy i języki zdolne szczególniej do akcessoryjnych utarczek, jak kozaki do podjazdowéj wojny. Dwadzieścia razy zaattakował on z różnych stron przeciwnika, odparł go do głównej rozprawy, zmęczył, zbił z planu, zmitrężył, i tak go zaplątał, że musiał się cofnąć koniecznie i odłożyć kampanię

naprowadzoną na wątpliwą drogę: a nadto z urywkowych tych dekrecików, jak ze wstępnych potyczek, wygranych czy przegranych, wyrozumiał on *praeter propter animusze* sędziów, siłę adwersarza, i stosowne potém układał plany, lub wróżył *ewenta.* Inny mniej zręczny w takich obrótach *ex promptu;* do stateczniejszej *procedury*, do oczéwistej rozprawy umiał długie sposobić indukty; które, jako niegdyś poważne znaki pancerne, przemożnie łamały nieprzyjaciela; a széroko i umiejętnie rozwinionym szykiem dowodów, artykułami statutu jakby ciężkiemi działami po lukach wspartym, parzyły go natarczywie.

Byli znowu tacy, którym ściany izby sądowej, przygniatały jakby głowę i wątliły dowcip: taki, trzech tam zliczyć nie umiał. Ale za toż na polu otwartym, pod gołém niebem, usta mu się rozwiązywały, gieniusz się w nim ożywiał i rozpłomieniał!!! To *natus* plenipotent sądów granicznych i podkomorskich. On z dokumentem *juris haereditatis et granicierum* stanąwszy na polu, oprowadzał naokoło wzrok szeroki.... a zadartym nosem, przenikliwą źrenicą, i jakimś jasnowidzącym zmysłem, śledził i zda się wietrzył: flasze trojniaków w kopcach dawnych, wraz z niemi w ziemię zapadłe, zaorane miedze, wyschłe wodociecze, i kléjmy w rdzeniach stoletnich dębów ukryte.... słowem, tłómaczył i stosował stary i zbutwiały *mantyk* tak ściśle i doskonale, jak gdyby sam go przed wiekami pisał, a teraz zmartwychwstał jak Piotrowina dla dania świadectwa prawdzie.

Inni nakoniec szczególniejszym słynęli talentem, gdy *Causam facti*, przez *inkwizycye* i *indagacye* prowadzić trzeba było; albo się obronić od zadawanéj *violencii*, albo ją na przeciwnika wrzucić.

Opinia publiczna, tak dalece te działy upowszechniała, tak one wszystkim wiadomemi były; że ktokolwiek z ważną sprawą i z możną szkatułą, przychodził do sądu; musiał stosownie do nich rozdzielać po-

wód, czy obronę swoją, aby być pewnym, że interes z reguł prowadzonym będzie, i że nic się w nim *contra gradum juris* nie stanie.

Pan Franciszek samą swą postacią i obliczem, łatwoby dał odgadnąć, do jakiego działu jurystów należał, gdyby powszechnie nie wiedziano jego przymiotów.

Miał on lat około pięćdziesięciu, lecz wiek nie czynił żadnéj prawie różnicy, ani na jego postaci, ani na jego twarzy, w czwartym już krżyżyku tak zawiędłéj, że piąty pomarszczyć jej nie mógł. Twarz tę z natury ściągłą i bladą, ospa poszczepała, i piegi pokropiły. Oczy szare, spuszczone zawsze ku ziemi i martwe na pozor, gdy się jednak podniosły, i stale na kogoś wlepiły, pochłaniały w sobie nie tylko wszystkie wyrazy, ale i wszystkie myśli napróżno za wyrazami kryć się usiłujące. Włosy nad brwiami równo jakby pod linię ostrzyżone, zakrywały mu czoło, a z tyłu głowy szérokim wachlarzem na kołnierz spadając, odróżniały pana Skarbnika, od starych, z mody już natenczas wychodzących łbów golonych, i młodych wchodzących w modę werżetów, a uzupełniały regularną swą składnością, postać sensata i statysty, za jakiego między kolegami uchodził, i jakim on był nie tylko z natury, lecz i z przekonania, że takim być powinien Mecenas trybunalski, i urzędnik ziemskie zasiadający *stallum*.

To też gdy w swojej cynamonowej, długiej po pięty, széroko i ściśle fałdowanéj u stanu taratatce, pasem pół-litym gładko po połowie rozgraniczony, z krwawą szpinką na szyi, z krwawemi dewizkami u *pektoralika* i krwawym herbowym na ręku pierścieniem, przesuwał się poważnym krokiem pan Skarbnik między szumną i zarozumiałą palestrą trybunalską, ustawały wnet żarciki i docinki, witające każdego, rozsuwała

się młodzież, a starsi uprzejmą podawali mu rękę: bo chociaż go znali twardym skępcem, i zimnym a przebiegłym pedantem, nie mogli mu wszakże odmówić pewnego respektu, wymuszającego się zwykle w towarzystwie dla podobnych rygorystów. Od razu więc jakem to powiedział, poznać można było, że pan Franciszek mniej zdolny do akcessoryjnej urywkowej wojny, należał do działu znakomitszych mecenasów, ciężkie tylko i stałe podejmujących prace. Nie przyjmował nawet małych szlacheckich sprawek, na których czas marnując, małych też i oczekiwać mógł korzyści. Ale główne plenipotencye najpierwszych panów litewskich i ich stuletnie processa, kreował lub godził: bo częstokroć półarkuszowy na jednaniu dokumencik, obustronne przynosząc *sufragia*, ważniej się mu opłacił, niż *volumina induktów* i *replik*.

Mówiąc mało, słuchając cierpliwie, z powinną dla każdego *reverencyą*, z ręką lewą skromnie za pas założoną, a prawą do gestykulacyi także skromnéj gotową; szepcąc tu i ówdzie po słówku, ale trafnie, ale *ad rem* i *ad hominem*, pan Skarbnik więcej sobie jednał zaufania, niżeli nieuważny krzykacz, tłumiący bardziéj, niżeli przekonywający stronę i sędziów.

Praca i oszczędność, były natenczas godłem ludzi poświęcających się prawniczemu powołaniu: z tym podwójnym przymiotem dochodzili oni z czasem do znakomitego mienia, i do znakomitego znaczenia. Celował w obu tych przymiotach pan Skarbnik, a w drugim szczególniéj był arcy-mistrzem, korzystającym z każdej zręczności przytrzymania grosza w kieszeni. I dla tego nie miał on własnéj kuchni: izba przeciwkowa we dworkach zwykle na ten cel przeznaczona, u pana Skarbnika była kancelaryą, w któréj aplikanci, poczciwa hołota, karmiła się tylko nadzieją, że z pod rę-

ki takiego mecenasa powychodzą na ludzi; do strawy zaś codziennej, nie mieli pretensyi nawet, gdy sam dostojny mecenas cudzą się posilał.

We środy, piątki i soboty, aby się nie narazić przypadkiem na uchybienie trzeciemu przykazaniu kościelnemu, szedł pan Skarbnik nieodmiennie na obiady do klasztoru do xiędza brata; a za to modyfikował się w regalizacyi, często mu należnej za attentowanie interessów klasztornych. A gdy czasami odezwał się ze skargą, na skępstwo Prokuratora *causarum*, to ten nieuważając na braterstwo, wręcz i bez ceremonii zamykał mu usta: »Oho! dość będzie Waspanu! »Co tydzień zjadasz nasze szczupaki, nie licząc nie»dzielnej pieczeni, na którą z kościoła niby przypadkiem »zachodzisz: porachowawszy się więc, jeszczebyś nam »zdać resztę powinien. Do czego to przyszło! Miły Bo»że! Dawniéj palestrant za ośminę bobu *prolixo ser»mone* dwie godziny gadał *corum judicio*, a teraz »Waspanom czy od bogatego, czy od ubogiego, a nawet »do duchowieństwa, ostatni grosz radzibyście z kality »wyciągnąć.«

Pożywał cierpliwie ten duchowny obrok pan Franciszek, bo chciał zawsze pożywać i obiady, a prócz tego miał jeszcze inne powody respektowania starszego brata, o których niżej się dowiemy.

Po przeniesieniu się pana Podczaszego do *dworku*, tam był jeszcze dlań talerz codzień gotowy na obiady i wieczerze; ale nie koniecznie go potrzebował pan Skarbnik: liczni bowiem lityganci, których on processa kreował, przemieszkujący w Wilnie, częstowali go tém ochotniéj, że skromny w napoju, wbrew powszechnemu natenczas jeszcze zwyczajowi, zaspokoiwszy głód, lekkim podpiwkiem gasił pragnienie, a wina nawet cudzego nie pijał.

Nakoniec kilka dziedziczek sąsiednich *dworków*, babulek na dewocyi w mieście osiadłych, wywdzięczając się mu za opiekuństwo, protekcyę i porady; modliły się zań codziennie, i miały pilne staranie o ma-

łych wygodkach pana Skarbnika dobrodzieja: jako to, o wyśmienitéj kawie zrana z wyborną śmietanką, o ziółeczkach i essencyach w niestrawności żołądka, i o wszelkich innych, w których troskliwość ich pożyteczną mu być mogła.

Takim sposobem uwolniwszy się pan Franciszek od kłopotliwych zatrudnień względem swego wiktu i najgłówniejszych potrzeb, mógł cały czas swój poświęcać obowiązkom swego powołania.

IV.

Aplikanty.

Około długiego stołu w przeciwnej izbie pana Skarbnika, siedziało cztérech młodych golców, w wyszarzanych kapotkach, i pisało pod dyktacyą jednego z nich najstarszego, jednostajne pozwy: »*mieniąc oto*« (*), zawołał on dobitniej:

—A czy nie przyniosą nam dziś piwa i pirogów z makiem z klasztoru?—przerwał jeden rzucając pióro. Co myslicie, ciemno już — odpoczniem — a ja pobiegnę do szafarza i powiém, że pan Skarbnik prosi o dzban piwa i półkopy pirogów. Dziś środa; suszym jak Bóg przykazał, a Skarbnik suszy nas jeszcze gorzej nad piórem — dobrzeby się posilić! głodny jestem jak Kapucyn.

—*Patientia omnia vincit* (**) — rzekł dyktujący. Wasan chciałbyś nie popracowawszy od razu zostać mecenasem, choć jeszcze mléko pod nosem.

(*) Termin zwyczajny w dawnych pozwach, przed wypisaniem treści kładnący się.

(**) Cierpliwość wszystko zwycięża.

— A u Wasana wąsy pod nosem, i zaraz posiwieją, a jeszczę *pizus* w kieszeni: nie wiém czy pomoże i oracya którą skoncypowałeś, i napisałeś nad naszemi drzwiami.

— Jak to nie pomoże? obaczysz jak się nam z niéj posypią talary.

— Które wasan od nas w *welbecwelba* wygrasz, pociągnąwszy po swojemu—rzekł drugi chłopak kręcąc głową.

— A gdybyśmy i zaprobowali, he?—odezwał się pan Rafał dyktujący, dobywając karty z kieszeni.

— A jak nadejdzie *insperate* Skarbnik i wsunie się z cicha — wiesz z onegdajszego, jak on kosterstwa passiami nie cierpi, kiedy wasana chciał wypędzić.

— A prawda — rzekł chowając nazad karty. — Nie da on nam próżnować, ręczę że wraz przyniesie świeczki, i każdemu pod nosem zatknie.

— I nie da wieczerzy — odezwał się drugi;—jabym miał i wyśmienitą, ale daleka wędrówka do cioci.

— Łatwiej wasanu—rzekł znowu najstarszy,—hodujesz się jak pączek w maśle, będąc na sumptcie cioci, i jakiejże jeszcze cioci! Panny matki Ś.-Michalskiej. Ot mnie biédnemu chudeuszowi byłoby trudno; ale powiada Pismo: »*Nie troszczcie się co będziecie jeść, albo co będziecie pić!*« Ja też żyję jak *Alcyon* nadpowietrzny, nie lubię i nie pilnuję jednego miejsca, ani jednej kuchni, i nie troszczę się co będę jeść, pić, a nawet czém się odziewać; a widzicie przecież żem nie głodny, ani chłodny: taka to łaska Pana Boga nade mną!

— Widzim—odpowiedział kollega, widzim, że często koło waspana suto i butno, a często gołyś jak święty turecki. Gdzież ta *delia* popielicowa, w któréj onegdaj jak tuż żołędny nadymałeś się.

— Zgadłeś bratuniu, zgadłeś nie chcący. Tuz żołędny dał, a tuz dzwonkowy *kanalia* zdjął. Zgadzam się z wolą Pana Boga!.. wiosna co dzień bliższa, na co te futro?—

Roześmieli się wszyscy.

— Na co wasanu ta aplikacya?—odezwał się inny. Wasan szuler i śpiewak, nigdy jurystą nie będziesz.

— A kto wasanu to wyprorokował? — przerwał zagniewany pan Rafał.—Otoż będę, a tymczasem nie mająt ani ciotulek jak wasan, ani stryjenek jak nasz pan Ludwik, który teraz pewnie u swojej zajada przysmaki, muszę żyć z moich talentów. Bóg mi dał taką ochotę do *wokału*, że żadnym sposobem wytrzymać nie mogę, kiedy posłyszę jakie śpiewanie, i wnet mój dyszkant przyłączyć muszę do choru. Organista Dominikański zacny bardzo człek, i szlachcic co się nazywa; to nasz *prymier* i *prewodytor*; ma on całą kantyczkę pieśni światowych, bardzo pięknych; on dobiera głosy, a nad mój *dyszkant* nigdzie znaleść nie może. Więc i wyprawujemy się często pod ciemny wieczór, w sześciu albo siedmiu po ulicach: a kiedy hukniem pod oknami jakiego pana (*).

„Mości Xiąże co to masz za huzary?"

— A nie wrzeszcz na miłość Boga!—przerwali mu koledzy. Wszak my nie śpiewaki, nie dopomożem wasanu.

— Prawda, wybaczajcie, zapomniałem, wszystko to moja ochota do *wokału*... Otoż jak hukniem tę lub ową pieśń, albo i nowoskoncypowaną na honor jakiego solenizanta, lub na powinszowanie jakiej narzeczonej parze; to i leci z góry drugiego czy trzeciego piątra, jak gwiazdeczka w pociemku, zapalony kawałek papieru, a w nim zawinięty już to najmniej kiedy talar, a czasami i złoto w ogniu się znajdzie...

— Przy takich zdolnościach i związkach, czemu się wolej nie sposobisz na *dłabidudę*, pewny chleb przy chwale Bożej.

— Tak! ale bo widzisz wasan, najprzód stan ten

(*) Starzy pamiętają jeszcze śpiewaków miastowych.

zgodny z moim talentem, ale nie z temperamentem; a potem, nie każdy wprawdzie organista plebejesz, ale nie każdy i szlachcic. Jest zawsze w tym jakaś mitręga, której ja na mój prawdziwy karmazyn nawlekać nie chcę, bo by mnie moja *parentéla* széroko w okolicy Onoszkowszczyznie, bodaj od króla Łokietka osadzona, przepędziła gdzie pieprz rośnie. A teraz czeka cała na moje wyświęcenie się na adwokata, i wnet rozpoczniemy proces graniczny, ze wszystkiemi sumiężnikami, a pół powiatu wyrugujem.

— Długo jednakże czekać będą, bo z taką aplikacyą jak wasąna, nie łatwo dójdziesz do kratki.

— Żartuj zdrów zacny kawalerze, piérwéj tam stanę jak wasan! Umiem ja robić moje interessa; mam już *testimonium* przez wszystkich ichmościów mecenassów trybunalskich podpisane. Braknie mi tylko ręki pana Skarbnika, i dla tego moja dłań, jak widzicie, *gratis* od dwóch miesięcy pracuje, jako i każdemu z nich *captando benevolentiam* pracowała. Byle się więc tylko oporządzić trochę, ten przeklęty drużbart mię zgubił, byle się zdobyć na pasik i kuntusik; szabelki dostarczą bracia szlachta z Onoszkowszczyzny, natychmiast uprowidowany w instancye wysokich protektorów, staję u kratki subseliów prześwietnego województwa wileńskiego.... Wtém skrzypnęła fórtka od bramy i przerwała perorę przyszłego patrona; wszyscy chwycili za pióra, lecz je wnet założyli za uszy, na znak, że są gotowi do pracy, i czekają tylko na świéce.

Pan Skarbnik wszedł do swojej izby na przeciwek, rozbudził śpiącego za piecem starego sługi, wygdérał go za ospalstwo, kazał wykrzesić ognia i zapalić świecę; a wziąwszy jeszcze kilka świéczek w rękę, szedł do panów aplikantów, lecz w sieniach przed ich drzwiami zastanowił się, bo postrzegł przyklejony arkusz

papieru z pismem jakimś. Dobył zatem z za nadry, przetarł i na nos włożył okulary, potém wodząc świécą za literami, rozczytywał powoli:

»*Hic... vivitur... z grosza—frustra... non dantur... labores....*

»Kto nie płaci za pracę.. nie zna... *bones mores!*»...

Przesylabizowawszy pokręcił głową, i wszedł do izby. Aplikanci milczeli.

— A cóż to u waćpanów? *silentium* klasztorne!

— Czekamy na świéce — odezwał się któryś.

— Otoż je i przynoszę—rzekł Skarbnik, zatykając przed każdym po jednéj do mosiężnych lichtarzyków.—Proszę, dodał, *diligenter* przysiedzieć fałdów, bo jutro *summo mane* cztérdzieście kopjów rozesłać potrzeba; woźni czekają... ale co to za *ludibria* wypisaliście waćpaństwo *grandibus literis* na drzwiach swoich?

— At zwyczajnie Mości Dobrodzieju, to żarcik aplikantski, z którego gdyby jaki talarek i wpadł w naszą pustą kieszeń, byłoby przynajmniéj za co kupić zraz pieczeni.

— Waćpaństwo tylko o brzuchu myślicie.

»*Pinguis venter, non studet libenter!*» (*).

— A łatwiéj Jegomości Dobrodziejowi perorować *sententie*, — odrzekł pan Rafał—po wybornym jako we środę stokfiszu, po szczupaku w szafranie, i po zawiesistych klóckach w oliwie pływających; ale nam biednym po śledziach i krupniku....

— A zkąd waćpan wiesz o moim obiedzie?

— Oj, Mości Dobrodzieju, gdyby nie te klócki, których i mnie się dostało, dalipan pióra w ręku utrzymaćbym nie mógł: ale jakoś człowiek ma wszędzie przyjaciół.

(*) Brzuch tłusty, nie łatwo się uczy.

Przysłowie dawne.

— A najwięcéj jak uważam, w kuchniach klasztornych — rozumiem.

— Jednakże mimo tych pożytków *a latere*, głodny jestem i ja, i moi koledzy. Dla tego chciéj Jegomość Dobrodziej, uraczyć nas po onegdajszemu, piwem i pirogami z klasztoru; ja sam ofiaruję moją fatygę, byle za assygnacyą pańską.

— No, no, proszę się nieodrywać od pióra, a poszlę Macieja po suchary i piwo.

— *Vivat noster mecenas!*—wykrzyknął pan Rafał, i zaczął znowu swoje: »*Mieniąc oto.*«

—Ale gdzież pan Ludwik?—zapytał znowu Skarbnik, zajrzawszy za przepierzenie, gdzie była kwatera synowca i nie widząc go tam przy stoliku.

— Poszedł zapewne na wieczerzę do stryjenki swojej, i jeszcze nie wrócił.

— O! ten ptaszek nie dostanie defektu z *sedenterii*, — rzekł Skarbnik, kręcąc głową i wchodząc za przepierzenie.

Musiał jednak, mruczał sobie, napisać manifest, do którego, w sprawie rodziców jego, a zatém tak dobrze jak jego własnej, zostawiłem należytą informacyę... A! grezmoli tu coś przecie.... obaczemy.... *Coram actis*.... (*). Aha — *Coram actis*.... do cudnej *Elżuni*.... Co u licha? czy sfixował się....

Ciekawiej zatém biorąc się do czytania, rozmaicie glozowanego arkusza, przetarł na nowo okulary i syllabizował.

Do cudnej Elżuni, Starościanki Kapinowskiej.

„Oczy twe—nie są oczy—ale słońce właśnie (**)
„Swiecące—w których blasku każdy ogień gaśnie!

(*) Przed aktami—zwyczajne zaczęcie manifestów.

(**) Z dawnego rękopisu.

„Usta twe—nie są usta—lecz koral rumiany,
„Którego farbą zmysł nasz zostaje związany!
„Piersi twe—nie są piersi—lecz niebo surowe,
„Których kształt, wolę naszę zabiera w okowę.
„Tak oczy, usta, piersi, rozumem i wolą:
„Blaskiem, farbą i kształtem—serce me niewolą."

—No! niéma co powiedzieć, symetrycznie wszystko przebrał.... Manifest regularny... *Coram actis* panny Starościanki zanoszący się...—W czas konkury, kiedy proces na stole trybunalskim. Kara Boska! usadzili się na krew naszą. Ojciec, a raczéj mamunia pani Starościna Dobrodzika chce zabrać zaścianek, a córka samego dziedzica!.. Otóż to dla czego niema panicz ochoty do *patrocynii*... amory mu w głowie... a niechby się zresztą i żenił.... wilkiem nie orać.... *ultimis Mai:* lat dwadzieścia cztery podobno kończy. Jeżeli jest wzajemna sympatya....

Taki przerywany prowadząc monolog, gmerał bez ustanku Skarbnik w papierach synowca, i na każdym prawie szpargale znajdował to cyfry *Elżuni*, to dwa serca strzałą przebite z podpisem:

„Serce moje i twoje—
„Złącz Boże oboje—

To dwie ręce ściśnięte w parolu z podpisem:

„Parol dany
„Bez odmiany."

to jakieś pozawijane kwiatki zeschłe, wstążeczki.—Pomedytowawszy nad każdą rzeczą, kręcił głową, kładł każdą na swojém miejscu, i dalszą kontynuował kwerendę. Odsunął nakoniec szufladkę z pod lusterka i napadł na bilecik szpilką, zamiast pieczątki zaszpilony i zapisany: »*Do rąk Wielmożnéj Dulskiej Stolnikowej, cioci Dobrodziki.*«—A to co znowu?—rzekł.—Co tu robi listek do mojéj klientki?.... Ciocia! czyjaż ona ciocia? a tak jest — tak! Starościnę i Stolnikowę rodzą dwie siostry Kościeleckie z Ko-

rony; a więc pani Dulska jest ciocią progeniturze Starosty.... *Sequitur sine dubio*, że w tym bilecie jest *arcanum spei* mojego pana synowca.

Przewracał Skarbnik bilet w ręku, jakby się lękając ukłócia szpilki. Z uczciwego względu szanowania cudzych listów, namyślał się czy ma go czytać.... ho! ho! jaka pieczęć! szeptał znowu sam do siebie, bo ten nałog djalogowania z sobą, a nawet stosownej przy niém gestykulacyi, wraził mu się i został, od planowanych w samotności ważnych a wątpliwych indyktów i replik. Ani *Niesiecki*, ani *Kuropatnicki*, o takim herbie nie wspominają.... Starosta pieczętuje się *Rawiczem*, *Panna na Niedzwiedziu*, i przystoi *inter nos loquendo* nieborakowi, którego żona za nos wodzi, taki herbowny klejnot.... Ale zresztę cóż mam robić? powinienem strzedz jakby źrenicę w oku powierzonego mnie chłopca.... odszpilił więc bilet i czytał z cicha.

»Nie uwierzysz kochana ciociu, jakeś nas zmar»twiła uwiadomieniem, że nas odwiedzić nie możesz; »tak wiele miałam do pomówienia i do *poradzenia* »*się* z ciocią.«...

Poradzenia się — przekasowała, i znowu napisała... to już i wiemy co się święci... a do tego rozpytam się u Stolnikowéj: »Miałaś ciocia Dobrodzika »zabrać z sobą, i przywieść tu, Helusię Dowiatównę, »a tak bardzobym wesoło ten czas przepędziła. Ro»dzice moi rozpoczęli jakiś proceder z państwami Do»wiatami: nie bywają teraz u siebie, i w kościele na»wet nie witają się, i z ukosa na siebie poglądają. »To obraza Boska ciocio Dobrodziko, bardzo mnie to »martwi; niech ciocia perswaduje panu Skarbnikowi »Dowiatowi, aby się starał pogodzić tę kłótnię. On »mądry człowiek, to wynajdzie na to jakiś sposób«..

Dziękuję Pannie Starościance Dobrodzice za tę o mnie opinię.

»Mama osobno pisze do cioci, a ja osobno.«

·Rozumiem — to jest mama o tym listku nie wié.

»A choć się gniewam na ciocię, jednak upiekłam sa»ma, i oddałam mamie dla przesłania cioci, babkę »do kawy, i proszę w zdrowiu jeść, i zaprosić na nią »moją kochanę Helusię i całą jej familię«....

Jednakowoż mnie nie prosili — a pan Ludwik pewnie babkę konsumował.

»Rączki cioci Dobrodziki całuję «

E. S.

NB. »Proszę cioci pomodlić się w piątek u Pana Jezusa Antokolskiego, na moją *intencyę.*«

Intencya zdaje mi się zrozumiana i przykładna!!! *Abyś Panom Chrześcijańskim pokój i zgodę dać raczył!*

Uśmiechając się Skarbnik, zaszpilił bilet i włożył do szufladki; potém zdjąwszy z nosa i przecierając okulary, mruczał któż wie? Może taka wola Pana Boga — trzeba wziąść panicza na konfessatę.... Spójrzał na zegarek, mam jeszcze porę — poradźmy się w tym, a razem i w drugiej okoliczności xiędza brata.... A więc lisim krokiem aby nie przerywać piszącym, szedł pan Skarbnik przez piérwszą izbę. Postrzegłszy wymykającego się, dyktujący pan Rafał, i lękając się aby nie zapomniał obietnicy, krzyknął jakby w kontynuacyi pozwu: »w prośbach *ante* »*omnia!* komportacyi *in instanti sub poenis perso*»*nali infamiae* pół kopy pirogów i dzban piwa, *sole*»*niter* przyrzeczonych.«

Skarbnik stanął, uśmiechnął się, i ręką dał znak zgody.



V.

Xiądz Ambroży.

Nałog i Sumnienie.

Tegoż samego wieczora szedł pan Skarbnik przez ciemne kurytarze antokolskiego klasztoru, a przed nim Maciej z latarką w jednej ręce, a z cynowym dzbanem w drugiej. Doszedłszy do celi brata, wziął latarkę, odprawił Macieja po piwo i po pirogi do szafarza, a sam zapukał do drzwi.

— *Ingrede!* odezwał się głos nosowy wewnątrz. Wszedł zatém pan Franciszek do celi X. Ambrożego.

— *Salve!* — rzekł ten składając szybko i usuwając od siebie wielką xięgę którą czytał, a również szybko otwierając brewiarz i kładąc go przed sobą.— Pan Skarbnik poznał Statut, lecz jakby tego nie dostrzegł, skrapiał się tymczasem pobożnie wodą święconą, z kropielniczki cynowej u drzwi zawieszonej.

— Czemuż tak późno? — zapytał zakłopotany nieco X. Ambroży.

— Ósma *praecise* — odpowiedział Skarbnik, wskazując na własny braterski zegar ścienny.

— Niechaj sobie, ale zawsze *quid vis?* bo byś bez interesu tak późno się nie włóczył; może nowy suplement do szkatuły swojej przynosisz?

— Nie, Mości Dobrodzieju, coraz to trudniej o te suplementa. Przychodzę jak zwyczajnie zasięgnąć mądrej rady brata dobrodzieja.

— Byle nie w processach! bo z temi *fora* z mojéj celi.... już mi nie raz waćpan napędziłeś grzechu i pokuty, wyzywając na jurystowskie porady, i kusząc dawnym nałogiem. Oznajmuję nawet waćpanu, że prokuratorstwa mego zrzekam się, i myślę udać się na peregrynacyę *ad terram infidelium*, dla wykupna podług naszej reguły chrześcijan z niewoli pogańskiej.... Jedna tu jeszcze tylko sprawka mała klasztoru naszego, o plac nad Wilją.... Ale wyrzekam się i tej.... wyrzekam się! O Chryste Jezu! — rzekł wznosząc oczy, ku figurze ukrzyżowanego nad łóżkiem rozpiętej, daj siły i stałość ku wytrwaniu w dobrém, na większą chwałę Twoją, a na zmazanie grzechów moich.—

W tém chwilowém uniesieniu, postać i oblicze X. Ambrożego wyraziściej się objawiły, i przy bladém ognisku świécy, zaledwo rozsuwającém pociemek celi, wysoki i wyschły mnich, białym habitem obleczony, z krwawym krzyżem na piersiach, ze wzrokiem gorejącym pod wysokiém, nagiém, a chmurném czołém, z twarzą pargaminową, a jednak w swojej całości znakomitą, i upartej a wiekiem nie złamanej energji, noszącą piętno; łatwoby zastanowił każdego, ktoby nań w tej chwili spójrzał. Lecz stojący naprzeciw w zimnym kontraście jurysta, znał i nie raz był świadkiem, tych uniesień brata, i wiedział, że burza nagła nagle i przechodzi; a lubo często się ponawia, w przerwach jednak zapomniana, nie powściąga odzywającego się również często i łatwo, pochopu do prawnictwa za młodu weń wkorzenionego. Dla tego zapytał niespodzianie.

— Jak brat dobrodziej rozumie dawność ziemską względem obligów?

— Co to za pytanie aplikantskie?

— Ja też Mości Dobrodzieju, — odpowiadał pokornie pan Skarbnik — uważam siebie aplikantem brata, i weneruję go nie tylko jako starszego wiekiem i powagą stanu, ale jako wyższego bez komparacyi,

w nauce praw naszych, i mojego dawnego mecenasa....

— *Mirabilia* prawisz panie Franciszku! — przerwał xiądz — przestań! dość waćpan jesteś *peritus* i *perfectus*, w swojém rzemiośle, a bodaj *discipulus supra magistrum*. Co do twojego, nie wiem dla czego zadanego mnie pytania, bo zapewna nie bez celu, to dotąd chwała Bogu rzadkie u nas przykłady, aby prowadzono kontrawersye o obligi, gdy podpis nie wyparty, gdy dług lub pożyczka jest rzeczywistą. Poczciwość i rzetelność od form prawnych nie zależy; a chociaż jak wiesz dobrze, liczne konstytucye opisują walutę i termina oblaty obligów: ale któż na nie patrzy? Pożyczka na kalendarzu zapisana tak bywała u ojców naszych święta, jakby najwarowniejszym zapisem umocowana. A zatém krótko mówiąc, kto zaprzecza, choćby najdawniejszemu obligowi, nie tylko własnemu, ale choćby i przodka swojego, powodem dawności, czy jakim innym wykrętem, kręciel jest mospanie, i kwita. Mniemam, że takiej sprawy nie podjąłeś się bronić.

— Owszem przeciwnie — i cieszy mnie zdanie brata-dobrodzieja, bo mam właśnie konwinkować za dług na który karta przed półtorasta z górą laty wydana, dotąd *sine ullo fructu* leżała.

— Przed półtorasta laty; od kogo i komu! — zapytał porywczo mnich

— Od Korsaka, *quondam* fundatora XX. Karmelitów Głębockich, niejakiej pannie Maryannie Sulistrowskiej, a zapisanemi na funkcyą dobrami ewinkowanej. *Qui possit bona, possit et opera* (*), to wiadomo (**).

— A czyż ta panna Maryanna Sulistrowska żyje matuzalowe lata; i teraz swoje kapitały zbierać postanowiła?

(*) Kto posięga dobra, posięga i ciężary na nich.

(**) Prawdziwe.

— Nie, *Reverendissime!* ale właścicielem *per viam haeredidatis* tego obligu jest dziś JW. Aloizy Sulistrowski Pisarz Wielki W. X. L. dziedzic Szemetowszczyzny *et alias*. Policzywszy zatém procenta i rekambia, wygranej na Karmelitach około miljona: a od każdego tysiąca czerwonych złotych, dekretem trybunalskim, zrealizować się mających, mam sobie zaręczanych *inter nos loquendo*, takichże sto.

W miarę słów Skarbnika, twarz Xiędza się czerwieniła. Milczał jeszcze chwil kilka, choć tamten przestał mówić, i odpowiedzi zdawał się oczekiwać. Nakoniec wybuchnął: — Przegrasz! — zawołał z zapałem — przegrasz! i powinieneś przegrać! albo przez całe życie przeklinać będziesz twoje, od tysiąca, sto dukatów. Kapturem głowę nakryjesz, pokutować będziesz, abyś na Sądzie Ostatecznym, duszy twojej w kontrawersyach z djabłem nie przegrał!.... a ze zbiorów twoich *tertius haeres non gaudebit* (*).

— Nie rozumiem Jegomości Dobrodzieja. Tylko co mi dowodziłeś, że naprzeciw żadnemu długowi choćby przodków, dawnością bronić się uczciwość nie dozwala; a teraz w takiejże samej sprawie, wróżysz mi przegranę, nie tylko w Trybunale Litewskim, ale jeszcze i w trybunale mającym się kiedyś odbyć *post fata. Inter nos loquendo* (**) powtarzam że nie rozumiem brata dobrodzieja....

— Posłuchaj mnie panie Franciszku — rzekł uspokojony nieco xiądz, — a poznasz że nie darmo grożę ci przegraną, zwłaszcza w tym ostatnim trybunale. Przypomnij sobie, jakeście się dziwili mojéj nagłej imprezie, wstąpienia do zakonu. Aplikowałeś się waćpan, a raczej byłeś już dependentem przy mnie, i sam mię prosiłeś, abym został czém byłem, to jest czém waćpan teraz jesteś: mecenasem trybunalskim i plenipotentem najpiérwszych naszych dygnitarzy i

(*) Trzeci potomek cieszyć się nie będzie.

(**) Między nami mówiąc.

magnatów. Ale ani tobie, ani komukolwiek nie dałem się namówić, bo był głos inny tu (pokazał na serce) który mię gwałtem w kaptur ciągnął; a głos ten ustawnie mi nad uchem szeptał: zgrzeszyłeś! zgrzeszyłeś! pokutuj! pokutuj!.... Nie było rady, sam to znałem, że zgrzeszyłem. Jedna minuta, jedna zła rada, i zgryzota gorzka, i pokuta na całe życie!... Oj! panie Franciszku strzeż się! strzeż! na ślizkiej jesteś drodze.

—Ależ proszę brata dobrodzieja o jaśniejszą przestrogę. Czego mam się strzedz? jaka to chwila i rada tak fatalną była dla brata?—

Xiądz chodził szérokim krokiem i w milczeniu po celi. — Czy waść spowiednik?—odezwał się nakoniec.

—Jam nie spowiednik, prawda, i nie mam prawa do tajemnic brata, i nie teolog; ale przecież osądzić mogę, że brat nie będziesz wolny na sumnieniu,. jeżeli nieostrzeżesz mnie jako bliźniego choćby, a tém bardziej swego rodzonego, o grzechu, jak wnosić mogę ciężkim, za który sam pokutujesz, a w który mi, zakrywając przepaść, wpaść dozwalasz. To *materya gravis* Mości Dobrodzieju, *inter nos loquendo.*—

Słowa te zdawały się robić niejakie wrażenie na xiędzu; bo często przenikliwe oczy zwracał na brata i wzdychał głęboko... a tak wzruszony, przemierzywszy jeszcze w milczeniu razy kilkanaście celę, stanął i rzekł znowu.

—Ale przegrasz panie Franciszku! przegrasz powtarzam! i narazisz na szwank swoją reputacyę. Bo najprzód pewny jestem, że oblig niéma prawnej waluty, stosownej do konstytucyi, tysiąc....

—Zapomniałeś *Reverendissime* coś dopieruteńko w tej materyi powiedział, — przerwał Skarbnik.— Oblig jest zwyczajny, na blankiecie zapisany, we śrzedzinie piérwszy pieczętarz *totum tenorem rei* wypisał, dalsi tylko wzmiankę; a kilką latami od fundacyi Karmelitańskiej dawniejszy.

—Nic to nie dowodzi, bo za cóżby pobożny funda-

tor poświęcał na chwałę Bożą dobra onerowane? Dla czegożby właścicielka kapitału, żyjąca zapewna jeszcze, lub jej sukcessorowie, przy samém przejściu dóbr Korsakowskich do Karmelitów nie manifestowali się przynajmniej, lub później przez lat tyle milczeli? Dla czego? powiedziałbym, Najjaśniejszy Trybunale, a tu w zapomnieniu się kaptur z głowy na plecy odrzucił, dla czego JW. Sulistrowski nie dedukuje swojej procedencyi od tejże Maryanny Sulistrowskiej, i nie udowodnia jakim sposobem ma *jus ad rem* której dochodzi? Od tak dalekiej daty, ileż to konflagrat w kraju naszym poniszczyło archiwów publicznych, a tém bardziej *privatorum*? Któż zaręczy, że licznie rozrodzona, a wielce szlachetna familja Korsaków, takowym nie uległa?... a w nich że się nie potraciły dowody opłaty, lub układów jakichkolwiek eliberujących ich fortunę? Jakiż *lumen* w takich wątpliwościach oświeci ciebie Najjaśniejszy Trybunale? Jakąż racyą? jakim argumentem justyfikować będziecie wasz wyrok sędziowie, mający ująć chleb sługom Bożym a salvę duszy Korsaka w czyscu będącej?...

Skarbnik pokręcił głową, poczuł bowiem, że ta racya ostatnia, trafiłaby sędziom w codzienne za dusze zmarłe modlitewki, a zatém najtrudniejszą byłaby do zwalczenia.

To sędziowie, mówił bez zastanowienia się orator, to z waszém własném zbawieniem sprawa! Tu na potępienie własnej waszej duszy napisać możecie dekret. Oto przed wami na stole waszym sądowym w oczy wasze, woła na was, sam niesłusznie osądzony Chrystus: *O Judices! judicium vestrum judicavero!* (*).

Skarbnik dopiął czego żądał i oczekiwał: xiądz mu rozświecił interes z najważniejszego punktu widzenia go, przerwał więc: — ale *Reverendissime* na co ta replika, kiedy produktu jeszcze nie ma. Odbędzie ją

(*) O sędziowie! wasze wyroki Ja sądzić będę.

i plenipotent Karmelitów w swojém miejscu i czasie.—

Postrzegł się xiądz Ambroży; odstąpił nagle od stolika, przy którym jak przy trybunalskich kratkach perorował, narzucił kaptur na głowę, i jakby z podziwienia żegnając się, rzekł: »*Deus adjutor meus!*« tak tak, po co mi ta replika? a choć rzeczy słusznej dowodziłem, ale dla czegoż po adwokacku? Oh bieda moja! bieda! Idź waćpan precz! Waćpan mnie zawsze na tę nieszczęśliwą procedurę naprowadzisz! Wasan jesteś tentator!... z wasana łaski ja codzień odnawiając *vota* moje, codzień staję się relapsem!!! Wasan, wasan za to odpowiesz Panu Bogu, — mówił żywo i dotkliwie xiądz.

— Ale bracie dobrodzieju, któż cię na te indukta nawodzi? Jeżeli szukam rady w experiencyi i mądrości brata dobrodzieja, zdaje mi się, że to nie jest grzechem. A właśnie chcąc grzechu uniknąć, prosiłem i proszę brata, abyś mię oświecił i z tej ślizkiej drogi, o którejś namienił, sprowadził.... bo ja jej nie widzę. Cóż należy do sumnienia mego, zła czy dobra sprawa pana Sulistrowskiego? *Instancya* jej na sumnieniu aktora. *Ewent* na sumnieniu sędziów: a patron broni każdej. —

Chodził znowu zamyślony xiądz po celi; kilka razy stawał przed bratem, jakby miał coś powiedzieć, i znowu zmieniał zdanie. Wewnętrzna sprzeczka miotała nim.... nakoniec zdeterminował się, usiadł na jednym stołku: — usiądź, — rzekł podsuwając drugi bratu — i posłuchaj krótkiej, ale najważniejszej życia mego historyi. Byłem, jak to wiesz dobrze, plenipotentem wielu panów litewskich; z jednym z nich odbywając peregrynacye po różnych stronach Litwy, zajechaliśmy w Słonimskie i trafiliśmy na fest do *Żyrowic*. Obraz tam słynący szczególniejszemi łaskami Matki Boskiej; assystowaliśmy więc nabożeństwu. Przy mszach śpiewają tam pieśń o cudach tej przeczystej Dziewicy.

— Ja umiem tę pieśń i mówię ją często na chwałę Bożą — rzekł Skarbnik.

— No, to wiesz, że tam jest taki rym:

„Tu Pan Tryzna
„Cuda wyzna
„*Byteń* na Zakon daje!“

Siedziałem ja w drugiej ławie za moim pryncypałem; *Byteń!* wielka fortuna! pomyślałem. Kiedyż to Tryzna tę fundacyą uczynił? Szepnąłem więc na ucho Panu mojemu. (Och! bodajbym natenczas oniemiał): »wypadałoby obaczyć w mętrykach litewskich, kiedy »Tryzna oddał Byteń do Żyrowic? a nuż po konsty»tucyi?...« (*). Moj JW. Dygnitarz obejrzał się na mnie, kiwnął głową, i dalej się modlił. A mnie w ten moment targnęło za serce, i jakby także szepnęło na ucho: »grzeszniku! w domu własnym Boga-Rodzi»cy, myślisz o jej *spoliacyi!!!*« Ale już było po czasie. Znałem mego pryncypała, że nie zaśpi gruszki w popiele; przyszedł żal i skrucha. Nuż ja modlić się, nuż płakać rzewnie. Obejrzał się znowu na mnie mój pryncypał; zrozumiał widać przyczynę łez moich i uśmiechnął się, co mi jeszcze gorzej dopiekło. Jakoż krótko mówiąc, zajrzał on do metryk litewskich, do których fundacya wpisaną była, i znalazłszy ją *de nova radice* erygowaną, zabrał Byteń kadukiem.

»Wkrótce sprzykrzył on sobie moje *protestacye* i *molestacye*, a zatem podziękował mi za attencyę w jego interesach; ofiarował mi nawet znaczną gratyfikacyę, do któréj jak do gorącego żelaza i ręki nie dotknąłem.

»Od tego fatalnego momentu, na żaden obraz Najświętszéj Panny Maryi oczu podnieść nie mogłem, nie mogłem spokojnie zmówić: *Sub tuum praesidium*.

(*) W drugiéj połowie siedmnastego wieku, stanęła konstytucya, zakazująca zapisywania dóbr ziemnych na fundusze duchowne przez testamenta.

Szkaplerze moje nawet mię piekły na piersiach. Męczyłem się we dnie i w nocy.... Myśliłem o restytucyi klasztorowi, łatwiejszej memu pryncypałowi, bo antenaty jego nie jeden dom Boży bogato uposażyli. Ale ja, cóż mogłem czynić za kilkaset chat odebranych z mojej łaski? Naturalnie, spowiadałem się i ochotnie przyjmowałem ciężkie pokuty, posty, i peregrynacye dalekie; a lubo świątobliwi kapłani i spowiednicy, kazali mi ufać w miłosierdziu Bożém, wszelakoż od konfessyołu nawet, rozgrzeszony, ale nieuspokojony odchodziłem.

— Nakoniec Bóg mi zdarzył jednego mądrego teologa *Societatis Jesu*, którego w tych moich *obsydiach* poradziłem się; on mi rzekł: najprzód porzuć bez powrótu rzemiosło, które cię na tę fatalną radę naprowadziło. Pismo ś. mówi, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi do królestwa niebieskiego; otoż bodaj i adwokatowi toż samo, a może i trudniej jeszcze. A za restytucyę, poświęć Bogu i dodaj na usługi samego siebie. Więcej uczynić nie możesz, zwłaszcza gdy to uczynisz sercem ochotném i skruszoném. Nie miałem co odpowiedzieć na taką radę, bo już to było ostatnie *refugium* dla mojej biednej głowy.

— Pamiętasz wasan, jak nagle mimo wasze prośby, odrzekłem się *patrocinii* i wstąpiłem do zakonu. Nie mogłem wstąpić do XX. Bazylianów, choć to rzeczywiście moja posługa im się należała, bo już mi poźno było uczyć się liturgii greckiej; więc Panu Jezusowi antokolskiemu złożyłem moje *votum*, i w jego świętej opiece znalazłem nakoniec spokojność, a odżegnałem się *tandem* od tego nieszczęśliwego *Bytenia*, któryby mnie na świecie prześladował do ostatniej mojej godziny....

— Piérwszy raz przed tobą świeckim człowiekiem odkryłem tę moją tajemnicę, i przyczynę obleczenia się w habit, który jednakże za pomocą Bożą... nie jest mi ciężkim. Wszakże, bracie mój panie Franci-

szku, — mówił dalej wzruszonym głosem: »*Felix* »*quem faciunt aliena pericula cautum!*« (*) i *sat sapienti!* — Skarbnik stał zamyślony.

— Zresztą, nie przychodź do mnie, — mówił X. Ambroży — po *consilia* patrońskie, jak to często czynić zwykłeś, luboś sam zawołany prawnik, i rad żadnych nie potrzebujesz; bo ja każdą taką między nami konwersacyę, ciężkim zawsze *miserere* odkupiam. Nie żałuję ja mojego ciała, ani oszczędzam sobie tego narzędzia, które pod krzyżem widzisz, a wisiała tam dyscyplina; Chrystus Pan więcej cierpiał dla naszego zbawienia... ale na cóż mię naprowadzasz na myśli i mowy których się zarzekłem?

— Ależ bracie dobrodzieju, — odpowiedział Skarbnik — *inter nos loquendo*, jesteś prokuratorem *Causarum* swego klasztoru, więc musisz często obaczyć się z tą xięgą — i wskazał na statut.

— To co innego mospanie! to co innego, to właśnie jest moja, choć wcale niedostateczna *restytucya* funduszom na chwałę Bożą poswięconym, że je bronię; ale do spraw świeckich, wara mi się mięszać; a przecież mię wasan wciągasz.

— Będę ostróżniejszym Mości Dobrodzieju, będę ostróżniejszym. Wszakże i teraz nawiasem tylko chciałem poradzić się brata, a tymczasem daleko zaszliśmy. Nie o to jednak rzecz idzie; przyszedłem ja pomówić z bratem dobrodziejem w interesie famílijnym. Wiadomy bratu proces pana Stefana brata naszego ze Starostą Kapinowskim, sądem naszym od Dowiatowszczyzny, o zaścianek nad Wilją...

— Czy znów proces? — przerwał xiądz — zatykam uszy!

— Ale bo widzi brat, że wyniknąć mogą *cyrkumstancye*, któreby ten proces na kombinacyi.... a kombinacye.... na kobiercu zakończyły.

— Cedzisz mi cóś jak przez zęby, czy nie myślisz

(*) Szczęśliwy, kto z cudzego doświadczenia korzysta.

tylko żenić się panie Franciszku? w takim razie powiedziałbym, że *kognicyjną* sprawę kończysz, a rozwodową zaczynasz, i przenosisz *forum* z trybunału do konsystorza.—

Skarbnik tak się zmarszczył, i machnął ręką, że xiądz zgadł od razu, że nie trafił na tor. A wtém rozległ się po korytarzu dzwonek na *silentium*... Xiądz machnął podobnież ręką na brata i na drzwi razem, a sam odskoczył raczéj niż odszedł ku obrazowi Zbawiciela, ukląkł przed nim, i rozkrzyżowawszy ręce modlić się począł.

Skarbnik stał w milczeniu, nie wiedząc co sobie poradzić? *Silentium* bowiem przerwało główny jego interes. Nakoniec odważył się powiedzieć: proszę brata dobrodzieja, przyjść jutro po obiedzie do braterstwa podczaszowstwa, dla narady w interesie ważnym familijnym. »*Miserere mei domine, secundum* »*magnam misericordiam tuam*« (*), mówił xiądz, jakby nie słyszał Skarbnika, i mówiąc to zdejmował dyscyplinę z kołka. A on, pomyślał Skarbnik, gotów i mnie na ten bankiet zaprosić; zapalił więc cichuteńko świéczkę w latarce, i również cichutko wyniół się za drzwi.



VI.

Pan Ludwik Dowiat.

Zwrótka jedna szczęśliwa w piosnce wesołej Krasickiego, zadefiniowała nas lepiej, niżeli wiele rozpraw i zdań, o naszym narodowym charakterze.

„Czuli, cnotni a ochotni!“

(*) Zmiłuj się o Panie nade mną, podług wielkiego miłosierdzia Twego.

Te trzy przymiotniki, składają grunt naszego serca, przyczynę naszych publicznych czynów i błędów, a nawet naszego losu.

Gdyby można wskrzesić całą generacyę naszą, przed ostatnim okresem naszego zepsucia i klęsk politycznych żyjącą, obaczylibyśmy towarzystwa i ludzi obyczajów *czułych*, *cnotnych a ochotnych*, to jest, prawdziwych naszych, nieskalanych rozmaitemi obczyznami, które nas po kolei zalewały.

Obaczylibyśmy to w istocie i na jawie, co dziś jak we śnie w dziejach, dokładniej w nielicznych ówczesnych pamiętnikach, i nakoniec w pismach niektórych wybranych autorów odtwarza się nam i przedstawia. To co tak miłą w nas wzbudza harmonię! tak nam składnie w serce wpada!!! bo znajduje w niém, niezatarte jeszcze zupełnie owe charaktery *czułości cnoty* i *ochoty;* to jest łatwowiernego pochopu ku wszystkiemu, który Bóg na niém, jako piętna naszéj natury, i naszego przeznaczenia wyrył.

W czasie o którym piszę, powszechna barwa narodowa, w łacińską dotąd, że tak powiem togę obleczona, ustępowała z placu, parta tak nazwaną *Augustowską* oświatą, któréj wartość dziś oszacować umiemy. Mocowała się ona jednak silnie, i nie łatwo dawała się wypędzać, zwłaszcza z serc i z zagrod szlacheckich; gdzie religija jak poczciwa gospodyni, zapierała wrota przed cisnącą się gwałtem czeredą nowych nauk i nowych obyczajów. Ale wspaniałe bramy naszych magnatów, stały już dla nich otworem; tam one wkrótce samowładnie panując, kształciły modnych filozofów, zaprzańców obyczajów, zwyczajów, języka i cnót naszych rodowitych. A tak, gdy Wojewodzice, Kasztelanice, Staroście zaczynali swe nauki przy cudzoziemcach od: »*Au nom du père, du fils, et du saint esprit*« dla języka bardziéj, niż dla pacierza paplane; to *podczaszyce*, *podstolice*, słowem, nie senatorskich krzeseł, ale powiatowych *stallów* dziedzice, trzepali jeszcze z poczciwemi ojca-

mi swemi staroświeckie *Pater noster*, albo z matkami codzienne a serdeczne: »*Błogosław Panie Boże, w komorze, w oborze, na polu i w gumnie!*« (*) i błogosławił im Bóg wszędzie.

Nie tu miejsce długich w téj materyi wywodów, tylekroć już, i w rozmaitym sposobie powtarzanych; potrzebowałem tych ogólnych słów kilku, jakby na tło do obrazu, na którym wśród innych, okazuje się przedniejsza figura mojéj powieści, Pan *Ludwik Dowiat*; młodzieniec właśnie czuły, cnotny a ochotny, któremu podobni bodajby się i teraz rodzili!!!

Ej bo *formosus*, to był chłopiec! Miał lat dwadzieścia trzy. Wąsik mu się czarny wysypywał, płeć biała, rumieńczyk panieński, oko czarne, pełne i żywe; włos także kruczy, w lekkie pogięty kędziory, czoło gładkie, otwarte, a na całéj twarzy dowcip, wesołość i swoboda młodzieńcza, ujmujące od razu serca.

Gdy wysmukłą i udatną swą kibić, w piękną opiętą i krótką po kolana, a złotemi na piersiach sznurami szamerowaną, ubrał węgierkę; litym pasikiem u stanu się ściągnął; krzywą, na takichże ze złota i jedwabiu tkanych paskach, zawiesił demeszkę; wdział jak ulany i skrzypiący trochę bócik na nogę, a głowę błękitną axamitną czapeczką z karogańskim drobnym jak ze srébrnych perełek, baraneczkiem, na bakier wrzuconą, ustroił, i szedł lekkim krokiem po ulicy; rozkosz nań było patrzeć. I nie jedne miluchne pięknych ocząt spójrzenie, przeprawadzało go długo i daleko; za wzrokiem zaś nie dosłyszane jemu, ale za nim rzucone powtarzały się wykrzykniki: chłopiec jak malina! *Frysz* chłopiec!!!

Nie samą też jedną gładkością lica i figury, jednał ten panicz afekta sobie powszechne, a szczególnie niewieście. Proszę go było widzieć w tańcu, jak posuwistym i podskocznym krokiem *paryerując* swojéj

(*) Dawny Złoty Ołtarzyk; modlitwa w codziennych potrzebach.

motyl, z wdziękiem i od serca podawał w przemienianiu rękę; z jakim uśmiechem i cudnym ukłonikiem uderzał w dłonie do *odbijanego!* Jakie milutkie słówka wrzucał w uszko idącéj obok niego dziewicy, na które, żywszy rumieniec bywał odpowiedzią; albo i ładnéj mężatce, karcącéj napominkiem, śmiałość młodzieńca, a ściśnieniem rączki łagodzącéj karę. Jako syn powszechnie znanéj szlacheckiéj rodziny, miał Pan Ludwik otwarte sobie drzwi w każdym, by najznakomitszym domie. Wszelkie więc publiki trybunalskie, assamble, kompanie i zabawy, nie obeszły się bez niego. I tém bardziéj, że jakośmy widzieli wyżéj próbkę jego talentu, był on jeszcze i poetą, a zatem nie jedną wieczorynkę, nowo-skoncypowaną piosenką uraczył; która na dobraną ze sta innych notę, wnet się kilkunastu głosami obojéj płci odezwała, i rozweseliła towarzystwo, a chlubą, dziękami i uściskami osypała autora.

Wszystko to jednak nie do smaku było stryjaszkowi panu Skarbnikowi, który jak powiadał radby mu był te wiatry z głowy wypędził, a zwrócił go na drogę pewniejszej krescytywy. Ale zamykała mu zawsze usta, cała familijna płeć niewieścia. Mamunia słysząc sukcessa jedynaka, podsyłała mu talarków. Stryjenka skorumpowana affektem i respektem, a często i koperczakiem synowczyka, broniła go stale i mężnie przeciw opressyi pana Skarbnika. Siostrzyczka Helusia kochająca braciszka i kochana nawzajem, patrzała nań jak na cudowny obrazek, chlubiła się nim jak drogim skarbem, i za każdą zaczepką, jak sroczka, starego kruka zagłuszała i skubała. A nawet pani Podstolina Dulska, obca familji, ale jéj stała przyjaciółka, a klientka i pupilla Skarbnika, ujmowała się za swego syna chrzestnego: »bo »nie fircyk, mój łaskawco, mówiła ona, bo nie burda, »bo nie kostera; i choć młody, ale bogobojny.—Zna »jak szanować starszych. A że lubi zabwić się we»soło, że umie dać sobie *rum* wszędzie, to i dobrze

»mój łaskawco; uchodzi się piwko i będzie zeń zacny »obywatel; upewniam mego łaskawcę!«

Nec hercules contra plures, a tém bardziéj *mulieres* (*), odpowiadał na to wszystko Skarbnik, kiwał głową i ustępował.

Od niejakiego jednak czasu, wesołość i żywość pana Ludwika zmodyfikowały się bardzo: zakochał się nieborak! Sam nie postrzegając, jak przywyknienie dziecinne do Elżuni Starościanki Kapinowskiéj, z którą w sąsiedztwie rósł i hodował się, dojrzało z wiekiem w miłość. Odmiana takaż sama, stała się bodaj i w sercu pięknéj Elżuni. Ale cóż! kiedy rodzice obojga, jakby czekali ze swojemi roztérkami wzrostu i skłonności wzajemnych swych dzieci, właśnie teraz prawować się zacząwszy, dawną sąsiedzką i stałą między sobą przyjaźń, zupełnie zerwali. Ztąd, zręcznoście nawet częstego widywania się, coraz trudniejszemi zakochanym były. A lubo pan Ludwik nie tracąc serca i nadrabiając rezonem, ilekroć z Wilna do rodziców przybył, jechał do państwa Starościństwa, jakby ten proces najmniéj doń nie należał; przecież zimne przyjęcie, szczególniéj pani Starościnéj, i smutna twarz Elżusi, zbijały go od razu z toru.

Koń jego w ręku masztalarza stał przed gankiem, lub się przeprowadzał po dziedzińcu, nie zaproszony niestety, jako niegdyś do stajni. Skonfundowany i milczący pan jego strzelał tylko okiem po tych samych kątach i pokojach, po których niedawno wesoło i poufale z Elżunią się uwijał, lub poglądał na nią, siedzącą ze spuszczoną głową nad krosienkami, i nie śmiejącą wznieść nań wzroku, w którym nie dawno na przybycie jego, radość i roskosz igrały.

Pani Starościna zapytywała go sucho, co słychać w Wilnie? Pan Starosta ciągnąc powoli *knastr* z długiego cybucha, lubo mniéj surowo z nim się obchodził,

---

(*) Ani Herkules przeciw wielu nie wydoła, a tém bardziéj kobiétom.

bo go lubił od dzieciństwa, ale akkomodując się humorowi żony, nie śmiał po dawnemu go traktować. Ledwo się odważał spójrzawszy na konia pana Ludwika, zapytać wiele on ma lat? bo jako zawołany amator stadniny, téj ciekawości oprzeć się już nie mógł. Ale oboje nie dawali młodzieńcowi żadnego powodu przedłużenia odwiedzin, a nawet na skrócenie onych, pani Staruścina znająca myśli i uczucia Ludwika, a podobno i córki, znalazła zawsze jakiś choć nie zręczny, pretext wyprawienia jéj z pokoju.

Brał więc za czapkę gość natrętny... jeszcze chwilkę zwlekał, a nuż nie zaproszą. Ani pół słowa!... po krótkiém zatém pożegnaniu, dosiadał bieguna i wylatywał jak z procy z domu, do któregoby już i nie wrócił nigdy, gdyby Elżunia odchodząca za rozkazem mamy, nie rzuciła mu spójrzenia, po które chłopiec o sto milby pojechał, i na sto razy gorsze naraziłby się konfuzye. W takim to stanie serca i okoliczności, był Pan Ludwik Dowiat, gdy zamiast manifestu, napisał wierszyk do cudnéj Elżuni.



VII.

Rada Familijna i Gość.

Nazajutrz po rozmowie w klasztorze, między dwóma braćmi, we *dworku* państwa Podczaszowstwa, uprzedzona zrana przez Skarbnika gospodyni, o mającej nastąpić wieczorem radzie familijnej i przybyciu na nią X. Ambrożego, przygotowała kawę, któréj wielki imbryk stał przed ogniem na kominku, rzędem maleńkich garnuszeczków ze śmietanką otoczony. Helusia krzątała się około stolika, ustawiając na nim małe z sa-

skiéj porcelany filiżanki. Podczaszy na kanapie dotrawiał obiad, potuszając go piwkiem, poglądał na te przygotowania, i naprzykrzał się synowiczce zmyśloną swaćbą rozmaitych swoich rówieśników i kondyscypułów szkolnych.

Ze słów Skarbnika zapowiadających to zebranie, razem ze wzmianką o panu Ludwiku, przenikliwe a interesowane kobiéty, zgadywały, że ta rada o nim toczyć się będzie. Swiadome zaś były tajemnicy jego serca, któréj on przed ukochaną siostrzyczką nie tylko nie krył, ale owszem troski swe, cierpienia i uczucia, rad przed nią na osóbności wylewając, ulgę niejaką i pociechę znajdował. Tém bardziéj, że smutne te i tkliwe skargi jego, przez usta Helusi trafiały zwykle do Elżuni, i wracały doń zawsze, przez to same powiernictwo, lecz miłą nadzieją owinięte. Stryjenka pod wielkim sekretem, wiedziała o wszystkiém od Helenki; a tak obie życzliwy a serdeczny biorąc udział w losie Ludwika, ciekawemi były, co też o nim stryjowie radzić mają?

Pociągniem kabałę na dzisiejsze... nim przyjdą.... szepnęła na ucho Helusia stryjence.

Podczaszyna uśmiechając się skinęła głową i pogłaskała twarzyczkę synowicy.

Helusia więc wyjęła ze stolika małą xiążeczkę, częstém widać użyciem starą, odkryła pierwszą jej kartkę, i na kółko numerami napełnione rzucając ziarnko pszenicy: »*oto na jego*» rzekła.

Podczaszyna stojąc obok, również ciekawie śledziła liczbę na któréj ziarnko się zatrzymało....

— *Ośmdziesiąt siedm!*—szepnęły obie.—

— No czytajcież głośno co tam wypadło z waszej kabały—odezwał się Podczaszy, a zakłopotały się kobiety, bo im się zdawało, że jegomość drzemał i nic nie słyszał.—Przeczytały więc taką wróżbę:

„W każdéj życia koujunkturze,
„Upadają tylko tchórze!“

— Wybornie! — wykrzyknęła nieuważna Helusia; bo Ludwiś nie tchórz!—

— A! to na konto Ludwika, ciągnęłyście kabałę?— przerwał znowu Podczaszy—to co innego. Ja rozumiałem, że Helusia dla siebie przeniczkę sieje.—

— At, wasan sam nie wiesz co gadasz — odrzekła żona. Teraz rzuć na nią Helusiu:—

Helusia więc rzuciła powtórnie też same ziarnko. *Trzydzieści ośm!* liczba parzysta, to wypadnie kabała kobiéca, mówiła szukając numeru—jest:

„O! ty podporo ludzkiego narodu! (*)
„Więcej dwudziestu będzie twego płodu.“

— Ach! Jezus Marya Józef! obie krzyknęły.—

— No, mówił śmiejący się Podczaszy, to się rozumie *circiter*; a może licząc i z wnukami; zawsze jednak winszuję błogosławieństwa Boskiego téj, na którą tę kabałę ciągniecie.—

— Jak to będzie, to będzie, rzekła Podczaszyna, zawsze jednak kabała dobrze wypadła; bo Ludwikowi każe być stałym, a Elżuni wróży małżeństwo. Jeszcze raz dla Elżuni!—

— Jakiej znowu Elżuni? — zapytał Podczaszy. — Uprzedził odpowiedź na to pytanie, wchodzący zamaszysto i z szyrmem gość niespodziewany.

— A! pana Purucznika Dobrodzieja! — ozwali się wszyscy — jakże dawno widzianego?—

— Nogi weneruję Podczaszowstwa Dobrodziejów! Przed godziną przybyłem, i wnet pośpieszam do moich łaskawców — rzekł kłaniając się damom, a uściskając gospodarza, pan Porucznik *Stelnicki*, gracki

(*) Z dawnej kabały.

i czerstwy wdówczyk po trzech żonach; które, traktując wojskowo i peregrynując z komendą, w rozmaitych stronach kraju zaszlubiał.—

Mógł on mieć lat ze sześćdziesiąt, ale daleko młódszym się wydawał. Nosił się z żołnierska, z węgierska i z polska, a zawsze pięknie i schludnie. W kuntuszu czy w taratatce, zawsze suta szlifa błyszczała mu na ramieniu. A chociaż *szarżę* swą porucznikowską przedał jakiemuś paniczowi (boć to było prawnie i wolno), znak ten jednak, a razem całą energię, otwartą prawnomówność i wesołość, a nawet postać i minę gracką a mężną, do wysokiej figury jego wielce przypadającą, z dawnéj swéj professyi zachował.

Nie gadaj mu do trzeciego, skoro szło o honor własny, lub krzywdę przyjaciela. Ale bez zaczepki, spokojny to był, poczciwy i wyborny towarzysz. Owszem po staroświecku i po szlachecku, każdego rad był zobowiązać, obdarować, pocieszyć i wspomódz nawet; byle nigdzie z twarzą zasępioną i zmarszczoną się nie spotkał, bo tego passyami nie cierpiał.

— Nogi weneruję Podczaszowstwa Dobrodziejów moich, powtórzył, i zwracając powitanie do Helenki— a.... moja Helusieczko! Moja gołąbeczko! Jak długi do stopek twych się scielę. A kiedyż nasze wesele?—

— Zdaje się panie Poruczniku, odezwała się z uśmiechem Podczaszyna, że powinienbyś być syt konkursów małżeńskich.—

— Mościa Dobrodziko!

Noga się plącze
Będzie żona piąta!

powiada przysłowie. Ale ja z piątej na wieki się kwituję. Czwartéj zaś nie odstąpię; a tą, nie inna być musi, jak piękna Helusia; mój aniołek, mój buziaczek..... i całował czule rączki śmiejącej się i wyrywającéj się Helusi.—

— Gracz do fartuszka! — mówił kręcąc głową pan Podczaszy.

— Choć stary, ale jary! — mówiła kręcąc głową Podczaszyna.—

— Cóż słychać na wsi?—zapytała jeszcze ona przerywając konkury gościa.—

— Wszystko dobrze Mościa Dobrodziko, wszystko dobrze. Braterstwo państwa, a rodzice mojego aniołka, zdrowi i przesyłają ukłony i pozdrowienie. Zawczora nocowałem w Dowiatowszczyznie, a wczora jadłem obiad u Starościństwa Kapinowieckich. Włóczyłem się w Grodzieńskiém, opatrując to tam to ówdzie stadniny i dobierając czwórki. Trudno, coraz trudniéj u nas o koniki. Jednakowoż przyprowadziłem cztéry kasztany brudne, ogony i grzywy konopiate, co nie wstyd i Wojewodzie jakiemu zaprządz by do karocy, i cztéry kuce siwe, dla jakiego panicza na harcówkę. Ale oh! niemam i mieć nie będę takich, jak moja niegdyś czwórka porcenelo-strokatych.... Starosta chciał handlu.... ale... ale... krótko mówiąc... nie miał przydątku, a moje konie narowiste bestye, na papier nie idą.—

— Gdzież stanąłeś kochany Poruczniku; po staremu u nas kwatera.—

— Nie, Mościa Dobrodziko, *pro hac sola vice*, to jest ten raz proszę mi darować, stanąłem w mieście; przybywam na dłuższy termin: doczękam tu zapust, a może i włoczobnego. Gospodarkę zdałem synowcowi, bo nie lubię siedzieć jak pustelnik, i kłócić się codzień z ekonomem, nie przywykłym do subordynacyi wojskowéj. Zimę więc przebędę tu w miłém towarzystwie moich przyjaciół w mieście, a na wiosnę pojadę po przyjaciołach na wsi....—

W tém wszedł pan Skarbnik, a za nim wkrótce i xiądz Prokurator; tak, że pan Stelnicki z kolei, jednego po drugim witał.

— No, rzekł ulokowawszy się na kanapie X. Ambroży, i popijając smakowitą kawkę, gdy i wszyscy toż samo czynili.—No panie Skarbniku, na jakież tu mnie familijne consilium zaprosiłeś? *Indukuj negotium*; mówiąc Boże odpuść, waszym patrońskim językiem.... byle tylko nie proces, bo waćpan wiesz...—

— A jeżeli Ichmość Dobrodzieje zebraliście się na jakąś poradę, więc ja mogę tu być niepotrzebnym, mówił powstając i biorąc za czapkę Porucznik.—

— I owszem, odpowiedział, przytrzymując go Skarbnik, w czas Bóg nam zdarzył tak szanownego gościa, którego doświadczenie *in his et similibus*, może nam być pożyteczne, a o przyjaźni którego dla domu naszego nie wątpiemy.—

— A, jeżeli na cokolwiek przydać się mogę, to służę — rzekł siadając na nowo Stelnicki.—

— *Inter nos loquendo* kochani bracia, mówił zatém poważnie pan Skarbnik; *ultima spes, et haeres* (*), naszego szlacheckiego domu, jest nasz pan Ludwik...—

— Ale.... bratowo dobrodziko... zastanowił się tu i patrzał to na bratowę, to na siostrzenicę.—

Zrozumiała Podczaszyna myśl jego podejrzliwą.— Bądź brat dobrodziéj spokojny.—rzekła, umiemy my, choć kobiéty, być w potrzebie dyskretne.—

— Otoż właśnie i potrzeba, a po przestrodze— ufam!—

— Miałem tedy nadzieję — mówił daléj Skarbnik, że jako ją, po najstarszym *luminarzu* naszego rodzeństwa, który teraz świeci w kościele Bożym, (a tu wzajemne między bracią nastąpiły ukłony) odziedziczyłem, gdy nie talenta i *sciencię*, to przynajmniéj ochotę i pilną aplikacyę do patrocynii, a z czego za pomocą Bożą, cóś się i na starość, lubo maluczko, bardzo maluczko, uzbierało.... i... —

(X. Prokurator uśmiechnął się),

(*) Ostatnia nadzieja, i dziedzic.

i domowi naszemu nie ubyło reputacyi; tak i pan Ludwik po mnie nie odstąpi drogi tejże saméj, dziedzicząc zaufanie powszechne, którego bez chluby, *inter nos loquendo*, nie skąpo używam, i którego dotąd chwała Bogu nie zawiodłem. Ale *homo proponit, Deus disponit* z pana Ludwika nie będzie ani jurysta, ani patron.... Szérokoby o tém podyszkurować można, ale byłoby to napróżno, bo już nie czas panicza brać w rezę, tém bardziéj, że mu w głowie i w sercu inne imprezy i myśli brodzą.

Dośledziłem ja wczora *insperate* intencyow i inklinacyow jego....

Pani Podczaszyna i Helenka, spójrzały na siebie przenikliwie.

— Jeżeli poczciwe i zacne, to panie Boże błogosław, odezwał się X. Prokurator. Niech się żeni! nie pożałujesz, mówią ludzie, za młodu ożeniwszy się i rano wstawszy.—

— Poczciwe i zacne, ani słowa, ale poczęte w nader trudnych i niewczesnych konjunkturach.... lubo ile miarkować mogłém, nie są one bez wzajemnéj rekognicyi.... —

— Mów otwarcie Panie bracie — rzekł znowu X. Prokurator, na co te zagadki?—

— *Inter nos loquendo*, pan Ludwik, gorącym jak widać afektem miłuje pannę *Elżbietę* Starościankę Kapinowskę. Miarkujcież teraz jak to pogodzić, z zaciętym procesem, który rodzice jéj, a raczéj mamunia, z ojcem jego rozpoczęła. Bez tego procesu nawet, wątpiłbym o szczęśliwych w téj mierze sukcesach, a cóż dopiero?—

Wszyscy pokręcili głową, uznając trudność interesu.

— Możesz to tylko, at sobie amory, rzekł Stelnicki. Młodzi oboje, hodowali się prawie razem w sąsiedztwie, na jedném polu, to się jakoś i przyzwyczaiło. Ale teraz gdy się rzadko widują, gdy ten proces graniczny, założył i między niemi ciężką gra-

nicę; mój kochany Ludwiś.... a zna się chłopak na koniach, moich porcenelo-strokatych odchwalić się nie mógł; otoż teraz, mieszkając w mieście, nie jedną piękniejszą obaczy od panny Starościanki, i klin klinem z serca wybije.—

— O tém wątpię — rzekła Podczaszyna; to o czém brat *insperate* się dowiedział, my z Helusią od dawna wiemy. Postrzedz mogliśmy wszyscy, i brat dobrodziej zapewne, jak się ten biedny chłopiec odmienił, jak stracił humor i wesołość, jak wybladł....—

— Ja to tylko wiem — przerwał Skarbnik, że stracił do reszty ochotę do pracy, a manifesta pisze tylko *Coram actis* panny Starościanki.—

— Nie trudno nam było dójść przyczyny téj jego zmiany, mówiła daléj Podczaszyna; a więc bardzo dobrze, że brat dobrodziéj przedsięwziąłeś wynaleść, jakąkolwiek w tém *salvę*, bo to zdrowie jego zniszczyć może; a zakładać na tém nadzieję, że czas, albo nowy przedmiot uleczy go, to próżno. Gdyby zas jeszcze broń Boże, Starościankę za kogokolwiek wydać chciano, jużby było po nim... Helusia chlipała na te słowa stryjenki.—

— Prawdę mówiąc — rzekł Porucznik,—dziewczyna ładna, i posiada prawdziwie pięć *P.*, jak to panowie wiecie w starym łacińskim wierszu, a którego ja wyuczyłem się na pamięć, przymierzając go zawsze do moich narzeczonych:

„*Ducere quam vellis, habeat P. quinque puella*—
„*Sit Pia, Pulchra, Pudica, Prudens et Pecuniosa!*" (*).

(*) Na przetłómaczenie dosłówne tego łacińskiego dwuwiersza, potrzebaby dobrać pięć przymiotów niewieścich, od litery *P.* zaczynających się; ja cztéry tylko w języku naszym znaleść zdołałem: ale i tych zda mi się wystarczy do szczęścia zamierzającego żenić się czytelnika, jeżeli mu Bóg żonę z niemi zdarzy.

„Dziewczyna, którą masz pojąć niech ma pięć *P.*
„Niech będzie *pobożna*, *piękna*, *poczciwa*, *posażna*, *rostropna*.

O tym ostatnim przymiocie panny Starościanki wątpi kościoł Boży, ale gdy pierwsze cztéry, które ja ledwo pojedyńczo w moich trzech nieboszczkach żoneczkach, i to dobrze szukając, znaleść mogłem, Elżunia równie jako i mój oto aniołeczek, który darmo swoje oczki płaczem psuje, bez kwestyi posiada; toć nie żal i pomyśleć o niej. A choćby i spaść, to przynajmniej z dobrego konia, jak to ludzie powiadają.

— Ale bracie panie Skarbniku, zbierając tu *Consilium* familijne, zapomniałeś najgłówniejszej figury, to jest samego Ludwisia. Jego trzeba wprzód wziąść na ścisłą konfessatę, a potém cóś postanowić, — rzekł X. Ambroży.

— Nie zapomniałem Mości Dobrodzieju, jest on tu podle w moim *dworku*, dałem mu tam umyślnie maleńką robotę drabowania starych mantyków; bo przewidywałem potrzebę jego tu obecności; lecz chciałem piérwej oznajomić braci z rzeczą i przygotować ich animadwersyę; teraz możemy po niego posłać.—

Jakoż za chwil kilka wszedł pan Ludwik.

Zadziwiła go zaraz na progu uroczysta mina trzech stryjaszków, a smutna i płaczliwa siostry. Przemknęło mu po myśli, że tu iść może o wydanie jej za pana Stelnickiego, którego tu niespodzianie znajdował; i postanowił wnet, jako brat starszy, stanąć w obronie Helusi, jeżeliby ją zmuszać chciano. Przywitawszy więc uniżenie wszystkich, zbliżył się do niej i zapytał z cicha: — Cóż ci jest siostro?—

Helenka milczała, a stryjaszki poglądali na siebie zachęcając się wzajemnie oczami i rozmaitemi gestami do zaczęcia.

— *Inter nos loquendo*,—przemówił szeptem Skarbnik do Prokuratora, — Jegomości Dobrodziejowi wypada zacząć, jako głowie familji.

— Wszak go nie do zakonu namawiać mamy, — odpowiedział niecierpliwie, i również z cicha xiądz, dodając: — panie Podczaszy, tyś żonaty, więc gadaj o stanie, w którym od tylu lat żyjesz.

— Hem!... tak... tak..., — szepnął Podczaszy; nareszcie tajemniczo na ucho Skarbnikowi rzekł: — A czy nie możnaby tego na jutro odłożyć?...

— Moi kochani stryjowie, — odezwał się nakoniec Ludwik, — widzę, że tu cóś układacie, żeście się tu nie na darmo zebrali; przywołaliście i mnie, raczcie więc objawić o co idzie?

— Idzie, — odezwał się Stelnicki, przełamując piérwsze lody stryjowskich upominków, — idzie o ożenienie wasana.

— O moje ożenienie? — powtórzył zdziwiony młodzieniec, — komuż i skąd to przyszło do głowy?

— Zkąd to przyszło, Bóg cię wie, panie synowcze — rzekł X. Prokurator, — ale przyszło samemu tobie; bo brat pan Skarbnik dośledziwszy, jak powiada, twoich inklinacyi ku pannie Starościance Kapinowieckiej....

— Ach! ja nieszczęśliwy! — przerwał nagle i zbladł pan Ludwik.

— Trafili w sedno — przebąknął Porucznik.

— Bóg z tobą mój Ludwiku! — mówił powstawszy i zbliżając się doń X. Ambroży; wszyscy niespokojni, toż samo uczynili. — Bóg z tobą! nie ma w tém żadnej winy, ani obrazy Bozkiej. Stan małżeński jest także świętym sakramentem. Rodzice twoi już podeszli, radziby cię zapewne widzieć w postanowieniu; my wszyscy cieszylibyśmy się twym losem, i odrodzeniem się z ciebie szlacheckiego naszego imienia.... Jeżeli więc szczerze serce twe skłoniłeś ku tej zacnej pannie; probujmy! a o ile z nas będzie, wszyscy ci pomożemy.

— Nie wyłączając i mnie od tego, — rzekł Porucznik, i uścisnął Ludwika. Ale ten milczał, oczu łzą zaszłych podnieść nie mógł. Sam nie wiedział co

mu się w głowie dzieje, jakim sposobem Skarbnik odkrył jego tajemnicę, co miał odpowiedzieć, co przedsięwziąść?...

— Kochany mój Ludwiczku, — rzekła Podczaszyna przerywając powszechne milczenie, i gładząc go dobrotliwie po twarzy: — porzuć te żale, ja wiem, że ty kochasz Elżunię, i że ona.... ciebie kocha....

— Ach! moja stryjenko, zkąd ta pewność? i na co ją tu wspominać?... — A patrzał w oczy stryjence pragnąc bodaj od niej powtórzenia tych wyrazów, i dowodu na nie.

— No, no, już my z Helusią wiemy to lepiej od ciebie. Wszakże to nie żadna *wexa* na pannę Starościankę; i pewna jestem, że w takim zamiarze, nie okaże ona ressentymentu dla ciebie. Z rodzicami jej tylko, a najbardziej z matką będzie rzecz trudna, zwłaszcza przy teraźniejszej z niemi twoich rodziców scyssyi. Już w tym moja kobiéca głowa nie da wam rady.

— Ale moja bywała głowa doradzi — rzekł Porucznik, — jeżeli jej posłuchacie. Oho! nie takie rzeczy opierały się o nią! —

Wszyscy go więc otoczyli ciekawie, prócz Ludwika, który stał smutny i zadumany przy ścianie.

— Oto tak. Oj! nie masz moich porcenelo-strokatych. Szkoda i wielka szkoda!

— Mniejsza tam o waćpana, porcenelo-strokate, — przerwał zniecierpliwiony xiądz; — radź wolej co masz radzić.

— A mój Dobrodzieju, bez tego ferworu, ja i na moich siwych kucach, tegoż samego dokażę wprawdzie, ale łatwiej byłoby z tamtemi. Jedźmy natychmiast panie Ludwiku, przez noc do Dowiatowszczyzny; ja jutro rano niby mimo jazdem, i dla handlu koni, pojadę do Starościństwa; ty dasz mi do Elżuni strzelisty list, zaklinając, aby się na moje propozycye zgodziła. Jeżeli cię kocha prawdziwie, zgodzi się; natenczas powracam do Dowiatowszczyzny, kujem

konie hakami naprzód, podjeżdżamy w nocy.... i Jegomość Dobrodziej czekaj na nas po jutrze rano ze stułą i agendką w swojej zakrystyi. Pogoń za tropem naszym w piętę pogoni, a ja dostawię państwo młodych na kobierzec. Byle dobra wola Elżuni, za pomocą Boską ręczę, że się wszystko uda; bom ja w takich rzeczach *peritus et promptus*, trzecią moją żonę uwoziłem.

— A niechże nas Bóg broni od takiego żenienia naszego synowca! — rzekł żegnając się X. Prokurator.

— To rapt, *inter nos loquendo*—to wieża *in fundo* — dodał Skarbnik.

— At prawisz! wieża *in fundo!* kogożby tam Starostowie wsadzili? z zięciem i własną córkę. Wiadomo co nastąpi, pogniewają się i przebaczą. Ale jeżeli moja rada wam się nie podoba, to radźcie inaczej, byle skuteczniej, o czém wątpię.

— Kochani stryjowie, — odezwał się, jakby ocucony ze swego milczenia, sam Ludwik. — Napróżnobym zaprzeczał i tail przed wami, przywiązanie moje do Starościanki. I gdyby moje uszczęśliwienie od niej tylko zależało, możebym.... tak przynajmniej stryjenka mówi....

— Mówię, mówię, bo dobrze znam serce i sympatię ku tobie Elżusi.

— Mógłbym i ja, — rzekł Skarbnik — zacytować na to niektóre dowody *in scriptis...*

— Dość tego kochani stryjaszkowie moi, — przerwał żywo młodzieniec; — jakkolwiek to jest, dziś próżnemi byłyby moje wszelkie o jej rękę starania. Bóg jej inny, szczęśliwszy zapewne los przeznaczył, gdy widocznie coraz nowe między nami stawi zapory. Niech się dzieje Jego święta wola.

— Nieboraczek!... biedniaki!... — smutnie odezwała się Podczaszyna.

— Ponieważ zaś, — mówił dalej Ludwik — jako sprawiedliwie uważa stryj, nie mam żadnej ochoty,

ani powołania do jurisprudencyi; więc postanowiłem zaciągnąć się do wojska, i oddalić się z tych stron, abym i siebie, i... drugich nie dręczył.

— Jedynak do wojska! piękna *impreza!* — zawołał milczący dotąd Podczaszy; — a rodzice starzy przy kim zostaną? a my także starzy, którzy ciebie za syna mamy, co poczniem?

— Dalibóg radźcie wasaństwo, — dodała wzruszona do łez Podczaszyna, obracając się do mężczyzn. — Radźcie, bo chłopiec z rozpaczy gotów na wszystko. Helenka także płakała.

— Cóż to złego wojskowość Mościa Dobrodziko? — rzekł pan Porucznik. Owszem, młodemu ten stan najbardziéj przystoi. Stryjaszkowie i rodzice łatwo dadzą sposób panu Ludwikowi, kupienia szarży, naprzykład porucznikowskiéj; a przyczepiwszy szlifę, chłopiec jeszcze cudniejszym będzie, i nie tylko Starościankę, ale i Kasztelankę jaką do Dowiatowszczyzny przywiezie.—

— Ja opowiem Ichmościom, jak zaczynając moją służbę od towarzysza.... —

— Zaczekaj Poruczniku z *narracyą* swoją, przerwał Skarbnik; skończmy piérwiej cośmy wzięli na rozwagę, a potém chętnie słuchać będziemy pańskiéj ciekawéj historyi. Mnie się zdaje, mości xięże bracie Dobrodzieju, że nim pan Ludwik swoją żołnierkę wyszykuje...—

— Przepraszam stryjaszka, przerwał ten, ja najmniéj nie myślę odwlekać mego postanowienia.—

— Wszelkie postanowienie, odpowiedział Skarbnik, uczynione bez namysłu, wątpliwe wróży *eventa;* a tém bardziéj postanowienie, jakby z rospaczy, do któréj *inter nos loquendo,* ja nie widzę powodu.—

— I w całém życiu ludzkiém, odezwał się X. Ambroży, choć ten świat padołem płaczu nazywamy, ani momentu przeznaczonego na rospacz dla człowieka, nie ma; bo to byłby moment przeznaczony dla

najcięższego grzechu, to jest wątpliwości o dobroci i miłosierdziu Boskiém. A więc tego grzesznego wyrazu, tu i wspominać nie należało waćpanu panie bracie; bo to ni w pięć, ni w dziewięć.—

— Dla tego też ja dodałem *jakoby*, czego nie uważałeś *Reverendissime*, a ten wyraz modyfikuje wszystko.—

— Masz tobie! prawdziwy adwokat. No, słuchamy daléj twoich *Consiliów*.—

— Otoż życzyłbym poprobować szczęścia, i propozycyę naszą względem ręki panny Starościanki dla pana Ludwika, oświadczyć jej rodzicom.—

Na ten niespodziany projekt, twarz Ludwika błysnęła promieniem, i wnet znowu się zasępiła.—Nie, kochany, stryju, mówił on; nie, to byłoby napróżno. Jeżeli nie dawno jeszcze mogłem sobie roić jakie nadzieje to ten nieszczęśliwy proces, zniweczył je zupełnie.—

— Proces! prawda; ale wszakże nie my go zaczęliśmy. Upodobał się panu Staroście...—

— Mów Starościnéj, przerwał Stelnicki.—

— Mniejsza oto, może i obójgu. Zaścianek od wieków nasz, w pięknéj bardzo pozycyi nad Willą, i tuż przy wiosce Starosty, a intratny; bo przy corocznéj defluitacyi drzewa i zboża po rzece, znaczny dochod jest tam ze sprzedaży gorzałki i rozmaitych wiktuałów, więc go sobie chcą przywłaszczyć, i imaginujcie sobie państwo....—

— Zaczekaj Skarbniku Dobrodzieju, przerwał mu Porucznik z narracyą swoją, wetując temiż samemi wyrazami, za przerwanie własnéj, skończmy piérwiéj cośmy wzięli na rozwagę, a potém chętnie słuchać będziemy, pańskiéj ciekawéj historyi.—

Uśmiechnęli się oba bez gniewu.

— Prawdę mówisz Poruczniku: otoż chciałem powiedzieć, że czyniąc tę propozycyę Starościnéj, postawiemy ją jakoby na rozstannych drogach do wybrania.—

— *Jakoby* — powtórzył X. Ambroży.—

— A tak *Reverendissime*, jakoby na rozstannych drogach i *inter nos loquendo*, w krytycznéj z własném sumnieniem *kontrawersyi*. Wybieraj Mościa Starościno albo niesłuszny proceder, albo słuszne, poczciwe, i podług jéj własnego wyboru postanowienie córeczki, których *notandum* jest kilka, a posagów *pasz*. Idzie więc tylko, aby im to w dobitnéj konkluzyi na oczy postawić. Starosta, wiemy, że kocha po rodzicielsku swoją piérworodnę, i gdyby nie wysoki animusz pani Starościnej, siłą którego *inter nos loquendo* kredensuje mężowi; a przytém jakaś ochota do procesów, za któremi imość po subseliach i trybunałach uwija się, wmawiając każdemu szérokie swe wpływy w Warszawie, zkąd kiedy niekiedy, przywozi z okienkami przywileje na *stalla* powiatowe, ale nigdy przecież obiecane starostwa: nakoniec gdyby nie nadzieja jej, że wysoką parantelą, zastąpi córce posag, lub że ten posag wygranemi procesami zwiększy, z samym panem Starostą byłaby rzecz łatwiejsza. Uczciwie urodzonemu szlachcicowi, sąsiadowi, dziedzicowi dobrej substancyi, a expektantowi sukcessyi *post fata*, *inter nos loquendo*, daj Boże nie rychłe, stryjaszków, nie odmówiłby on ręki panny Elżbiety; przekonawszy się zwłaszcza o wzajemnej serc inklinacyi, dowodzącej przeznaczenia Boskiego... Możnaby jeszcze jakoby *a latere* rzucić myśl, że posagiem *ad interim*, będzie kassata tylko procesu o zaścianek. Nic na tém Pan Ludwik nie straci, bo *nullus dat qui non habet* (*), a właśnie Starościństwo jest w takiej kategoryi.—

— *Sapientissime argumentatum!*—rzekł X. Ambroży, nie pozostaje więc nic więcéj, jak abyś sam się udał do Starosty, i wszystko to im obojgu z należytym rozbiorem przełożył.—

— Wertowałem to ja w głowie, przez całą noc

(*) Nikt nie daje, kto nie ma.

Reverendissime, odpowiedział Skarbnik, rozważając wszystko *pro et contra*, i skonkludowałem? że mnie tam jechać nie wypada. Ja bronię u sądu sprawy brata, przeszliśmy przez *subselie*, gdzie się nie dałem pokonać. Przychodzimy teraz do trybunału; Starościna wie, że i tu ją najtężéj oppugnować będę, i przy sprawiedliwości mam w Bogu nadzieję, że jej szyki połamię. Więc przybycie moje nie będzie jej miłe, i propozycya z ust moich, tém trudniej akceptowaną być może.—

— A zatém przypada użyć obcej osoby — odezwał się Podczaszy.—

— I to nie: przed obcą osobą imość zadrze nosa, i skonfundować gotowa i swata, i swatanego.—

— Dajcie temu pokój kochani stryjowie, odezwał się przysłuchujący się w milczeniu Ludwik; po co się samym bezskutecznie narażać, i po co zasmucać i udręczać tę, dla której.... lękam się bowiem....—

— Czego się lękać? — przerwała żywo stryjenka; najgorzej będzie, kiedy się będziesz lękać. Czytaj, co dziś nam z Helusią wypadło z kabały o tobie — i to mówiąc, znalazła wnet w xiążeczce wierszyk wyżej przepisany, i pokazała Ludwikowi.—

— »*W każdéj życia konjunkturze*, czytał on uśmiechając się: »*Upadają tylko tchórze.*«—

— A widzisz, i na Elżunię ciągnęłyśmy...—

— A moja mościa bratowo, rzekł X. Ambroży; cóż to za zgorszenie sama czynisz, i synowicy wmawiasz! Kabały, czary, i wszelkie takie gusła, są wyklęte od Kościoła Bożego: to sidła, to pastki, które szatan na łatwowierne dusze zastawia; wstydź się waćpani, i nie mieszaj do poczciwych zamiarów i rad naszych, takich nieczystych influencyi, od których abym was ochronił — dawaj imość. — Wyrwał xiążeczkę z rąk bratowej i cisnął na kominek. Płomień chwycił papier, i buchnął słupem w górę. Patrz waćpani, rzekł, porywczo podprowadzając ją do kominka: oto tak dusze w czyscu gorą za czary i gusła.

A tu koło kominka pewnie szatan tańcuje teraz, chcąc wyrwać z ognia, ulubioną waćpani xiążeczkę, ale nie dokaże tego, bo ją ręka kapłańska tam potępiła.— Podczaszyna z przestrachem cofnęła się, i lubo mężczyźni rozśmieli się na ten gorący napominek X. Ambrożego, u Podczaszynej jednak oczy łzami zaszły, a Helusia drżąca za brata się schowała.

— Proszę Imości i obowiązuję, pójść w niedzielę z panną Heleną do spowiedzi, i być na kazaniu; bo tam, gdzie idzie o zbawienie duszy, żartów nie ma. A teraz panie Skarbniku, twoje *conclusum* słuchamy.—

— Moje *conclusum Reverendissime*, jest takie: abyś Jegomość Dobrodziej, podjął się tego poselstwa, i albo połączył tam dwie propozycye w jedno, lub je *separatim* traktował, jak będzie wypadało.

— Przed zbliżeniem się ostatecznej decyzyi w procesie, właśnie jest czas zagajenia kombinacyi: a jeżeli piérwsza odrzuconą zostanie, abyś wsparł ją drugą, z której piérwsza *se ipso* wypłynie, i w niej się zawrze.

— Słowa pokoju w ustach brata Dobrodzieja jako kapłana, najprzyzwoitszemi będą; a jeżeliby Starościna na argumenta prawne wpadła, znajdzie *inter nos loquendo* adwersarza....

— Czy znowu chcesz mnie na drogę potępienia prowadzić?—przerwał porywczo xiądz — zapomniałeś!....

— A Mości Dobrodzieju, odpowiedział z powagą Skarbnik; pogodzić zawziętą kłótnię między dwiema familiami, i jeszcze familie te skojarzyć sakramentem; spełniwszy taki uczynek, powiedzieć śmiało można *Laus tibi Christe!* a sposoby ku temu, ja zostawuję zupełnie wysokiej mądrości i experyencyi brata dobrodzieja. *Licet* zatém *sperare*, że dla tak prawdziwej zasługi przed Bogiem i ludźmi, i dla dobra własnej krwi, brat swej fatygi i łaski nie pożałujesz.—

X. Ambroży uspokoił się, i rozpogodził zmarszczo-

ne czoło, a po niejakim rozmyśle, obrócił się do Ludwika i zapytał:

— Powiedźże waćpan, czy *inklinacye* waćpana do panny Staróściank są prawdziwe? i czy żądasz, abyśmy o jéj rękę dla ciebie krok niejaki uczynili?

— Kochany stryjaszku, rzekł rumieniący się młodzieniec; taić nie będę przed wami, którzy tak szczérze moim losem zatrudnić się chcecie, że podług mojego serca, byłbym najszczęśliwszym w posiadaniu ręki nadobnej tej i najlepszej dziewczyny. Że ona sama... namyślającemu się, jak się dalej wyrazić? dopomógł Porucznik.—

— Kocha ciebie. Co?—

Ludwik na ten wyraz spłonął na nowo.

— Gdyby i tak było, mówił dalej, smutném ruszeniem głowy, wydając boleść wewnętrzną, cóż po tém? gdy widocznie przeznaczenie naprzeciw nas, gdy pewny jestem, że rodzice jej na to się nie zgodzą; a nawet moi właśni, czyliż dozwolą kroku, w którymby przeciwny ich znaleźli zręczność poniewierki dla szlaheckiego naszego imienia.—

— Przeznaczenie — jest to nie co innego, tylko wola Boska, moje dziecię, rzekł X. Ambroży; a poczciwym zamiarom Bóg dopomaga. Bez woli rodziców twoich, naturalnie, że nic rozpoczynać nie będziemy. *Spernować* zaś nami, Starościństwo nie ma powodu i nie może; a nie widzę żadnéj konfuzyi w rekuzie, której często kroć i najszlachetniejsi kawalerowie uniknąć nie mogą; zresztą będę wiedział jak te rzeczy prowadzić.

— Posłuchajcie jeszcze raz mnie starego... tfu! co chciałem mówić — dobrze, że Helusia w alkierzu, dawnego a prawdziwego swego przyjaciela. Jam nie obcy obu familiom, i chciałem z całego serca widzieć obie w pokoju i jedności, jak dawniej bywało; a temu poczciwemu chłopcowi chciałbym także usłużyć. A zatém jeżeli wola, ofiaruję się w sekundy X. Prokuratorowi: dość będzie samej jednej kobiéty na

głowę Jegomościa Dobrodzieja, i gdy ją będziesz kruszyć, ja tymczasem ze Starostą mocować się będę.

— Prosiemy, i owszem prosiemy kochanego Porucznika. — A ja, dodał X. Ambroży nadewszystkich.

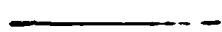
— Jutro zatém rano, czwórką moich siwych.— Oj! nie ma porcenelo-strokatych! zajeżdżam gdzie rozkażecie, i zabieram ciebie *Reverendissime*. Za godzin trzy będziemy w Dowiatowszczyźnie; a ztamtąd po obiedzie z błogosławieństwem rodzicielskiém, ruszym gdzie nas daj Boże *fortunne fata* poprowadzą; zaś w propozycyach mądrze sobie i ostróżnie poczynając, albo zejdziemy do bliższych *exwiseracyi*, albo zrejterujemy się gładko. Oj! bo ja szczwany lis!—

— Cieszę się z towarzystwa i z życzliwości Porucznika dobrodzieja, rzekł X. Ambroży, a zwłaszcza gdy wyrozumiewam że rzecz tę z ostróżną delikatnością ze swéj strony prowadzić masz, bo i ja takimże krokiem postępować będę. Gdy więc tym sposobem skonkludowano radę, wszyscy zabierali się do odejścia; lecz że już zmierzch po krótkim dniu zimowym zapadał, przeto Podczaszowstwo, zatrzymali wszystkich na wieczerzę.—



VIII.

Bywalec — Spiewaki.



—Imajnujcie sobie Państwo, rzekł Porucznik; trzecią moją żoneczkę wykradałem w Borysowskim, gdym tam *lafę* na regiment mój wybierał. Bal wszystko się ułożyło jak najlepiej; całą zimę polo-

wałem z ojcem panienki na niedźwiedzie i łosie, bo to puszcze tam głębokie, i źwierza hrubego gwałt. Wdowiec to był, i przypadliśmy sobie do humoru; ale też i córeczka jego przypadła mi do humoru; bo to fertyczne, i impetyczne było dziecko, a nie miałem jeszcze takiéj. Z powolnemi już mi się naprzykrzyło; młodać to jeszcze, myślałem; jak ją wezmę po swojemu, uchodzi się, a zostanie wrodzona wesołość, z którą miléj żyć, jak ze zmokłą cieciorką, co wiecznie piszczy i głowę suszy.

— Więc ja, krótko mówiąc, w konkury! Tatunio poznał od razu interes. »Daj waść pokój, rzekł raz »do mnie, tym zalotom do mojéj Ewusi; ja jej za »ciebie nie wydam, bo ty już rycerz z regimentu »Działyńskiego (*), a ona kozak dziewczyna; jej trze»ba rzeźwego młokosa, a ty wdowiec i jeszcze po»dwójny. Kiedy już tak chcesz żonki, weź jaką pod»żyłą kwokę, wdowę jak sam, to się łatwiéj z sobą »pogodzicie.« Po kilku dniach, gdy widział, że perory jego nic nie pomagają, ani mnie, ani córce, więc znowu do mnie: »Jedź Waść do sta djabłów! — rzekł; lafę »już wybrałeś, po co siedzisz? ja chleba nie żałuję, »ale bałamucisz mnie córkę, a prawdę mówiąc, ona »ciebie bałamuci; i jej i ciebiebym żałował, gdybyście »się pobrali. I to jeszcze masz wiedzieć, że posagu »nie dam, bo pieniędzy nie mam, chyba kilka skór »niedźwiedzich na małżeńskie łoże.» Zacząłem więc wybierać się w drogę, ale pomyślałem, zaczekaj tatuleńku, dowiodę ja tobie, żem nie z komendy Działyńskiego!!! O posagu pogadamy poźniej; zresztą przed każdym moim szlubem śpiewałem ja jedną piosnkę:

„Fraszka, fraszka, sto tysięcy!
„Dobre dziewcze warte więcej,“ (**)

(*) Była dawniej powszechna opinia w przysłowie zamieniona, że w tym regimencie same byli niedołęgi,

(**) Dawna piosnka.

choć po szlubie inaczej się pomyślało. Otoż, czy przez prawdziwy dla mnie afekt, czy chcąc wyrwać się z domu rodzica, bo jak to mówią, dziewczyna każda za okno patrzy; słowem, że Ewusia łatwiuteńko zgodziła się na propozycyę moją uwiezienia jej. Urządziłem wszystko ładem, wyjechałem z domu tatuni pożegnawszy go solennie, a następnej nocy z dobranym przyjacielem, podjeżdżamy tęgą czwórką karych, jak dziś pamiętam, i stajemy o kroków kilkaset od bramy, a sami piechotą, podchodzimy jak wilki po owieczkę, aż pod okna Ewusi....

Stuk! stuk! otwiera się okienko, i gołąbka w mojém ręku!... Drży jednak trochę, ale to nic — dobra nasza. Podprowadzamy ją — biegniem... już jesteśmy w pół dziedzińca.... byle za bramę... już tylko kilkanaście kroków.... gdy nagle!...

Zamilkł Porucznik, i wziął szczyptę tabaki od Podczaszego, i zażywał ją od niechcenia, prowadząc z uśmiechem oczy po zainteresowanych słuchaczach.

— Cóż się stało dla Boga? — rzekła niespokojna Podczaszyna.—

— Ot jak Imość Dobrodzika ciekawa! zgadnijcież Państwo?—

— Nagle zapewna psy wypadły — rzekł Podczaszy i wasanu poły oberwały; ludzie się rozbudzili, zdrada się odkryła. Jaka potém konsekwencya, szczególniej dla córki, łatwo się domyśleć.—

— Trafiłeś jak kulą w płot, Podczaszy Dobrodzieju.—

— A więc cóż się stało?—odezwali się wszyscy.—

— Nagle.... Stój!—

— Ach! Jezus Marya, Józef! — krzyknęły kobiéty, gdy Porucznik jak z pistoleletu to słowo wypalił.—

— Stójcie! powtórzył ten Herod. Stójcie! Na co tak śpieszno panie Komendancie regimentu Działyńskiego? Tym mnie, przyznam się do żywego dojadł:— Wypijcie kawę, nie zdrowo na czczo wyjeżdzać, i

ruszajcie potém z Panem Bogiem (*). Ja tu pomyślę, abym pustelniczego życia nie pędził. Nie będzie córki, będzie żona, i nadzieja w Bogu będą dziatki, którym dom rodzicielski jak tobie Ewusiu swędzić nie będzie. Z Panem Bogiem zatém, z Panem Bogiem!— Xiądz czeka w kaplicy po drodze, wiem o tem dobrze. — Aleś trzymaj się dobrze panie zięciu; ostrzegałem waści i teraz ostrzegam. Pilnuj żoneczki, jak lisa na przesmyku; bo *solito more*, złodzieja, lepszy złodziej okrada, a jeszcze oficera z regimentu Działyńskiego. Cha! cha! cha! Bywajcie zdrowi!

— Mało mnie djabli ze złości nie wzięli; staliśmy wszyscy jak powarzeni. Piérwsza Ewusia odezwała się: — Czegoż czekamy? Czy kawy, na którą nas zaprasza? Jedźmy! to i pojechaliśmy. Mimojazdem w kaplicy wzięliśmy szlub, i oparliśmy się aż na Ukrainie, bo tam stała moja Pińska brygada. A tatulo jak powiedział, tak i zrobił: ożénił się i ma dzieci jak bobu; bo i dotąd z łaski Boga żyje. Ale co gorsza, że i moje *futurum* wyprorokował. Ewusia kochana wyprobowawszy peregrynacyi *insperate* rozpoczynanych, w rok potém wymknęła się i ode mnie z młodym doktorem, który jej wmówił i nauczył jakiéjś nowomodnej choroby, nazywającej się *Spazmy* (**). Chwała Bogu, że ona u nas szlachty nie grassuje, bo powiadają, że nasze wielkie panie, już na nie chorować zaczynają.

— Jakaż to choroba? widać kobiéca — zapytała Podczaszyna.

— Oj Mościa Dobrodziko, to szatan wstępuje w kobiétę.

— W Imie Ojca i Syna! To nie choroba, to dopuszczenie Boże, to opętanie; a wszakże ja sama wi-

---

(*) Prawdziwe.

(**) Właśnie czas téj powieści, przyda na period spazmowania kobiét w Polsce, była to modna choroba.

działam, nie tylko baby, ale dziadów nawiedzonych.

— Chciałem powiedzieć sensem pana Skarbnika, *jakoby* wstępuje szatan w kobiétę. Najprzód tedy zaczyna ona złować, najmniej przez trzy dni i trzy noce; potém poziewać, potém śmiać się i płakać razem, a potém Boże odpuść, jak nawiedzona, różne dokazywać łamańce: kurczy się, wyciąga się, przewraca oczy...

— Jakież na to lekarstwo?—przerwała niecierpliwie Podczaszyna.

— Lekarstwo! lekarstwo! ja probowałem jednego.

— Jakiegoż?

— Przypomniawszy, że nawiedzonych, leczą paskiem Św. Antoniego, odpiąłem paski od mojéj karabeli i chorej Ewusi... tu pokazał wyrazisty gest.

— *Inter nos loquendo, medicamentum grave!*— rzekł Skarbnik kręcąc głową.

— I pomogło Mości Dobrodzieje; serdecznie pomogło! jak ręką ujął. Tylko, że moja pacyentka nieupodobawszy widać takiéj medycyny, wolała kuracyę swego pana doktora, i dla tego z nim uciekła, wybrawszy sposobną porę, mojej nieobecności przy komendzie. Wyrekuperowałem ja ją wprawdzie; a pan doktor musiał potém długo sam się leczyć, nim się wylizał z mojej od spazmów kuracyi, do której zamiast pasków od karabeli, użyłem boćkowskiego arkanum...

— *Medicamentum gravissime!* — rzekł znowu uśmiechając się Skarbnik, i za nim wszyscy. — Lecz już odtąd, mówił daléj Stelnicki, Bóg nam w pożyciu nie szczęścił, i wkrótce na wieki nas rozdzielił. Umarła: tylko nie ze spazmów, ale z gorączki, grassującej tam natenczas śmiertelnie. Wieczny jej pokój mospanie!—

Zamilkł Porucznik, pokiwał głową, i zarwał opowiadanie, bo wrzekomo ani siebie, ani słuchaczów, rozczulać nie chciał.

Tymczasem zmierzchło zupełnie; płomień zatém na kominie, nowemi zażywiono drewkami, a cała kompania na stołkach i zedelkach, obok siebie przed ogniem osiadając, uformowała półkole, a raczej obraz na tle ciemném izby, małym tylko jednej świéczki płomykiem wątpliwie z tyłu rozwidnionéj, a z przodu jaskrawém od komina oblanej światłem. Na niém to grono rozmaitością twarzy, wieku i wyrazu wybitne, interesowne dla malarza dałoby wzory.

Mnich surowego oblicza, z czerwonym krzyżem na białym habicie, zajmował środek obrazu. Obok matrona, jakby z wiejskich malowideł *Teniera* zdjęta; w strojnym bławatnym kapturku, i bławatnym półsalopkiem okryta; z licem łagodnej, prosto-dusznej a poczciwej niewiasty, takiej właśnie jakiemi babki i prababki nasze bywały. Z drugiej strony czerstwy, ze łbem wygolonym weteran, zawiesistego pokręcał wąsa, i żywe jeszcze oko, zwracał na opowiadacza, którego rycerska postawa znana już nam, a rzeźwa i dziarska, rozweselała posępny układ ogółu, upięknionego jeszcze dwiema ładnemi młodemi twarzami, wyglądającemi z cienia z za starszych.... Wnet jednak poważne te rozpłomieniły się oblicza, gdy Helusia z wdzięcznym uśmiechem, podniosła każdemu tackę z pełnemi lampeczkami.

—Lipczyk moje Dobrodzieje, dalibógże kowieński stary lipczyk!— wykrzyknął Porucznik, i smakując z roskoszą, sam jeden dalszą prowadził konwersacyę.

—Dla czego Imość Dobrodzika—mówił obracając się do gospodyni, tak mocno oppugnujesz zamiar Ludwisia, zaciągnienia się pod chorągiew Marsa?

— Jakiego to Marsa?— zapytała Podczaszyna.

—Ej Mościa Dobrodziko, to był bożek pogański; ale to się rozumie przez allegorye, a znaczy po prostu żołnierkę. Więc cóż to złego?—pytałem już i

teraz pytam? Dwadzieścia siedm lat traktowałem wojskowo, a cóż mi złego się stało? Służyłem ojczyznie z honorem, i jeszcze za moją szarżę kilkanaście tysiączków schwyciłem. Zwiedziłem cały nasz kraj, jak szeroki i długi; a nawet trzy razy żeniłem się, nigdy od kobiétek nie doznając ressentymentu; i jak mnie widzicie panowie, bynajmniej nie postarzałem, bo trud Mościa Dobrodziko i praca, hartują człowieka.

— A wojna broń Boże? — rzekła Podczaszyna.

— Wojna! Ej gdzież tam ta wojna! Nie słychać dzięki Bogu o wojnie, a gdyby i zdarzyła się, to Mościa Dobrodziko, człek strzela a Pan Bóg kule nosi. Można i za piecem umrzeć bez wojny. Oddalenia zaś od krewnych i familii obawiać się nie należy: bo u nas po całym kraju zda się jedna rodzina; a gdziekolwiek gódny i zacnéj krwi szlachcic zajedzie, to go wszędzie *apertis manibus* przyjmą. W Koronie, czy w Litwie, na Ukrainie czy na Rusi, jak zaczną wyprowadzać antenatów; a liczyć kto z kogo rodził się, kto gdzie bywał, kto gdzie, i komu jaką *salvę* uczynił? Kto z kim do szkół chodził, albo u dworu służył, albo sejmikował, albo jaką wyprawę robił: to jak po nitce dójdzie się, że alboś w domu kolligata, albo wnuka czy prawnuka przyjaciela naddziada twego. A ztąd wraz i komitywa i przyjaźń, i człek jak u siebie, choć o sto mil od gniazda.

Imainujcie sobie Państwo moje, jedno zdarzenie. Po sukcessyą tam jakąś spadłą na moją drugą żonę *de domo* Zabłockę, musiałem niegdyś pojechać w Witebskie; pierwszy raz na życiu tam zawędrowałem. Wybrałem się zwyczajnie po żołniersku, bez wielkich bagażów i ekwipażów; trójka koni, bryczka z płóciennćm pudłem; wyrostek rzeźwy i trzeźwy, szabla, gwintówka, i para pistoletów. Ot i wszystko — przy

6*

tém sakiewka z małym zapasem, bo ją sukcessyą naładować miałem, i patent oficerski za nadrą.

Mil z pięćdziesiąt i więcéj tak odbywszy zbliżałem się już do celu, i zajechałem na nocleg do miasteczka, jak dziś pamiętam, *Czasznik;* gdzie i.... umarłem!

— Co to się ma znaczyć? — zawołała cała kompania.—

— A cóż to tak dziwnego Ichmościom, że umarłem? zwyczajnie jak człowiek! Dziwniejsza zda mi się, że zmartwychwstałem, i że żyję zdrów i wesół, do usług Państwa Dobrodziejów, i tego mojego aniołeczka, który nam tak smacznego lipczyku dolewa.—

— Któż cię wskrzesił?—zapytał X. Ambroży.—

— Kto mię wskrzesił? Dziadulek mego pradziadulka!—

— Co tam bałamucisz, kochany Poruczniku?—odezwał się Podczaszy; opowiedź nam woléj całą historyę porządnie.—

— A jakże Ichmość chcecie? Czy od końca idąc do początku? Czy od początku do końca? to jest: czy od śmierci do zmartwychwstania, czy od rezurekcyi cofając się do śmierci?

— Idź jaką chcesz drogą, byle *zrozumiętelnie*— odpowiedział Podczaszy.—

— No, a na czemże stanąłem?—

— Stanąłeś na noclegu w Czasznikach.—

— A tak; jak na nieszczęście trafiłem tam na *Szabas*, i zjadłem całego szczupaka, którego bogaty żydzisko w karczmie, dla siebie i swoich gości przygotował. Odpędziłem i gości i gospodarza od misy; uciekli krzycząc:— *A Kanfederat! A Kanfederat!* — A ja nad nią zasiadłem i zrepetowałem całą. Nieoszczędzałem wprawdzie i flaszki, z wyborną szabasową wódeczką, któréj także Izraelici odrzekli się; ale musieli niedowiarki urzec mnie, bo nieustannie szeptali cóś poglądając z daleka. To też w nocy, zaraz, rozchorowałem się okrutnie i wkrótce umarłem zapewne, bo nie wiem co się ze mną stało....—

— Zapewne wpadłeś w malignę, i straciłeś przytomność — rzekł znowu Podczaszy.—

— Nie przeczę — pewnie jednak, że nie byłem na tym świecie.... A gdy zmartwychwstałem i otworzyłem oczy, to znowu rozumiałem żem w raju. Oto i macie krótki rozdział historyi mojéj aż do rezurekcyi.—

Obaczyłem się więc w komnacie bardzo pięknéj, na miękkich pierzynach, i otoczony kilką osobami, na których twarzach jąkąś życzliwość ku mnie od razu poznałem.

— Bądź dobréj myśli panie Poruczniku — rzekł jeden z nich — choroba się przesiliła, będziesz zdrów, i bądź spokojny o siebie, bo jesteś w domu przyjaciela.—

— Niechże wiem — rzekłem, komu życie wyniénem?—

— Bogu najpiérwéj — odpowiedział tenże sam jegomość, i Jemu składaj dzięki; a gdy się obmożesz, dowiesz się reszty. Teraz słuchaj pilnie tego pana, jest to doktór który cię ratował i nieutrudzaj niczem myśli, ani głowy.—

Jakoż doktor ten dawał mi rozmaite kordyały, skutkiem których i za pomocą Bożą, we dni kilka mogłem już siedzieć na łóżku, i codzień mi sił przybywało.

Natenczas wszedł do mnie Pan Józef Szczyt, w jego to bowiem domu w.... się znajdowałem; człek jeszcze młody, ale Pan zacny *de re, et nomine.* Z wielką xięgą w ręku, i nie dozwalając mi fatygi na podziękowanie mu, albowiem warto mi było za jego dobrodziejstwa i do nóg mu się rzucić, zapytał mię, jakich jestem Stelnickich? i jakiego herbu?

— Ród nasz — rzekłem z Korony, z województwa Sandomirskiego, herbu Róża. Ojciec mój przeniósł się do Litwy, ale mamy tam jeszcze familię.—

— Tak właśnie, tak. Chwała Bogu! »*Ex palatina-*»*tu Sandmiriensi*, *Stemmatis Rosae*« powtarzał

pan Szczyt rozpatrując się w xiędze, i zapytał jeszcze.—

— Czy umiesz po łacinie panie Poruczniku?—

— *Intelligo* — odpowiedziałem.—

— Więc słuchaj: »*Anno domini millesimo.*«—

— A gadaj po polsku Poruczniku dobrodzieju— przerwała Podczaszyna.—

— Kiedy Imość dobrodzika każe, to i owszem, bo dla mnie wszystko jedno; ja po łacinie jak rzepę gryzę.

Uśmiechnęli się mężczyzni, że prośba Podczaszynéj w samą chwilę dogodną dla chluby Porucznika przypadła.

— Czytał zatém pan Szczyt — rzekł dalej Porucznik, w téj wielkiéj xiędze, sławnej pamięci przodka swego, Mikołaja Szczyta, Wojskiego Połockiego, i walecznego niegdyś obrońcy Połocka, do swych sukcesorów perorę, tak zapisaną: którą ja *praeter propter* pamiętam, i teraz przewertuję Ichmościom po polsku:

»Ktokolwiek z następców, i choćby najodleglej»szych potomków moich *Szczytów*, będziesz czytał »to moje pismo; wiedz i pamiętaj, że gdy w ro»ku 1563 (*), nie folgując zdrowiu memu, ani krwi »w obronie Połocka, zostałem wzięty w niewolę, i »zaprowadzony na Moskwę do Cara Jegomości Iwana »Groźnego, gdziem przez lat dziesięć (**) zostawał, »obok ze mną walczący namiestnik chorągwi mojej »Justyn Stelnicki, również w niewolę był wzięty, i »przez cały czas ze mną tam zostając wszelkiemi po»sługami i staraniem w chorobach i niedostatkach, »nie raz mi zdrowie i życie ratował. A gdy po powrócie »z Moskwy, miał dążyć do swéj rodziny w woje»wództwo Sandomierskie, zginął tu na pojedynku, »z racyi jaką poniżéj opiszę. Tak więc Bóg mi nie »dozwlił wynagrodzić mu i zawdzięczyć jako chcia-

(*) Historyczne. (**) Z podania domowego.

»łem, za jego dla mnie usługi i życzliwość. Nie za»pominając zatem aż do zgonu mego, o jego duszy, i »na pamiątkę w miejscu, gdzie był śmiertelnie ugo»dzony, wymurowawszy słup (*), gdy widzę, że i »sam wkrótce ten świat pożegnać muszę, zapisuję »więc w tę xięgę, w której całe życie moje, i wszel»kie onego ewenta wiernie opisałem, i tę okoliczność; »zaklinając wnuków, i potomków moich w najdal»szej descendencyi, aby najprzód w ofiarach i mo»dłach za moją duszę, (na co i legacyę czynię stałą), »nie rozłączali nigdy mego imienia od imienia *Justy»na*. A nadto, jeżeli zdarzy się któremu z nich spo»tkać się z jakimkolwiek Stelnickim z *województwa »Sandomierskiego* rodem, *herbu Róża;* a tém bar»dziéj z potomkiem *Justyna*; niechże pamięta, że »jest w obowiązku czynić mu wszelkie pomoce i *sal»wy*, jakichby jego stan i położenie wymagały. Owszem »niech mu opowie tę historyę, aby dobro sobie »świadczone, mógł uważać jakby sukcessyę po swym »przodku *Justynie*. A każdego z moich potomków, »którym by w zdarzeniu nie spełnił ochotnie tej mojej »woli, na Sąd straszny zapozywam.«

— Zacne panisko! — rzekli słuchacze, zacne panisko!—

— Tak, dodał Skarbnik — zacne panisko! Lecz nie mniemajcie Ichmość, aby to był u nas przykład jedyny. Ja, który z obowiązku professyi mojej, drabuję często archiwa, rozmaitych i najznakomitszych imion w Litwie, nie rzadko spotykam się z podobnemi zapisami wdzięczności, i przekazami onej na potomki, oraz z takiemi zapozwy na sąd straszny.—

— Bo to trybunał nad trybunały mospanie!—rzekł X. Ambroży; i tak jest jak powiada brat pan Skarbnik. W niejednym domu znajdziesz podobne xięgi familijnych pamiątek. Za młodu gdym służył *patrocynii*, Boże mi odpuść! równie jak dziś on, naczy-

(*) Który i teraz się znajduje.

tałem się takowych foliałów, i nie raz w nich widziałem oczéwiste dowody poczciwości przodków naszych. A w każdym prawie testamencie, przeczytasz, to sumienne restytucye, to szczére wyznania prawdy, aż do ostatniej chwili życia tajonej, to przejednania pokorne a chrześciańskie, które nie jedną krzywdę wynagrodziły, nie jednej kłótni położyły koniec, i nie jedną zasługę, jak twego przodka, poruczniku dobrodzieju wynagrodziły. Oj! bo poczciwi byli przodkowie nasi! Daj Boże i nam być takiemi.

Po tej dygressyi pana Skarbnika i xiędza Ambrożego: Porucznik kończył opowiadanie.

W domu jeszcze od rodziców słyszałem ja, co właśnie i panu Szczytowi powiedziałem, że jeden z naszych antenatów, poszedł kiedyś na wojnę moskiewską, i z niej nie wrócił.

— Otoż jesteś tuż przy jego grobie— odpowiedział mi pan Szczyt, i gdy ozdrowiejesz, pomodlim się razem za jego duszę. Co do ciebie panie Poruczniku, przejeżdżając przez *Czaśniki*, znalazłem cię w malignie w karczmie, i dowiedziawszy się o nazwisku, poczułem, że Bóg mi nastręcza zręczność wypłacenia potomkowi długu naddziada mego, i wypełnienia woli jego, którą *sacro sancte* szanujemy.— Przywiozłem więc cię tutaj do mojego domu, który odtąd za własny uważaj, i rozkazuj mi służyć sobie w czém zażądasz.

— Zacne panisko!— powtórzyli słuchacze dla prawnuka, co piérwej rzekli dla naddziada. Zacne panisko!

— A widzisz Imość Dobrodzika — mówił Porucznik obracając się do Podczaszynej; że gdyby mój antenata nie traktował wojskowo, i nie peregrynował po świecie, ja umarłbym u żyda za piecem. A gdybym ja w jego tropy nie poszedł, nie poznałbym pana Józefa Szczyta, który mię i z grobu dźwignął, i nie jedną potém wyświadczył łaskę. Konkluduję więc, że stan wojskowy, młodemu, jak nie może

być lepiej, przypada, i że Ludwiś na szérokim świecie, nie długoby tęsknił po Elżuni.—

Wśród téj długiéj legendy pana Porucznika, raz i drugi napełniały się lampeczki; zajęci słuchaniem, jakby nie postrzegali rączki Helusi, kilkakrotnie przed każdym nachylającej gąsiorka.... Gdy z daleka słyszeć się dały na ulicy, jakieś huczne głosy.

— Co to takiego? — zapytano się wzajemnie.—

— Chwilę posłuchawszy, zerwał się Porucznik i wykrzyknął: — Jak mi Bóg miły, to śpiewaki gdzieś tu blisko pod jakąś kamienicą. Brawo! Niechże nam pomogą weselić się przy lipczyku; i wyleciał za drzwi, nie uważając na mrukliwe protestacye X. Ambrożego.—

Po chwili usłyszano gromadę na dziedzińcu, i głos Porucznika: — No Wiara! Bo katże was wié po pociemku, kto wy jesteście? Cokolwiek wesołego i żołnierskiego, obaczycie, że i we dworkach takież same talary, jak i po kamienicach. Potém uradowany wpadł do kompanii; a pod oknem dziesięcią przynajmniej głosami, zgodnie dobranemi, notą skocznego marsza zabrzmiała piosenka.

*

„Mości Xiąże, co to masz za huzary (*)
„Że swe życie hazardują broniąc wiary?
„Marsz huzary! brońcie wiary!
„Marsz, marsz, pod *Rzeszowo* na Tatary.

*

(*) Jaka to rozprawa pod *Rzeszowem* dała powód do téj piosenki, nie mam podania. W młodości mojéj jednak, słyszałem śpiewaną od tych, którzy się jèj od wieczornych miejskich śpiewaków kiedyś nauczyli.

„Kiedy szli huzary z pod *Rzeszowa*
„Spotkała ich zdrada Murzynowa,
„Żdrajca Murzyn! Judaszów syn!
„Już był na śmierć osądzony jako poganin.

*

„I już go prowadzą na szubienicę,
„Wtém zdrajca na głowę kładnie szlafmycę:
„I znikł psubrat chybił go kat!
„A wziął go czart—jako był wart!—

— Ależ dyszkant! Ależ dyszkant! — powtarzał Porucznik, amator jak widać śpiewu, i wesoły towarzysz nie jednego choru.—

Pan Ludwik uśmiechnął się, bo poznał, że to jego kolega pan Rafał, na te aplauzy zasługuje.

— No chłopcy! jeszcze cokolwiek takiegoż — zawołał znowu Porucznik oddzierając przymarzłe okno, od którego pani Podczaszyna bojąc się reumatyzmu, odstąpiła nagle.

Więc nowa pieśń zabrzmiała.

*

„Powstań Czarnecki! przetrzyj swe powieki!
Bo gdy nie powstaniesz
Bo gdy nie powstaniesz
Zaginiem na wieki!

*

„Tuż, tuż, nad nami los pełen ohydy!
„Na nasze Tatry.
„Bieży Lew z wiatry,
„Z za szumnéj Baltydy!

*

„Powstań Czarnecki i dobywaj szabli
„A wnet minie bieda
„Heretyką Szweda
„Wezmą wszyscy djabli! (*)

— Fe! fe! fe! — krzyknął X. Ambroży zrywając się od stolika; lipczykiem bodaj do surowszej gorliwości pobudzony — fe! fe! Imie wiecznego nieprzyjaciela naszego! *Scandalum!* I podskoczywszy do okienka, słuchajcie wy urwisze! — rzekł groźnie; kiedy macie beczeć, to już lepiejby było, gdybyście cokolwiek ku zbawieniu naszemu zaśpiewali, niżeli wspominać szatana, który was ku swawoli, i takiej nocnej włóczędze kusi; a nie, to idźcie do stu djabłów.... Aj! fe! fe! fe! cóżem powiedział? — wrzasnął uderzając się po gębie xiądz, i wśród powszechnego śmiechu, usiadł skonfundowany przed kominem.—

Tymczasem na tę apostrofę, rumor jakby narada, wszczęła się między śpiewakami i wkrótce usłyszano:

*

„Któż to zważy, kto zmiarkuje?
„Chytrość ludzką spenetruje?
„Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
„Oj biedaż niedola!

*

„Być poczciwym—to obłuda?
„Być wesołym—to prokuda. (**)
„Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
„Oj biedaż niedola!

*

(*) Pieśń ta jest oczywiście z czasów plądrowania po tym kraju Karola XII. który zamiast Czarneckiego, znalazł pod Połtawą mściciela swoich tu zbytków. Do mojéj pamięci równąże jako i piérwszą doszła drogą.

(**) Prokuda — pokusa.

„Być rozumnym i to szkodzi
„A któż tam światu dogodzi?
„Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
„Oj biedaż niedola!

*

„W Tobie Panie ufność moja
„Niech się dzieje wola Twoja!
„Nadziejaż to, to. Nadziejaż to, to.
„Nadzieja Bóg moja!“ (*)

— O to co innego — rzekł X. Ambroży, gdy śpiew ucichł, i dobył z pod szkaplerza woreczek, z którego wyjmował rozmaitą monetę, pilnie każdą oglądając przy świécy, i nazad do woreczka chował... A tymczasem Porucznik dobył z kieszeni długi ze złota i jedwabiu utkany, złotemi także obrączkami przedzielony *Tuitam* (**), i przez pomyłkę niby z jednego końca, z półtory kopy pięknych wysypawszy czerwieńców, na których czole wykocił się sporysz, odsypał je nazad; a potém z drugiego, z mnóstwa monety, wybrawszy holenderskiego talara, uwinął go w szpargał papieru, zapalił i rzucił przez okno śpiewakom, dodając uprzejmie: — Dobranoc Mości panowie! Więc X. Ambroży obaczywszy hojność Porucznika, wszystkę przebrakowaną swoją monetę wsypał do woreczka, i utopił za szkaplerzem. — »*Gratias agamus, Vestrae dominationi!*« (***) — odezwał się głos basowy, zapewne promotora choru, pana organisty dominikańskiego, i tenże zaintonował na podziękowanie jakby za talara, modną natenczas i nową, a powszechnie aż do bliższych nam czasów ulubioną piosnkę, Studenta z Krakowiaków:

(*) Mogę najsumienniej oświadczyć, że wszystkie te trzy piosenki, są z kantyczek dawnych śpiewaków wileńskich.

(**) Tak zwano kieskę, długą, w któréj obu końcach sypano pieniądze, rozdzielając złoto od srébra.

(***) Dziękujemy waszéj wielmożności.

„Świat srogi! Świat przewrótny!
Wszystko na opak idzie!
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biedzie!

Lecz rozum górę bierze,
Tym sobie życie słodzę,
I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez butów chodzę.“ etc.

Przepisywać całej nie będziemy, bo zapewne większa część czytelników naszych, nie raz ją, i z większém może upodobaniem, niżeli włoskich krzyków, słuchała.—

— Nie prostej kondycyi ludzie — rzekł pan Podczaszy — umieją po łacinie.—

— At, jakiś urwisz uciekłszy z *imfimy*, zapisał się do cechu miastowych włoczęgów, i kilką słowami od *notalingwy* (*) w głowie pozostałémi, przechwala się — rzekl X. Ambroży.—

— Nie zawsze tak jest, xięże bracie dobrodzieju— odpowiedział Podczaszy; znam dziś kilku zacnych obywateli, znakomitej nawet substancyi, którzy z chudopacholskiej grządki, dostawszy się do Wilna, ledwo w paupery Jezuickie wcisnąć się mogli. Ci dostając codzień z ich kuchni, dwa garnuszki z porcyjką chlęba, i kąt jakiś u któregokolwiek miłosiernego *Patra*, zarabiali na kapotki i bóty, śpiewając jak dzisiejsi wieczorem, pod oknami bogaczów, i święte i światowe piosenki; bez obrazy jednak Boskiej, i bez zgorszenia ludzkiego, a z pożytkiem dla siebie. We dnie zaś, uczyli się jak najpilniej, wyprzedzali paniczów i wychodzili na ludzi.—

Bo gdy tak sobie wbił który gwałtem rozum do

(*) *Notalingwa.* Znaczek studencki, który dawano takiemu, który w klasie po polsku, a nie po łacinie odezwał się.

głowy, łatwo się potém znalazła dlań na świecie droga do fortuny:

»*Disce puer latine, ego te faciam* Mościpanie.« (*) powiedział tam jakiś panisko do ubogiego studenta, i nie na jednym to się ziściło: — »*Discebat pauper latine*, i za pomocą Boską, wyszedł potém na *Mościpana*. A któż wie? może i między dzisiejszemi śpiewakami jest który, dziś biedak, a kiedyś Jaśnie Wielmożny!—

— Oj bywa tak, bywa — rzekł Porucznik; a na co daleko szukać? Jużcić bliżej zda się od *paupera* do Mościpana, jak od *Mości pana* do *Najjaśniejszego Pana;* a przecież wiedzieć Ichmość Dobrodzieje musicie ten *akumen*.

„O co za dziwne cuda Boskiej Opatrzności (**)
„Wnuk na tronie — Ojciec w krześle — a dziad Podstarości!"

Rozmowę tę poważny obrót brać zaczynającą, przerwała wieczerza, do której mimo usilne przynuki gospodarstwa, X. Ambroży się nie dotknął.

— Posądziłem.... Posądziłem — mówił z cicha jakby sam siebie reflektując on; odsunął z niechęcią lampeczkę z lipcem i zachmurzył wieczerzę, co jednak nie ujęło apetytu, ni pragnienia panu Porucznikowi, lubo jego jowialność przygasiło.

Po wieczerzy, Ludwik wziąwszy latarkę, prowadził stryjaszka do klasztoru; a Porucznik dokończywszy z Podczaszym drugiego gąsiorka, wyszedł w wybornym humorze, przyśpiewując na ulicy:

„Świat srogi! Świat przewrótny!
„Wszystko na opak idzie!

Jakoż i sam, jeżeli nie zupełnie na opak, to przynajmniej nie prostéj trzymał się drogi.

(*) Ucz się chłopcze po łacinie, a ja cię zrobię Mościpanem.

(**) Wierszyk podrzucony niegdyś Stanisławowi Augustowi — który przeczytawszy powiedział: „*Prawda*."

IX.

Podróż.

Nazajutrz rano, mrozik wygładził ulice w mieście, i szlaki za miastem. Z jednej kamienicy z za Ostrej Bramy wybiegła kłusem, czwórka tęgich siwych kuców, do sań po parę zaprzężonych. Mosiężne blachy na szyjach ich błyszczały przed słońcem i migały zajączkiem po oczach przechodzącym; takież sprzążki, cyfry i guziki, gęsto po szorach osadzone, dawały poznać, że właściciel tego zaprzęgu był znawcą i amatorem stajennego moderunku. Jakoż takim był w rzeczy samej pan Porucznik, który w sutej delii z siwych baranków, z czapką axamitną karmazynową na głowie, której wierzch zwisły na bakier srébrnym kutasem powiewał, siedział na saniach z miną tęgą, bunczuczną i poważną razem, czując wrzekomo ważność poselstwa, na które się puszczał.

Na lewym dyszlowym siedział rzeźwo, i pędził siwaki zręczny chłopak, wywijając biczem i trzaskając zeń na cztéry wiatry. Miał on na sobie kurtkę zieloną, opuszystą wilczurą okładaną, a po niej przez piersi i plecy, jak wąż się przewijał sznur jedwabny, na którym u boku pocztarska wisiała trąbka; przepasany zaś był szérokim rzemiennym pasem, w ładunki i różne kalitki uprowidowanym. Na głowie kaszkiecik lakierowany, z kitką piór różnofarbnych, nie ogrzewał mu wprawdzie uszu, lecz go krew młoda, i konna harcówka grzały.

Gdy przejechali Ostrą Bramę, nad którą właśnie msza ś. odprawiała się. — *Pietrze! Stój* — zawołał Porucznik — konie się wryły — wysiadł, zmówił kilka pacierzy i ruszył dalej. Mijając Ratusz i rynek, dziś placem zwany — *Pietrze! otrąb się* — zawołał — *Otrąb się!* Wnet chłopak zwinął bicz, wbił go, jak ułan lancę w przygotowaną petlę u strzemienia, a chwycił trąbkę, i zabrzmiał na niej nótę pocztarską, w tonach z oktawy na oktawę przeskakujących, a jakby echem tylko powiązanych, którą odegrawszy, prześpiewał ułożone do niej słowa w recytatywach na strój i głos dźwięczny trąbki naprowadzanych:

„Byli nasi panowie
Na kontraktach we Lwowie
I w Mińsku,
I w Pińsku,
I w Gdańsku,
I w Brańsku!
Wszędzie nas poznali
Pieniędzy nie dali!“ (*).

— Vi ha hot!

Przechodzący zatrzymywali się, patrząc z upodobaniem na tę gracką szlichtadę, a mieszkańcy na piętrach, przez szybki wytykali głowy. Piotr biczem przedłużał huczno i kończył swoją piosenkę.

Przebiegłszy tak wzdłuż całe miasto, za Zamkową bramą, zawrócił się na Antokol, i zbliżając się do *dworku* pana Podczaszego — *Pietrze!* — zawołał znowu Porucznik — *Pietrze! — daj dymu!* —

Piotr wyrwał z pasa, rzeczywiście tylko dla dymu i huku, prochem nabity pistolet, i palnął po nad głowy końskie.... Oswojona ze strzałem czwórka, zestrzygła tylko uszami; przechodzący stanęli w zadziwieniu, a Porucznik pokręcił wąsa i poprawił cza-

---

(*) Zwyczajna z owych czasów pocztarska piosenka.

pkę. — Szalonego animuszu człowiek ten, mówili oni mijając go z pośpiechem.

Po krótkiém pożegnaniu się z Podczaszowstwem, uścisnąwszy i ucałowawszy rączkę *Helusi* na szczęśliwą drogę, Porucznik zajechał przed klasztor antokolskich XX. Trynitarzy.

X. Ambroży był w kościele, tam więc udał się Porucznik, i znalazł go przed ołtarzem ze mszą; zasiadł więc do ławki, i co pamiętał z łacińskich i polskich modlitewek, trzepał jedną po drugiej.

Ale innej gorliwości, innego zagłębienia się w duchu, i pokornego wzywania opieki Chrystusa Nazareńskiego, przed którego wizerunkiem święta dopełniała się ofiara, były modlitwy młodzieńca, klęczącego u kratek. W sercu jego, to nadzieja, to bojaźń przeważały; ale jedną i drugą zdawał on na wolę tego, który przeznaczeniem ludzkiém włada; błagając go tylko, by w tych przedsięwziętych zamiarach, obronić raczył od smutków i zmartwień, drogie mu wszystkie osoby, a szczególniej tę.... Czytelnik zgadnie zapewne, kto był modlący się młodzieniec, i za kogo się modlił.

Po mszy, w celi X. Prokuratora czekało podróżnych śniadanie; przy którém obecny Ludwik, prosił i zaklinał naprzemian, to stryja, to Porucznika, aby wyrozumiawszy najprzód wolę rodziców jego, jak najostróżniej u Starościństwa, interes ten traktowali; i aby raczej zupełnie go zaniechali, niżeliby mieli narazić się na głośną rekuzę, a tém samém i na niepowrótne zerwanie wszystkich jego nadziei, osnowywać się jedynie mogących, na pojednaniu kiedyś obu domów.

Prawdziwą także przyczyną tego czułego zaklęcia, było i to, że znając on wzajemność Elżuni dla siebie, drżał o jej spokojność i zdrowie, gdyby rzeczy ostatecznie niefortunny wzięły obrót. Wolał zatém, i bardzo naturalnie, dalszą dla obojgu miłość i niepewność, przy której zawszeby się trzymała nadzie-

ja, jako przy wszelkich usiłowaniach ludzkich; niżeli miłość i rozpacz. Posłowie uręczali zatém, że mając niby na piérwszym celu pogodzenie procesu, wtenczas tylko napomkną dalsze projekta, gdy z piérwszej traktacyi wyrozumieją, skłonnoście i dobrą wolę rodziców Elżuni.

— Jednakże to sęk tylko Mości Dobrodzieju — rzekł pomyśliwszy Porucznik, — że któż wié co lepsze i skuteczniejsze? I co na przodzie? to jest: czy za zgodą w procesie, poszłoby wesele? Czy za weselem poszłaby łatwo zgoda? Dwa mamy lekarstwa, ale nie wiedzieć którego wprzód użyć?

— Subtelnie rzeczy bierzesz kochany Poruczniku — odpowiedział xiądz, — i to mnie bardzo cieszy; bo przekonywam się, że z równąż mądrością i na miejscu certować będziesz. Tymczasem jedźmy, a Ludwisiu bądź dobrej myśli. Śmierć a żona od Boga przeznaczona; więc piérwszej nikt nieuniknie, a drugą każdemu *digitus Dei* (*) ukaże, choć się każdemu zdaje, że sam wybiera.

— Zostawuję sobie Mości Xięże Prokuratorze Dobrodzieju na sanie — rzekł Porucznik, — podanie pod wysoką animadwersyę i teologię pańską, *dubia* moje, co do predestynacyi stanu małżeńskiego; bo kto miał trzy żony....

— Ten jest predestynowanym — przerwał uśmiechając się xiądz, — aby na tym świecie czyściec odbył. — Siadajmy na sanie.

Pokręcił głową Porucznik, i mówił do siebie: ha! od razu mnie skonwinkował.... ale pogadamy jednak — to koncept, ale nie dowod. — Ludwik pożegnał odjeżdżających.

Ruszają: —*Pietrze!* — *otrąb się!* Piotr zatém uciął powtórnie dętego i wokalnego kuranta, którego nie-

---

(*) Palec Boży.

cierpliwie dosłuchawszy X. Ambroży, rzekł po ukończeniu.

— Wiesz co szanowny Poruczniku: ponieważ wieziesz z sobą zakonnika, któremu *cum clangore* jeździć nie wolno, ani wypada, a zatém niech ten wrzask będzie już ostatnim.

— A ponieważ mój dobrodzieju — odrzekł Porucznik, wiezie cię na swoim wozie żołnierz, któremu *clangor et rumor*, jest zawsze przyzwoitym i właściwym, więcbyś powinien uledz. Wszelako respektując wolę twoją, tylko we wrotach trąbić każę, i już od tego nie odstąpię.

Ledwo ta kombinacya na której *volens nolens* musiał X. Ambroży przestać, nastąpiła, gdy furman potrzegłszy długi ciąg fur ze zbożem naprzeciw idący, zaczął krzyczeć »*z drogi!*« i klaskać z bicza. Obciążone wozy nie kwapiły się do zjazdu w głębokie śniegi! zniecierpliwiony więc Porucznik krzyknął: — *Pietrze daj dymu!* Piotr palnął! —

— Jezus Marya, Józef! — wrzasnął xiądz; zerwał się i chciał z sań wyskoczyć. Co to ma znaczyć? kryminał! Czy zwarjowałeś? —

— Cha! cha! cha! — rozśmiał się Porucznik przytrzymując xiędza. — Siedź spokojnie mój Dobrodzieju, nie ma kryminału, to tylko doświadczony sposób uprzątnienia drogi....

Jakoż przelęknione i konie i chłopy, szybko z drogi spychać się poczęli: to wywracali się, to brnęli głęboko, a *Piotr* przypuściwszy czwórkę *chyżego*, w mgnieniu oka wyminął wszystkich. — Xiądz złorzeczył w duchu swojéj podróży, i zarzekał się drugiéj z podobnym towarzyszem.

— No, a teraz mój Dobrodzieju — mówił Porucznik, rozwiąż mi Jegomość moje *dubia*, względem małżeńskiej predestynacyi. —

— Ej porzućmy to kochany Poruczniku, pogadajmy raczéj o interesie, dla którego jedziemy.—

—Nie, nie, mój Dobrodzieju, chwała Bogu, że dopadłem zręczności, pomówienia z tak mądrą, a duchowną osobą.—

—Naprzykład, gdyś Jegomość powiedział, że *Digitus Dei* wybiera nam żony; więc *dubium* piérwsze, dla czego tak mało dobrych, a tak wiele złych? *Experto crede* (*) *Reverendissime!* Trzy razy żeniłem się.... Cóż na to Jegomościa Teologia?—

X. Ambroży nie był głębokim teologiem; do zakonu łatwy znalazł wstęp, jako człowiek już natenczas stałego wieku, umiejący dobrze po łacinie, i mający być pożytecznym zakonowi znajomością prawa krajowego. Co więc było nieodbitém dla duchownego i zakonnika, to on rychło i łatwo pojął; ale nie wymagano odeń nauki, nad którąby lat kilka jeszcze ślęczeć musiał.

Możeby mu i łatwiej teraz było zbyć Porucznika subtelnościami teologicznemi, któreby musiał on szanować, dla tego samego, że ichby nie rozumiał; ale nie mając w głowie tej, zarozumiałych szkolarzów w trudnych zagadnieniach, broni, musiał konwinkować adwersarza jak mógł; a zatém bardziej jak niegdyś adwokat, niżeli jak teolog argumentować. Rzekł więc surowym tonem:—A kto Waćpana przymuszał dwa razy przynajmniéj, nie licząc pierwszego ożenienia, głupstwa robić i brać żonkę po żonce, jak z pilnego interesu?—

— Kto przymuszał? Kto przymuszał? —*predestynacya* mój Dobrodzieju. — *Predestynacya!* Wszystkie trzy, jedna po drugiéj były dla mnie przeznaczone.—

— Oto mi pięknie Waćpan tłumaczysz przeznaczenie Boskie! Bóg dał człowiekowi rozum i wolę. Jeżeli wola idzie za rozumem a rozum ulega ś. religii, to i

(*) Wierz doświadczonemu.

w każdym przedsięwzięciu wybor będzie dobry. Ale jeżeli wola samopas brodzi.... —

— To jak błędna owieczka — przerwał Porucznik, nie powinnaby trafić do celu mój Dobrodzieju. A przecięż ja trafiłem trzy razy, prawdę mówiąc jak kulą w płot; ale zawsze żeniłem się sakramentalnie, a zatém *predestynacya* mnie prowadziła, i samopas nie brodziłem. Lubo tu drugie *dubium* zachodzi, dla czego mnie trzy żóny przeznaczono, a drugiemu żadnéj? Bo dajmy to, że jak Jegomość Dobrodziéj powiedziałeś, dla mnie był czyściec na tym świecie za grzechy moje; to znowu *dubium*, czy w téj pokucie przy ladajakiém pożyciu małżeńskiém, więcéj się nie nagrzeszyło, niż odpokutowało? a w takim razie *predestynacya* i *digitus Dei*.... —

— Co Waćpan wymawiasz? Co Waćpan pleciesz?— przérwał natarczywie xiądz: bo poznawszy, że spokojném rozbieraniem kwestyów coraz nowych Porucznika, sam się zawikła w matnię i z konfuzyą wyjdzie z dysputy, postanowił nie przekonywać lecz gromić.—

— Zły duch cię opętał! — zawołał więc, obracając się twarz w twarz do Porucznika; twoje *dubia* o woli Boskiéj względem przeznaczenia ludzkiego są *blasfema*; i w wielkie *dubium* podają sprawę twego zbawienia! Kacerz jesteś! W żołnierce to zapewne i w towarzystwie niedowiarków....—

— Towarzystwo! — przerwał wzajemnie oburzony Porucznik, towarzystwo xięże Prokuratorze, to poczciwa szlachta (*), proszę ich nie szkalować....—

— Kacerz jesteś, powtarzam — krzyczał xiądz!— Twoje *dubia* to duby smalone! jesteś heretyk! a może i farmazon!!!—

— *Pietrze! otrąb się* — wrzasnął w tém Porucznik nagle i niespodzianie.—

(*) Szlachta prawdziwa, służąca w kawaleryi, nazywała się *towarzystwem*.

— A to co? — zapytał zdziwiony xiądz.—

— *Mitigans*, mój Dobrodzieju — *mitigans*. Koniec dysputy *Reverendissime!* bywałem na jezuickich dysputach, i tam zwykle zapalczywość dysputatorów przygłuszają trąby.—

— *Pietrze daj dymu!*

Rozległ się strzał aż echo poszło po lesie, przez który czwórka biegła.

— A to *Reverendissime* rycerski *applauz*, tryumfu jegomości, boś mię przekrzyczał.—

X. Ambroży nic nie odpowiedział, obwinął się w niedźwiednię i siedział nieco obrażony; co postrzegłszy Porucznik starał się go rozdobruchać, i w dobréj już komitywie do Dowiatowszczyzny przybyli.



X.

Starościństwo Kapinowieccy — Proces.

Pan Starosta Kapinowiecki nie był to pan wielki, ale też nie był i prosty sobie szlachcic. Imie jego liczyło się do znakomitszych w Litwie; takich, z którémi i wysoka arystokracya kolligacić się bez ubliżenia sobie mogła, i kolligaciła się nieraz, gdy inne względy majątku, lub osobistego znaczenia, zbliżały pół-panka do pana.

Kolligacya ta następowała zwykle przez rękę senatorskiéj córki, którą oddając szlachcicowi, pewni być mogli rodzice dostatniego jej mienia w domu mężowskim, i jeszcze nadto poszanowania od męża, a preponderencyi między jego rodziną, do któréj mitrę lub inny wysoki zaszczyt wniosła.

Takim sposobem i Sapieżanka została Starościną Kapinowską. I lubo wychowana w Warszawie, na wielkim świecie, szła jednak śmiało za wieśniaka w głąb Litwy, bo poznała po spokojnym, a nawet w młodości już ociężałym przyszłym swym mężu, że będzie samowładną panią domu i jego samego; i że odwiedzinom by najczęstszym Warszawy, którą serdecznie lubiła, mąż nie tylko sprzeciwiać się nie będzie, ale i towarzyszyć nie zechce.

Małżeństwo to nawet nie przyszłoby nigdy nie tylko do skutku, ale ani do propozycyi, gdyby potrzeba było młodemu podróżować do Warszawy, i tam zalotne około panienki ponosić fatygi. Lecz bliskość dóbr na Litwie jednéj i drugiéj rodziny, ułatwiła znajomość i swacbę, zwłaszcza, że osierocony niedawno, po śmierci ojca ze Starościca Starosta, zgadzał się zupełnie z wolą swéj matki pragnącéj widzieć syna już trzydziestoletniego w postanowieniu. Nie ożeniłby się pewnie on sam bez jéj rozkazu, lub po jej śmierci; a panna Kasztelanka zgadzała się wrzekomo z wolą, a w rzeczy saméj z radami rodziców, przedstawujących swobodną i szczęśliwą jéj przyszłość, za bogatym łatwego charakteru mężem. Przy pomocy zatém wspólnych przyjaciół, rychło nastąpiło wesele.

Lecz młoda Starościna nie mogła odrzec się Warszawy, ani zapomnieć świetnych balów i assamblów, młodego natenczas także dworu Stanisława Augusta, na którym urodą między najpiękniejszemi jaśniała. Tkwiły jéj w pamięci słodkie zalotnego Króla słówka, któremi ją i jéj podobne dziewice, a tkliwsze jeszcze i słodsze, któremi ładne mężatki osypywał; a do których, bardziéj zapewne z próżności niż z zepsucia, wysoką wartość przywiązywała.—Co rok zatém prawie odwiedzała ona stolicę, i po kilka miesięcy, szczególniéj zimowych, tam przebywała; podobając sobie w hołdach powszechnych, składanych jej wdziękom i życiu wytworném, naśladującém prze-

pych i zbytki panów, otaczających natenczas dwór Monarchy sybaryty.

Pan Starosta zaś mieszkał w domu i przywykł łatwo do częstych odjazdów swéj połowicy; przed każdą tylko podróżą, gdy przez okno patrzał na przeprowadzane przez dziedziniec konie swoje do pojenia, wzdychał głęboko, i kręcąc głową mruczał pod nosem:—»Oj koniki moje, koniki! Oj karoszki moje, »karoszki! Oj bieda wam, bieda! Oj Warszawa, War»szawa!«

Ponieważ każdy, by najograniczeńszych żądz człowiek, musi wszelako mieć w sobie, niektóre panujące nad inne; toć i Pan Starosta lubił *konie*, *winko* i *fajkę*. Dla tego ubolewał nad końmi przed każdą podróżą, a pocieszał się butelką, fajką i nadzieją, że z oddaleniem się żony, dom zostanie cichym i spokojnym; ustaną kompanie i bankiety, któremi Imość rozweselała swój pobyt na wsi. On zaś będzie mógł obszedłszy zrana stajnie, wieczorem ciągnąć *knaster*, popijając węgrzyna, słuchać bajek o upiorach i strachach, rozpowiadanych i powtarzanych stokrotnie, przez dwóch starych ojcowskich hajduków obowiązanych dotrzymywać mu kompanii, aż do uśnięcia w łóżku; albo przez jakiego zwokowanego z bliskiéj okolicy szlachcica, z *szecherezadowskim* talentem, za który furę zboża nazajutrz wywoził.

W takim stanie animuszu obojga małżonków łatwo zgadnąć, że rządy fortuny acz znakomitéj, szły najgorzéj. Pani Starościna zastawiała folwark po folwarku na koszta rezydencyi w stolicy: a pan Starosta nie mięszał się do niczego. Na uwagi zaś swoich hajduków, przywiązanych jak zwykle dawniéj sług starych, do rodziny swych panów, odpowiadał z równém westchnieniem jak po koniach, tak i po folwarkach: — »*Stanie dość na nasz wiek!*»—A co panoczku zostanie dla dzieci? — pytali jeszcze poczciwce. Natenczas, patrząc na biegające około niego

działki, przywiązany do krwi swojéj Starosta, ocierał rękawem oczy.... ale dodając sobie i sługom humoru, nie bójcie się mówił—imość z Warszawy drugie większe od Kapinowskiego przywiezie Starostwo.... A tymczasem powiedzcie mi waszeć bajkę o tych trzech braciach, co to było ich dwóch rozumnych, a trzeci dureń—albo o tym starym żołnierzu, co to z Panem Jezusem spotkał się..... Oj! gdyby mnie Pan Jezus dał taką torbę jak jemu co to na zawołanie:— »*A do torby!*«—wszystko musiało leźć do niéj i mieścić się, tobym jak on wpakował tam ze sto djabłów, i nie wypuścił dopóty, ażby mi każdy dał po tęgim koniu, i powiedział po jednéj bajce. — Oho! djabli najwięcéj i najlepiéj wiedzieć muszą o upiorach... i śmiał się dobroduszny panisko.—

— A ja będąc Jegomościem—rzekł który hajduk, i mając taką torbę, wsadziłbym do niej imość, żeby do Warszawy nie jeździła.—

— Milcz wasze, co to do waszeci należy?—

Tak upłynęło lat kilkanaście, a trzeci miniony krzyżyk i kilkoro dziatek, zwyczajnym trybem ujęły wdzięków, a przyczyniły rozwagi Starościnie. Miała ona nadzieję w ich edukacyi znaleźć jeszcze powód przeniesienia się zupełnego do Warszawy, ale obrachowawszy dochody, ze smutkiem dostrzegła, że pochłonięte krocie nie wrócą, a pozostałe tysiące, nie wystarczą na szerokie projekta. Natenczas nadzieje otrzymania bogatego starostwa, któremi tylko poczciwego męża łudziła, postanowiła ona rzeczywistem staraniem ziścić. Wybrała się więc znowu do stolicy, z chęcią przedsięwzięcia wszelkich środków, dla dopięcia zamiaru swego i podźwignienia upadającéj fortuny.—

Związki familijne i osobista przyjaźń z wysokiemi urzędnikami państwa, dobrze jej wróżyć zdawały się. Brakło jej zapewne zasług, jakie się na dworze rozwiązłego Monarchy, nie jedném bogatém starostwem opłaciły; ale takich mimo liczne pokusy, nigdy ona

na swe sumienie nie wzięła; chroniąc piękne imie rodu swego od plamy, a serce zalotne, lecz nie zepsute, od zgryzoty.

Nadszedł wszakże czas, gdy rozrzutnemu szafowaniu dóbr narodowych, nie jeden głos na sejmie, a bardziej jeszcze głos publiczny zawadzał. Pan Podkanclerzy Litewski, na którego protekcyi Starościna najbardziéj polegała, naglony przez nią kilkakrotnie, zapytał raz: — »Czy Pani się zdarzyło kiedy czytać »przywileje na starostwa?«

— Nigdy — odpowiedziała z uśmiechem, oczekując z tego początku, jakiejś miłéj niespodzianki.—

— Niechże Pani przeczyta — rzekł podając jej jakiś przywiléj, i wskazując na wyrazy: »*Mając sobie »zalecone przez panów rad naszych, wysokie me»rita w ojczyźnie urodzonego*, etc.— (*).

Starościna zrozumiała łatwo, że do poczciwego jej męża, trudno było choćby pozornie nawet, zastosować te słowa; a gdy wzajemnie wspominała przykłady obdarzanych bez zasług, lub co gorsza za niegodne *merita*, pan Podkanclerzy odpowiedział zimno i poważnie: — »To bywało, źle bywało — i nadal być »nie powinno.... bo taka jest wola Najjaśniejszego »Pana!«

Nie jeden z wysokich dygnitarzy, sam podobne ze Starościną mając widoki, nie kwapił się kompromitować własnych, pomagając cudzym; a tak spełzły na niczem, lub na bardzo wątłych oparły się nadziejach, wszystkie jej projekta.

Powróciła więc do domu z goryczą w sercu i z niejaką odrazą od ulubionéj dotąd Warszawy, i jej wielkiego świata, który ją tak oszukał i zawiódł.

Lecz tając w sobie jak najskryciej uczucia i upokorzenie swoje, Starościna jeszcze głośniéj chlubę ze swych wpływów w stolicy i związków rozwodziła. I

(*) Zwykły początek przywilejów.

w rzeczy saméj, wpływy te, jeżeli nie były dość silne do osiągnienia starostwa, nie zawodziły ją przecież, gdy szło o jakieś *instantiales* z góry, lub o otrzymanie czczych tytułów, których nieskąpem rozdawnictwem, jednano zwykle dworowi stronników po powiatach. Zaufana w taką przewagę swoją Starościna, broniła się najprzód dzielnie i energicznie od napastujących ją kredytorów; a z kolei idąc za radą jakiegoś zagorzałego prawnika, obiecującego jéj powrót folwarków przez procesa i pretensye do zastawników, a rozszerzenie onych przez graniczne spory, rozpoczęła attaki, w których nie raz list do urzędnika od Senatora, wojewody, lub ministra, przechylił sprawiedliwości szalę, i uczynił zadość nie tylko interesowi, ale i miłości własnéj litygantki.

Dochowuje się jeszcze pamięć nie jednéj takiéj pani na Litwie, która w swoim czasie, mówiąc tamtoczasowym wyrazem: »*Trybunałami trzęsła.*« Synowica królewska, a żona jednego z magnatów litewskich, dawała tu przez czas niejaki, takiego możnowładztwa przykłady i wzory.

W takiéj kolei Starościna rozpoczęła proces z sąsiedzkim i oddawna z sobą przyjaznym domem Dowiatów. Musiemy zatém jeszcze i treść tego procesu opisać.

Jurysta Starościnej drabując dawne mantyki ich domu, i wyszukując w nich to dowodów, to powodów do swych prawniczych planów, wynalazł przedwieczny inwentarz, w którym między wsiami tego majątku, zapisany był i zaścianek nad Wilią położony, *Nadbrzeże* zwany, teraz do folwarku Dowiatów należny. Majątek Starosty, poźniéj wprawdzie przez jego dziada nabyty, w opisaniu przy nabyciu sporządzonym nie pokazywał i nie zawierał *Nadbrzeża;* lecz w prawie przedażnem nalazły się wyrazy, zwy-

czajnej formy i rutyny takich dokumentów: *z wolnością rekuperowania awulsów*, do których pieniacz uczepiwszy swą pretensyę, zapytał Dowiatów za jakiém prawem trzymają *Nadbrzeże*, avuls od majątku Starosty. Na nieszczęście, Dowiatowie których przodek piérwej zapewne kupił zaścianek, niżeli dziad Starosty same *fundum*, nie znaleźli u siebie żadnych na to dokumentów, i okazali tylko oświadczenie po inkursyi w tym kraju nieprzyjacielskiéj, do akt ziemskich zaniesione: że Dowiatowszczyzna uległa zupełnéj konflagracie i pożodze i że dom mieszkalny, natenczas razem z całém *archiwum* spłonął. *Kwerendy* po xięgach sądowych, żadnych więcéj nie przyniosły dowodów; może dla tego że w nieustannych zamieszkach krajowych, i publiczne akta równemuż w części podpadły zatraceniu; czy też, że, lubo prawa nasze dawne, każdą umowę wieczystą, mieć chciały przyznaną, lecz zwyczaj częstokroć nieuległy prawu i na powszechnéj dobréj wierze oparty, dozwalał zwłaszcza w opisach na rzecz mniejszego znaczenia i wartości, kontentować się tylko *listem na przyznanie*, łatwo razem z samém prawem zaginąć mogącym. — Cóżkolwiek bądź jurysta, nie widząc u Dowiatów, żadnych innych dowodów na dziedzictwo *Nadbrzeża* prócz oświadczenia i dawności posessyi, którą oni także za dowód własności przekładali, ani na tém przestając, postanowił *rekuperować awuls* i pozwał Dowiatów o *Rehabicyą do Nadbrzeża* (*), i o kalkulacyę *de asse et grano* (**). Naliczając tym sposobem znakomitą summę, z tyloletniego przychodu, choć kilkaset złotowej tylko rocznéj intraty.

Zerwała się więc dawna i wzajemna obu domów

(*) Termina prawne dawnego procesu, nie wyszły zapewne jeszcze tak dalece z powszechnej pamięci, abym je miał tłumaczyć.

(**) *Z grosza* i *miary*, to jest z pieniędzy i zboża.

przyjaźń, a wytoczyła się rozprawa w Ziemstwie wileńskiem nader niebezpieczna dla Dowiatów.

Obronę naturalnie wziął na siebie pan Skarbnik, a stojąc przy wyżéj wspomnionem oświadczeniu i przy dawności ziemskiej; podawał jeszcze w imieniu brata, jako teraźniejszego dziedzica Dowiatowszczyzny, przysięgę sobie na tém: że zaścianek *Nadbrzeże* przez antecessorów był prawnie kupiony i że papiery udowodniające to kupno, razem z domem spłonęły. Prosił więc Sądu, o skasowanie pretensyi Starosty i ukaranie go jeszcze powrótem expensów prawnych.

Każda tu strona brała się na sposoby forsowania interesu; całe Wilno z ciekawością oczekiwało wyroku. Zdawało się wszystkim i najdoświadczeńszym jurystom, że po wyroku komportacyi dokumentów (*), który już był uprzedził teraźniejszą rozprawę, nastąpić koniecznie musi oczéwista decyzya, rozstrzygająca ostatecznie czyjém ma być *Nadbrzeże*.

Sala środkowa ustępną zwana, między izbami sądowemi Ziemstwa i Grodu wileńskiego, w domu niedawno jeszcze zbitym za zamkową bramą, napełniona więc była od kilku godzin palestrą i ciekawemi oczekującemi na woźnieńskie: *»po namowie!* a żywo rozprawiającemi, każdy podług swego widzimi się o przyszłym wyroku.

W tym tłumie dwie szczególniej osoby zajmowały wszystkich; to jest dwaj przeciwnicy w procesie. Nizki, opasły, i zapyrzony plenipotent Starościnej, wzbudzający samą figurą swoją ochotę do uprzykrzo-

(*) Wyrok to bywał wstępny, obowiązujący prawujące się strony do złożenia na termin naznaczony pod przysięgą u sądu, wszelkich dowodów pisma i dokumentów, dla wzajemnego objaśnienia się stronom.

nych mu żartów i sprzeczek, jak niedźwiedź na czystym polu attakowany od zjadliwej zgrai kundlów, obracał się potężnym krokiem między ogarniającą go tłuszczą, a grzmiącym słowem i groźném dąsaniem się rozpędzał kupiącą się nieustannie na nowo.— Przeciwnie Pan Skarbnik, siedział spokojniuteńki na zedlu przy ścianie, i tylko gdy przeciwnik powtórzył kilkakrotnie główne słowa swéj sprawy: »*A*»*wulsa rekuperować! Awulsa rekuperować!*«— rzekł mu:

— To Waćpan widzę chcesz być większym potentatem od naszych Królów: bo z nich każdy przyrzeka w paktach konwentach, że *awulsa* od kraju oderwane, *rekuperować* będzie, a przecież żaden, *inter nos loquendo,* tego nie dokazał. Trzeci jeszcze, również spokojny i niewzruszony, siedział na stołku u drzwi sądowych, w wytartym kuntuszu ze skrzyżowanemi na grzbiecie wylotami, i z szablą u boku *woźny,* nadstawiając ucha na dzwonek prezydencki, a surowym poglądem odrażając zbliżających się doń nieuważnie...

Dwie i trzy tak upłynęło godziny; znać było, że za drzwiami sądowemi trudno idą rzeczy. I nie dziw. Sędziowie byli jak w sieci, wątpliwością obustronnych dowodów, nie mogących sumnieniu ich dać wsparcia, i silnemi wpływami obustronnych także protektorów ogmatwani. A i tam były głowy nie lada!...

Otworzyła się nakoniec izba sądowa. Tłum się wtłoczył, a regent przy kratkach, czytał już przebiegając szybko, jak pędząca taradajka prolog wyroku, to jest treść procesu i wzajemne stron dowody; na co świadomi formy pisania dekretów nie dawali baczenia; lecz gdy wyraźniej i głośniej zawołał: »*Judicium*... Słowo to oniemiło wszystkich, i natężyło słuch i uwagę każdego. —»*Judicium* czytał powolniej i dobitniej regent: »jako w sprawie kogni»cyjnej, nie wchodząc teraz w oczewiste onéj roz-

»poznanie, akta inkwizycyi *circa jure possessio-* »*nis* (*), przez Dowiatów zaścianku *Nadbrzeża*, »z wolnością obu stronom wyniesienia nowych pozwów »do takowych aktów, *ad rem procedenti* stoso- »wnych, determinuje.»

Na taki nieoczekiwany wyrok, słuchacze chwil kilka z zadziwieniem patrzali sobie w oczy, a potém wychodząc z izby, wesołe rozpoczęli sprzeczki, kto wygrał, a kto przegrał? a zatém jaki los zakładów o trójniak i piwo?... Nakoniec opasły plenipotent *powodu* ocierając bujną rosę na licu, wykrzyknął:— »*Apelluję do Trybunału!*« — A Pan Skarbnik ukłonił się skromnie sądowi i mrucząc pod nosem: »*Cir-* »*ca jure.... circa.... inter nos loquendo circa.... circa....* poszedł prosto do klasztoru antokolskiego.

I w takiej to właśnie przerwie procesu, przed blizko następującą kadencyą trybunału, do którego sprawa przez apellacyę się przeniosła, wynikł jakośmy to widzieli projekt, za którym jechał X. Prokurator z Rotmistrzem.

W Dowiatowszczyznie poczciwi rodzice Ludwika, rozpłakawszy się serdecznie, wszystko na wolę Boga i xiędza brata dobrodzieja oddali: a tak wkrótce głos trąbki Porucznika, zabrzmiał na dziedzińcu Starosty.

(*) O prawie posessyi.

XI.

Swaćba.

—Pokój temu domowi! — rzekł X. Ambroży, wchodząc do wielkiéj środkowéj sali, obszernego domu Starosty, w której przy długim stole kobiercem nakrytym, siedział sam gospodarz, w szlafroku lekkim futerkiem podszytym, w suliatach manszestrowych na nogach, a w szlafmycy na głowie, i ciągnął długim cybuchem tytuń z wielkiej aż na ziemi opartej lulki. W kącie na wielkim kominie palił się ogień rozweselał tę ogrzaną dwóma piecami salę; a służył jakby za zabawkę siedzącemu przy nim na nizkim stołku, jednemu z dwóch starych hajduków koleją luzujących się przy Staroście, z funkcyą podnaszania żaru do fajki i rozrywania pana nieustanną poufałą gawędką, lub usypiania go bajkami.

Sala obita była cała z dołu do góry, staroświeckiém wypłowiałém już szpalerowém z niemieckich jakichciś fabryk, obiciem, kosztownėm zapewna przed laty, wyrażającém polowanie na jelenia. Myśliwi to konni, to piesi, z rusznicami lub oszczepami w rękach, w długich czerwonych frakach lub surdutach, z fryzurami czy perukami na głowach, a harcapami na plecach, poustawiani byli sztywnie po gęstym lesie okrywającym wszystkie ściany sali, oczekując na jelenia, który gnany ogarami z za kredensu rączo wysadzał. A że hajduki Starosty z Augustowskich czasów sami, saskiej też mody nigdy nieznoszoną nosili barwę; więc jednego siedzącego przed

kominem, wysokiego, chudego, także w długim niemieckiego kroju, a papuziego koloru z wytartym na kołnierzu galonem, surducie, na wielkie, jak holenderskie talary, guziki zapiętym; można było wziąść wśród tych fantastycznych figur za myśliwego zeszłego z obicia i odpoczywającego przy ogniu.

Starosta powitał uprzejmie gości. O procesie z Dowiatami wiedział on jakby nawiasem i często tęsknił do towarzystwa najbliższego sąsiada, którego lubił. Hajduki nawet jego, pamiętni dawniej obu domów przyjaźni i nie raz uraczeni w Dowiatowszczyznie, nie cierpieli prawnika, który tę przyjaźń rozerwał. To ten poganin, mówili pomięszał wszystko! Za toż mu bawiącemu po kilka tygodni w domu Starosty po swojemu dokuczali: to omijając niby przez omyłkę z półmiskami, to stawiąc mu w kwaterze zamiast piwa, dzban lury z drożdżami. A to wszystko uchodziło bezkarnie, bo Starosta niecierpiący także prawnika, skargi jego żartami zbywał.

— Niedomagam xiężę Prokuratorze dobrodzieju — rzekł on, niedomagam, ale dodajecie mi zdrowia przybyciem waszém. I ty kochany Poruczniku wielce łaskaw jesteś na starego przyjaciela. Brałem wczora dryakiew wenecką, onegdaj kupiłem jej cały słoik od węgrzynów. Ale prawdziwa: »*Sem z pod złotej bani, od Xięży Jezuitów*« jak oni mówili, choć nie mogli zainformować gdzie to ta złota bania? Mam nadzieję, że tym sposobem attaki mojej pedogry do majowej kuracyi zahamuję. Upewniał mię o tém i stary węgrzyn, zna się on, nie ma co mówić na medykamentach; ale łgarz wierutny we wszelkich innych materyach. Naprzykład: czy uwierzycie Wasaństwo? Śmiał mnie dowodzić i zaklinał się jak szalony, że w Ołomuńcu wszystkie dachy z poliwanej dachówki, jak u nas kafle na piecach? Nie prawdaż Łukaszu?—

— Prawda — ale Jegomość zagadawszy się zapomniał, że konie gości przed gankiem — rzekł haj-

duk powitawszy uprzejmym ukłonem przybyłych i jakby przepraszając za nieuwagę swego Pana.

— Dobrześ powiedział — zawołał Starosta, każ Poruczniku odejść swoim siwcom, boś zapewne niemi przyjechał; tęgie kuce, a po trąbce miarkuję, że ekwipaż musi być twój a nie klasztorny; każ im dać owsa Łukaszu.—

— I warte tego Starosto dobrodzieju — odezwał się Porucznik, bo nas dziś z Wilna do domu pańskiego przywiozły; a jednakże gdzież oni przyszli do moich porcenelo-strokatych, których Starosto gdybyś widział....—

— Znajdujemyż JW. Starościnę dobrodzikę?—przerwał xiądz, lękając się aby stajenna dla obu upodobana rozmowa, na długo nie zaszła.

— Jest moja żona, jest, tam w pokojach.—

— Pozwoli tedy Starosta dobrodziej, że pójdę złożyć moje uszanowanie.—

Odszedł X. Prokurator, rzucając wyraziste spójrzenie na Porucznika, jakby hasło do dzieła, do którego i sam natężał wszystkie myśli i zbierał w głowie przyzwoite i stosowne wyrazy. Hasło to, przypomniało wprawdzie cel podróży Porucznikowi, lecz sposób zaczęcia rzeczy, zależał od zręczności, któréj albo oczekiwać, albo oną rozumnie wywołać trzeba było.

Nie także to od razu — pomyślał on sobie, usiadając przy stole naprzeciw Starosty. — A my nie mogąc razem, musiemy po kolei opowiadać dzieje tej podwójnej konferencyi.

— No, mój kochany Poruczniku — rzekł Starosta, tyś bywalec po świecie, i wieleś dziwów widywał; powiedz mi czy to być może, co ten węgrzyn prawił, że w Ołomuńcu wszystkie dachy, biało polewane. U nas piec jeden kilkadziesiąt talarów kosztuje,

a wieleżby to kosztował dach? To już domy muszą być ze srébra i złota, jak w pałacu tej zaklętej xiężniczki, o któréj Łukasz umie bardzo ciekawą bajkę. Kiedy chcesz Poruczniku to on nam ją powie.

— Nie, nie, nie tego ja chcę Starosto dobrodzieju, przejechawszy się po mrozie, lubośmy się chwil kilka ogrzewali w Dowiatowszczyźnie, ale jednak nie zaszkodziłaby korroboracya niejaka żołądka.

— Rozumiem — rzekł Starosta — i lubo sam po dryakwi weneckiej nie mogę ci pomódz, bo i *Pedimontanus* (*) w rozdziale o *purgansach* powiada....—

— Niech go wszyscy djabli wezmą przerwał Porucznik — ja Pana upewniam, ja! że ogrzanie żołądka, ani przéd *dryakwią*, ani po *dryakwi* szkodzić nie może; tylko trzeba wiedzieć jak i czém? Ja sam przyprawię truneczek, którego wazeczkę gdy wypijem, obaczysz Starosto, że odmłodniejesz, pedogra cię nie zaczepi, a swego *pedymontana*, łgarza gorszego od węgrzynów spalisz. — Każ tylko Pan przynieść czego mi potrzeba.

— A jeżeli tak zaręczasz Poruczniku, że mi twój trunek pójdzie na zdrowie, bo i *Pedymontanus* zaleca ogrzewać żołądek, to mów o co idzie.—

— A zatém Łukaszu przynieś mi głowę cukru.—

Łukasz i Starosta spójrzeli z zadziwieniem.

— Nie bójcie się, całej nie użyjem; powiedz klucznicy, że tylko mój sposób przyprawy wymaga, aby głowa cukru była całą, a kawałki nie przydadzą się. *Item* cytryn dwie, choć to zima, ale zapas być musi. *Item* muszkatową gałkę. *Item* goździków dziesięć. *Item* butelkę syropu i butelkę wina starego, jakiegokolwiek gatunku, można i węgrzyna; a wody tu na kominie przygrzejesz. Miarkuję *quantitatem*

(*) Xiążka lekarska doktora *Pedimontana*, drukowana w roku 1754 w Supraślu, długo była domową. Zawiera ona nie tylko przepisy lekarstw szczególniejsze, ale i rozmaite sekreta.

na trzy osoby, bo i xiądz Prokurator szklaneczki nie odmówi jak mi się zdaje, a jednakże okroić się może i dla starego sługi.... rozumiesz?.. Do tego waza, łyżka wazowa, noż wielki i szklanki.—

Ostatnią obietnicą skorumpowany Łukasz, poszedł ochotnie po te ingredyencye, a przybrawszy swego kolegę Mateusza, podobniuteńkiego jemu w figurze i stroju, wkrótce wszystko akuratnie dostawił.

— Ten trunek jak uważam — rzekł Starosta, będzie *pącz!*—

— He! pącz — co innego mój dobrodzieju! Syrop, woda, i cukier, zmięszaj — masz *pącz*, to nie sztuka! A po piérwszéj szklaneczce mojego trunku, obaczysz Starosto, jakie ciepło i maceracya nastąpi w żołądku i w całym korpusie.—

Gdy wszystko stanęło na stole, Porucznik musnął się po czuprynie i pokręcił wąsa; to zwyczajny wstęp jego do ważnego dzieła. Rozwinął potém głowę cukru, rozkroił cytryny, i zaczął niemi nacierać cukier krusząc nożem, przesiękły sokiem do wazy.

— Tego kordyału, kochany Starosto — mówił Porucznik nieprzestając roboty, nauczył mnie kozak.—

— Jak to kozak?—

— A tak. W czasie konsystencyi naszej pińskiej brygady na Ukrainie, codzień prawie zdarzało zjeżdżać się z partyami kozackiémi, strzegącémi granicy z tamtej strony; więc bywało jedziemy z sobą z daleka, przywitamy się grzecznie, i tak dalej; a przeciągnąwszy każdy po swojej ziemi jak żórawie, zawracamy się do siebie. Czasami damy sobie wzajemny parol, zjeżdżamy się, handlujem konie, pijemy borysza, i jak się zdarzy w dobrej komitywie.

Otoż raz w późnej jesieni, spadł piérwszy śnieżek, i wyborna nadarzyła się porosza. Wyjeżdżam tedy z półtora smyczem strzemiennych chartów, i z kilku pocztowemi na lisy; a miałem deresza, z którego bywało wilków harapuję....

— Wilków harapowałeś! A niechże cię kochany Poruczniku! — przerwał Starosta miłośnik koni, lubo żadnego na życiu nie dosiadł. Gdzież go podziałeś?—

— A wilcy go też i zjedli. — Ale to druga materya. — Czwałujem więc po polach tropiąc na upatrzonego, i podbliżamy się do granicy.... Patrzę aż z tamtej strony jedzie na czarnej szkapie z chartami, i kilkunastu swojemi, Attaman jakiś, upatrując także źwierza.... Ciągniemy więc obok, patrząc na siebie z ukosa.... on mnie z daleka nahajem kiwa.... a ja jemu figą trzęsę: »*Nie ważmiosz Lachu kota!* »*nie ważmiosz!*« A ja jemu: *Hola! hola! Szeszku legawego pola!* I palim obadwa z harapów.—Wtém wymknął lis.... i śmiga kitą po samej granicy, jakby demarkacyę prowadził. Weżha! z obustron.... charty się złączyły i kupą za nim. My za niemi Panie! Deresz mój utulił uszy, rozciągnął się jak sarna, i puścił się jak wicher w zawiei, aż mi w uszach zaszumiało. Przytuliłem się mu do szyi, i myślę: djabła zjesz Attamanie, nim ty doskoczysz na swojej szkapie, lis będzie mój. Ale ta chuda szkapa jego, to był szatan Mosanie, nie koń. Spójrzę, aż on leci obok, jak żmija: ogon odsadził na wiatr, uszy naprzód jak dwie strzały, pianą jak śniegiem sieje, a grzywą śnieg po ziemi zamiata. Kozak na nim schylony do łęku, już mnie przesadza! Dereszku moje serce! — krzyknąłem ściskając go kolanami, trzymaj się! bo padniem na honorze — lecim.... Starosta zajęty tém opowiadaniem, wstał z krzesła, i opierając się na poręczy patrzał niecierpliwie i z niewymównym interesem na Porucznika. Za nim dwaj starzy hajducy, wyciągnęli szyje, i wytrzeszczyli oczy; również jak ich Pan ciekawi, i również na powieści łakomi.

— Tuż, tuż, charty za źwierzem — lis het w bok, na jego stronę — a mój *Doskocz* łap go za kark, i trzęsie jak kusznierz irchą....

— A harap! krzyczę — mój sobaka, mój lis!

— A harap! krzyczy kozak — moja ziemia, mój lis!

Osadziliśmy konie, ale ja za granicą, a on lisa już trzyma. Wnet jednak obracając się do mnie, — panie Poruczniku — rzekł — na *parol!*

— Zgoda *na parol*, i podaliśmy sobie ręce przez granicę. Pojechałem więc na pogrzebne do kwatery poczciwego Attamana; gdzie przez trzy dni handlując to psy, to konie, zapijaliśmy ten wyborny *krempulsus*, jak z niejednokrotnego potém doświadczenia poznałem *excitans confortans*, a razem po kilku zwłaszcza szklankach i *mitygans*. — Dolej teraz waru Łukaszu i wsyp stłuczone aromata, to jest: godździki i muszkatową gałkę....

— No kochany Starosto, raczże spełnić z przyjacielem szklaneczkę. Skosztujcie i wy stare grzyby — rzekł podawszy szklankę Staroście, a czerpiąc hajdukom po łyżce wazowej.

— A co?

Hajduki pokręcili głowami smakując, i uniżenie uścisnęli kolana Porucznika.

Starosta pociągnąwszy raz zakrztusił się; otarłszy potém jagody, wąsy i łzawe oczy, pociągnął drugi raz i rzekł z przyciskiem: — A żeby nie zaszkodziło!...

Wtém zajaśniała radością twarz Porucznika, uderzył się po czole i pokręcił wąsa, bo wpadł na myśl, która go od razu, i bardzo naturalnie do przedmiotu poselstwa zbliżała. Czerpiąc więc i dla siebie kufel, a wychyliwszy go duszkiem: — Oj Starosto dobrodzieju! — rzekł i zatrzymał się, bo przypomniał instrukcye Prokuratora, aby ostróżnie postępował w traktacyi. — Oj kochany Starosto! — powtórzył więc raz jeszcze, podając mu znowu szklankę, i sobie drugą dostając z wazy. — Dajże Boże, abyśmy co najprę-

dzej łyknęli gorąco a serdecznie na weselu Staro-ścianeczki godnej córki pańskiej, a tak pięknej i miłej, że dalibógże!....

Przejdźmy teraz do pokojów Starościnej, gdzie traktacye poważniejszym i delikatniejszym szły trybem.

Niespodziewane przybycie Prokuratora, zdziwiło wprawdzie Starościnę, ale wnet ona domyśliła się treści piérwszego, że tak powiem rozdziału przyszłej z nim rozmowy; drugiego nie przeniknęła, a przynajmniej nie spodziewała się.

Po przywitaniu więc zimno, a grzecznie, usiedli oboje na kanapie w piérwszym pokoju. W drugim pod oknem Elżunia szyła w krosienkach; skromnym dygiem i rumieńcem odpowiedziawszy na pozdrowienie xiędza, wyszła.

— Rada jestem bardzo witając xiędza Prokuratora w naszym domu — rzekła Starościna: — zapewne odwiedziny braterstwa jego w Dowiatowszczyźnie i nam zdarzają ten honor.

— Tak jest mościa dobrodziko, zajeżdżaliśmy do Dowiatowszczyzny; aleśmy umyślnie z Wilna z panem Porucznikiem Stelnickim do JWW. Państwa wybrali się. Przybycie jednak ubogiego zakonnika nikomu honoru do domu wnieść nie może; ale wnieść może błogosławieństwo i pokój, dla którego i ja ufając w pomoc Boską, tu przybywam.

— Dziękuję bardzo za dobre intencye pańskie — odpowiedziała sucho Starościna.

X. Ambroży przykąsił sobie usta, bo musiał uczepiać się na nowo za słowa Starościnej i ciągnąć ją na swoją drogę, od której ona wyraźnie umknęła. A jednostajny sposób powtórzony, rzadko bywa zręcznym. — Intencye moje, rzekł więc są, jako i zawsze były najżyczliwsze dla domu JWW. państwa

dobrodziejów; bo i jakże inaczej byćby mogło? gdy od niepamiętnych czasów, rodziny nasze w sąsiedztwie i nieprzerwanej aż dotąd były przyjaźni. Gdy mościa dobrodziko ojcowie i dziadowie nasi, na jedném polu żyli i umierali, a nigdy miedzy tego pola sobie nie przeorali; więc nie możesz JW. Pani wątpić o moich *intencyach.*

— Ja też i nie wątpię — odpowiadała zawsze również sucho i jakby z dystrakcyą Starościna. O czém się wątpi, za to się nie dziękuje.

— Raczże JW. Pani wierzyć, że powód przybycia tu mojego, z również życzliwych intencyi wypływa; a zatém na również łaskawą animadwersyę JW. Pani zasługuje....

— Mój mości xięże Prokuratorze — przerwała Starościna; — rozumiałam, że wizyta pańska, jest tylko w celu zrobienia nam przyjemności; gdy zaś uważam, że go powód jakiś inny, czy interes tu sprowadza, więc w takim razie z moim mężem mówić jegomości dobrodziejowi należy; ja kobiéta...

— A ja zakonnik mościa dobrodziko! obójgu nam zatém interesa, a tém bardziej procesa nie przystoją. Dla tego nie porzuciłbym mojéj celi — mówił coraz żywiej Prokurator, powstając z kanapy, — gdyby szło o jakieś światowe okoliczności, lub broń Boże o pomoc dla mojej rodziny, w kłótniach i sądach. Ale gdy przeciwnie, idzie tu o uczynienie zgody i pokoju, to JW. pani jako kobiéta, ja jako duchowny, najwłaściwiej wziąść to przedsię możemy; owszem powinniśmy; pamiętając na słowa Zbawiciela: »*Błogosławieni pokój czyniący.*« Dla tego odsyłanie mnie do pana Starosty, rozumiem jako wyraźną niechęć pani do osiągnienia tego błogosławieństwa.... a niechęć... daruj Jaśnie Wielmożna pani co powiém... na sumnieniu się zapisze...—

Tak ścisłe a niespodziane natarcie, dało poznać Starościnie, że trudna będzie rozprawa z przeciwnikiem, który dostojnością kapłańską, mógł karcić i

upokorzyć wyniosłą dumę pańską, jeżeliby się nią zasłaniać chciała, a pokruszyć mdłe i pospolite wykręty, jako i na samym wstępie, pokruszył one bronią duchowną.

Wzajemnie X. Prokurator, po ciągłym rumieńcu Starościnej, postrzegł, że za gorąco wystąpił.

To uchybienie taktu xiędza, z właściwą kobiétom przenikliwością pojęła wnet Starościna; więc odzyskując stłumioną rzeźwość myśli, rzekła z szydnym uśmiechem: — Prawdziwie xięże Prokuratorze nie wiém jeszcze z pewnością, o co tu idzie; ale słowa pańskie dają mi bodaj prawo do innego ewangelicznego błogosławieństwa: »*błogosławieni cierpliwi w duchu.*«

X. Ambroży wzajemnie stłumiony, ukłonił się pokornie Starościnie, jakby na deprekacyę, a myśląc w sobie—trafiłem z kosą na kamień. — Niech wszelkie błogosławieństwa— rzekł więc,—spływają z nieba na dom JW. państwa dobrodziejów; i bodajby codziennie Bóg zdarzał JW. pani, takie sposobności jak dzisiejsza, uczynków zjednać mogących jej łaskę Boską i miłość ludzką. Przybywam tu bowiem, a raczej przybywamy, od brata mego i całej naszej rodziny, z pokorną prośbą o zgodę i kombinacyę w processie; a przekonany jestem, i już JW. pani nie zaprzeczy temu powtórnie, że szczęśliwy skutek prośb naszych, od JW. pani zależy. Skłoń się więc do nich mościa Starościno dobrodziko i dozwol szczéréj z sobą rozmowy, która doprowadzić nas może, nie tylko do kombinacyi w procesie i do przywrócenia dawnej harmonji, ale jeszcze i do utwierdzenia jej, ścislejszym.... za pomocą Bożą... węzłem....

Na te ostatnie słowa, wymawiane tak właśnie jak je napisałem, z niejakiemi dyplomatycznemi przestankami; Starościna spójrzała przenikliwie w oczy X. Ambrożemu, zastanowiła na nim wzrok przez czas niejaki.... może się mylę? — pomyślała nareszcie. — Obaczemy dalej....

Po spójrzeniu tém Starościnej, X. Ambroży pomyślił: Aha! zaczepiłem.... Obaczemy dalej....

X. Prokurator, jak o tém wié już czytelnik, miał podwójną missyę: piérwszą otwartą, którą też otwarcie mógł opowiedzieć, drugą tajemną, o któréj dyplomatycznie miał wyrozumiewać. Dla tego postanowił zręcznie napomykać tylko i uderzać lekko i jakby nieumyślnie w tę delikatną strónkę, a chwytać najmniejsze jej echo, i jeżeliby nieharmonijnie i nie do zgody brzmiała, zerwać ją tak, aby urywków jej nawet, nie zostawić w ręku Starościnej.

— Zamiary pańskie — rzekła ona po niejakiej przerwie, — zapewne są dobre i szczére; mniemam także, ze działasz pan dobrodziej i mówisz, wyrozumiawszy piérwej, a może i skłoniwszy brata?

— Bez wątpienia mościa dobrodziko.

— A więc zgoda bardzo łatwa: niech się zaścianek wraca do majątku, do którego jak widać kiedyś zapewne należeć musiał, a my odstępujemy dla świętego pokoju, i w dowodzie naszej... naszej... sąsiedzkiej... sąsiedzkiej... *intencyi*, kosztów prawnych, dość już znacznych...

Nie uszło uwagi xiędza, to dobieranie wyrazów Starościnej, i wybranie najobojętniejszego — to powtóre, pomyślał znowu — obaczemy dalej.

— Propozycya ta, mościa dobrodziko, jakkolwiek ciężka, zawsze mię jednak cieszy, bo jest niejakim wstępem do traktacyi mogącej powoli doprowadzić nas do pożądanego celu Zwykle tak bywa: *Omne principium grave*, to jest, każdy początek trudny. Nie wróżę wszakże mościa dobrodziko, aby propozycya ta przyjętą być mogła. Nie dla wartości zaścianku: bo chociaż intratny prawdę mówiąc i z samej *defluitacyi* nad Wilią, niemałą robi perceptę; wszakże synowiec nasz pan Ludwik, mając kiedyś Dowiatowszczyznę, folwark dostatni szlachecki, najmniej mościa dobrodziko ze sto tysięcy wartości; a jako *ultimus haeres*, to jest jedyny dziedzic po

wszystkich stryjach, upewniam JW. panię, że potroi tę wartość w gotowiznie....

— Zapominasz się X. Prokuratorze — przerwała znowu Starościna,—bynajmniej nas nie interesuje sytuacya synowca pańskiego... i w żadnym sposobie interesować nigdy nie będzie — dodała z przyciskiem.

Do trzech razy sztuka, pomyślał xiądz — a więc basta.

— Przepraszam JW. panię, ale zdaje mi się przeciwnie, że JW. pani mylnie jakoś zdajesz się stosować słowa moje; bo ja nie zapomniałem się wcale namieniając o substancyi tego, który z prawa natury, będzie właścicielem fortuny, do której i ten dyfferencyjny zaścianek należy. Fortuna zaś acz szlachecka, jednak taka, że ofiarą z niej jednego zaścianku ochotnieby on okupił spokojność i... i... dobre... dobre... sąsiedzkie *intencye* Państwa Dobrodziejów.—

Tu stary hajduk wniósł na tacy, wielką szklanicę kipiącego trunku; xiądz zmarszczył się i odsunął, hajduk pomaszerował za drzwi, i nie możemy z pewnością zaręczyć, czy z pełną nazad wrócił?

— Inaczej mościa dobrodziko rzeczy się mają — mówił dalej X. Ambroży — z moim bratem; on bez sumiennego przekonania, że cudzą własność trzyma, zaścianku tego nie odda, a to przekonanie jest bodaj niepodobném. Zresztą szlachcic oddający dobrowolnie i bez wyroku sądowego, bogatszemu od siebie panu, swoją odwieczną ojcowszczyznę, nie mógłby oczu między braćmi pokazać. Poszukaćby zatém należało innych środków modyfikujących....

— Nie, mój xięże Prokuratorze, uwalniam pana od szukania innych jakichkolwiek środków.... bo ja żadnych nie widzę, i pan to uznajesz, że bez wyroku sądowego obejść się tu nie może. Nareszcie mamy plenipotenta, z którym panowie w każdym czasie i prawować się i traktować możecie, nieudając się wcale do mnie; tém bardziej, że ja mam postano-

wienie jeszcze tej zimy odwieźć moją starszą córkę do babki do Warszawy i tam ją zostawić. A tak nim wrócę, zapewne dekret trybunalski wszystkiemu koniec położy.

— Ha! pomyślił xiądz — na dobitkę kłamstwo... Podniósłszy więc czoło, i patrząc w oczy Starościnej: — Pani do Warszawy? — rzekł z powagą, i po niejakiém zastanowieniu, pokręcił głową.

Postrzegła Starościna, że trzymając dotąd przeciwnika na wodzy, ustérknęła się na końcu; ujmując mu więc przewagi, jaką nieuważnie nad sobą nadała i kryjąc nagły rumieniec, który mimowolnie zadawał fałsz jej słowom, Starościna wstała i szła do drugiego pokoju.

Lecz za nią szedł i X. Ambroży, nie w celu jednak zawstydzenia kłamiącej, lub ponawiania subtelnie obleczonych, lecz wzajemnie pojętych propozycyi; ale w nadziei, że traktując jeszcze otwarcie i bez ogródek o samym już tylko procesie, rozwinięciem niepewności wygranej na stronę Starościnej, skłonić ją potrafi do upamiętania. Zbierając się więc na wszelkie argumenta prawne, — jeszcze słów kilka mościa dobrodziko, — rzekł on, idąc za Starościną. Rozważyć należy.... Na tych wyrazach, które zwróciły Starościnę ku niemu, stanął na środku pokoju X. Prokurator i nagle zamilkł....

Po niejakiej chwili milczenia, widząc Starościna, że on jakby oniemiały, oczy zwrócone na ścianę przeciwną i niewzruszone trzyma, rzuciła tamże spójrzenie.... i ujrzała przyczynę osłupienia xiędza, dla której on, zapomniał argumentów prawnych i całej treści swego posłannictwa.

Na ścianie był obraz — wielkiego rozmiaru malowidło. Stare, zaniedbane i pyłem okryte, nietknięte po przodkach Starosty dziedzictwo, starzejące się ra-

zem ze ścianami, na które kiedy weszło? i czyjej było ręki? właściciel nie wiedział, równie jak, kto i kiedy same ściany budował? A jednak była to ręka znakomitego mistrza! Mimo pył i zaniedbanie, wyglądające zeń postacie i twarze, tak wybitnym wyrazem oznaczały treść całkowitą obrazu i uczucia jakiemi każda, jakby natchnioną była, że obraz zastanawiał każdego, a X. Ambrożego silném jakby uderzeniem, od razu zbił z tropu jurysty i zapomnianym kapturem nakrył.

Treścią malowidla było świątobliwe podanie, nie jednému może czytelnikowi memu znajome. Był to targ i cudowne kupno przez braci Trynitarskiego zakonu, statui Pana Jezusa Nazareńskiego, tego właśnie który się w ołtarzu antokolskiego kościoła znajduje, od Arabów czy Turków, słowem od jakichciś muzułmańskich barbarzyńców. Dla czegoby i jakim sposobem w ich ręku się znajdował, chcąc wytłumaczyć, potrzebaby rozgmatwać dzieje, któregokolwiek z miast na wschodzie, niejednokrotnie i naprzemian chrześcijańskim lub mahometańskim panom uległych, i w których nie raz kościoły w meczety i nawzajem meczety w kościoły się zamieniały.

Rozważyć należy—rzekł, jakośmy to wyżéj powiedzieli, xiądz Ambroży do Starościnej — i w tejże chwili trafił wzrokiem na szalę, na której także ważyli i rozważali bracia jego duchowni, nie procesowe zatargi, ale grosz pokorą wyżebrany, dla odkupienia, nie intratnego kawałka ziemi, ale prostéj figury Zbawiciela, którego w ubóstwie i poświęceniu się naśladować zaprzysięgli. Klęczący nad deską szali z jednej strony Trynitarz, sypał na nią pieniądze z worka, a oczy wzniesione i zwrócone na oblicze Chrystusa, jaśniały najżywszą wdzięcznością, uniesieniem i modłą; bo jeden pieniądz na szalę rzucony, przechylił gwicht za sobą. Równemże uczuciem pałają oblicza kilku braci zakonnych wznoszących czoła i ręce ku niebu i gromady skrępowanych jeszcze więgreat

żniów, którzy z niespokojnością wyglądali, azali zostanie złota na ich okup z niewoli.

Cud wyraźny napełnia zadziwieniem i trwogą chciwego Paszę i stojących za nim Muzułmanów. Jeden z nich, różniący się rysem i kolorem twarzy, zgryzotą i żalem miotany, po chrześcijańsku składa ręce do modlitwy, posuwa się ku kapłanom.... chciałby się do nich rzucić... wyznać cześć prawdziwemu Bogu, — lecz go bojaźń obecnych barbarzyńców wstrzymuje. Och! jakiż wyraz jego oblicza i oka!..

— To renegat! to renegat! poznał i wykrzyknął każdy, kto nań spójrzał. On z Trynitarzami uciecze i powróci do swojej wiary... do swojej ojczyzny!... (*) Stał więc milczący i zadumany xiądz przed obrazem.—Staróścina niepojmując dokładnie tego milczenia, patrzała mu w oczy łzawą zachodzące pomroką, i na twarz wzorującą się stopniami na podobieństwo uniesienia i uczucia braci jego z obrazu. A nakoniec jakby ich naśladując, wzniósł i on ręce w górę, a łzy mu potokiem toczyły się po licu....

Zdziwiona coraz bardziej staróścina, i niepojmująca wewnętrznych udręczeń xiędza, do których obraz ten dał powód:—Co się to znaczy xięże Prokuratorze? — zapytała — zkąd takie wzruszenie?—

Jakby nie słysząc słów tych xiądz Ambroży, zawołał głosem głębokiej modlitwy: — O Chryste Jezu, O Chryste Jezu!... i tu mi przestroga! i tu mi grzechu mojego przypomnienie! i tu mi wyrok pokuty! Panie! dajże mi siłę w postanowieniu spełnienia jej, i zaprzysiężonych obowiązków moich, na chwałę Twoją!...

— Nie rozumiem tego wszystkiego—przerwała Staróścina wzruszając ramionami. Zdaje mi się xięże Prokuratorze, że mi cóś jeszcze o interesie mówić chciałeś.

— Żadnego pani — żadnego już interesu.... wszystkie zakończyłem na tym obrazie, on mi przypomniał

(*) Obraz ten widziałem przed 1812 rokiem, potem jego szmaty.

główny interes mego powołania i życia, o którym niestety! zapomniałem, gdym dziś celę moją opuszczał. A lubo Bogiem się świadczę, że czysty i sprawiedliwy zamiar mię tu sprowadził.... wszakże.... nie tu miejsce zakonnika, mojej reguły zwłaszcza.... Ot tam ono właściwe, gdzie ci pobożni bracia moi świętego doznali cudu, i miłosierdzia Boskiego.... Niech Bóg ku dobremu serca wasze skłania; nie kłóćcie się, nie prawujcie się, aby każdy grosz wasz poczciwie nabyty, tak był ważnym, jak ten, co tę szalę cudownie przychylił. — O Boże! daj miliony takich groszy, i dozwól tak ich użyć!...

Po tych wykrzyknieniach i modłach, X. Ambroży znowu wpadł w zadumanie, które wpatrującą się może raz piérwszy w ten obraz Starościnę, obejmować zdawało się, gdy odgłos jakiegoś wrzasku, podobnego do chrapliwego śpiewu doszedł ich od sali w której Starostę z Porucznikiem nad wazą pączu zostawiliśmy.

— Cóż to ma znaczyć? — rzekła Starościna, i odrywając wzrok i uwagę od obrazu, odeszła śpiesznie.

Xiądz wzruszony zrazu tym śpiewem, wrócił znowu do kontemplacyi.... wkrótce uderzył się mocno w piersi, jakby kończąc gorliwą wewnętrzną modlitwę.—Trzeba jechać, pomruknął nakoniec, trzeba jechać, i wyszedł innemi drzwiami, aby rozkazać zajść saniom.

Przypomni sobie czytelnik, żeśmy zostawili Porucznika, gdy czerpiąc dla siebie i dla Starosty z wazy, schwytał myśl szczęśliwą, a wstępną do poselstwa swojego. Wprawdzie łatwo zawsze trafić od szklanki do wesela, jednakże przy piérwszych haustach, Porucznik powoli i ostróżnie, wedle układu z X. Ambrożym, pomykał się w interesie. Ale gdy

widział, że wszystkie jego *cyrkumlokucye*, Starosta wprawdzie dobrém sercem i dobrym humorem przyjmuje, ale do czego zmierzają, pojąć nie może; i gdy większa połowa wazy gorącego trunku zaszumiała mu w głowie, mieszając w niej porządek ciężko układanych traktacyi, a przydając odwagi i energii:—po djable pomyślał on sobie, mam się męczyć? Czy ja Jezuita? abym smażył te subtelne delikatesy — *Ad rem* prosto i basta, rzekł zatém.

— Krótko mówiąc Starosto, będę ci swatać do pięknéj Elżuni, chłopca wyśmienitego, zacnéj familii, a nawet dobrze ci znajomego — pozwolisz? he?—

— Proszę, proszę, odpowiedział niedbale Starosta, któremu głowa coraz bardziéj ciężyła, a oczy zmniejszały się i ćmiły.

— A więc staroświeckim obyczajem, rozpoczynam swaćbę. To mówiąc Porucznik, zawiązał serwetę białą na szyję i końce jéj széroko na piersiach rozpuścił, wziął w rękę pełną szklankę, odszedł do drzwi i huczno wrzasnął:

„Dobrodzieju nasz
Piękne córki masz!
Dobrodzieju nasz
Piękne córki masz!
Stanę sobie koło progu,
Pomodlę się Panu Bogu,
I nam jedną dasz
I nam jedną dasz! (*)

pociągnął ze szklanki na odpoczynek; a w tym drzwi się odemknęły i weszła Starościna.

— Co się to ma znaczyć mężu? — zapytała ona z uśmiechem poglądając na trefną figurę Porucznika.

(*) Obrzęd i piosnka w dawnych szlacheckich swaćbach używane.

Ten nie tracąc rozumu, i nie dając czasu Staroście do odpowiedzi, jeszcze huczniej ryknął:

„Dobrodziko nasza
Piękna córka wasza!
Dobrodziko nasza
Piękna córka wasza!
Stanę sobie koło progu,
Pomodlę się Panu Bogu,
To i będzie nasza,
To i będzie nasza!

I dopijając rzekł: — Za zdrowie Jaśnie Wielmożnéj Starościnej Dobrodziki... a przyszłéj da Bóg teści pana Ludwika Dowiata, zacnego ze wszech miar kawalera, a pałającego gorącym afektem do godnéj i ślicznej Starościaneczki...

Starościna spójrzała na Porucznika, wzrokiem, który czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jeżeli kiedy widział ostro zagniewaną kobietę; a w którym złość i poniewierka tak wyraźnie się malowały, że gdyby oko Porucznika nie było przyćmione i łzawe od gorącego pączu, łatwoby go dojęła i rozgniewała. Lecz on niedostrzegając wzroku, pojął jednak zamiar Starościnéj, gdy się odwróciła i milcząc szła ku drzwiom, z których była wyszła.

— Dokąd mościa dobrodziko? — rzekł więc zachodząc jej drogę — dokąd i bez odpowiedzi nawet? Za co taką konfuzya i dla swata i dla swatanego? —

„Ożenił się równy z równą,
Pan Zamojski z Batorówną. (*)

— Pan Zamojski szlachcic, ożenił się z królewną Batorówną, a czemużby Pan Dowiat równyż szlach-

(*) Wierszyk może i z czasów sławnego ożenienia się Zamojskiego.

cic, nie mógł ożenić się mościa dobrodziko z panną Staróściankę Kapinowiecką? Kochają się oboje jak gołąbki, wiem to i ręczę Imości Dobrodzice. Młodzi — Pan Bóg pobłogosławi. Doczekasz się Starościno pociechy z wnucząt. — Ej! dajże rączynę dawnemu przyjacielowi.... i nieuważając na opór, wziął rękę Starościnéj i całował. A dalibógże pulchniutka i ładniutka jeszcze; choć ty ją łyżką jedz!...—

Starościna nie mogła się nie uśmiechnąć na takie żołnierskie koperczaki; odjęła jednak rękę, a odsunąwszy tak gorliwego swata, weszła szybko do drugiego pokoju, i drzwi za sobą zamknęła. Pogoniłby pewnie za nią rozochocony Porucznik; ale go wstrzymał wchodzący właśnie wśród tych zalecanek X. Ambroży. — Jedźmy, rzekł on.—

— A jedźmy, bo sprawa po djable; drzwi mnie Imość Dobrodzika przed nosem zamknęła..... Jakże Starosto! czyliż dozwolisz żonie.... a — śpi nieboraczek: »*Vixit et rescit!*« Chłysnął i zasnął! »Słowa są zapisane na szpuncie »od beczki pełnéj anyżowego kordyału«....— Przerwał kazanie po temie xiądz, bo wziął mówcę za rękę i wyprowadził do sieni.—A wkrótce zabrzmiała trąbka i po niej:

Byli nasi panowie
Na kontraktach we Lwowie,
I w Pińsku i w Mińsku,
I w Gdańsku i w Brańsku,
Wszędzie nas poznali....
A żonki nie dali!

dokończył Porucznik!—



XII.

Okrzyczano, oczerniono nasze dawne prawnictwo. Wypadki pojedyńcze niesprawiedliwości, intrygi, błędu lub przemożnych niekiedy na wyroki wpływów, złożono na karb powszechnego zepsucia. Zapomniano czynów mądrości, sumiennej uczciwości urzędników, nieskalanej ich cnoty i prawości, bo te były codzienne i powszednie, a rozsiano przeszłe aż do naszych czasów anegdoty, któremi pamięć ojców i dziadów, w najszlachetniejszej ich ozdobie, nieuważny dowcip niweczył.

Szlachcic ubogi, powiadają, nigdy z panem, sprawy nie doszedł ani wygrał. Chociaż możnaby łatwo wyszukać i przywieść mnóstwo przykładów na przeciwny dowód, wszelakoż ta pierwsza przychodzi w porównaniu uwaga, że przynajmniej dawniej pan, przechylając za sobą szalę sprawiedliwości, nigdy nie kładł na nią *złota.*

Wkorzeniona konsyderacya dla możniejszych, związki ich szerokie, nadzieje (że tamtoczasowego użyję wyrazu) krescytywy, sejmikowe stosunki i tym podobne względy, determinowały wprawdzie niekiedy zdania sędziów, ale nigdy pieniądze! I choćby mię o przesadzone przywiązanie do dawnych czasów posądzić miano, powtórzyć śmiało mogę na przekor, bodajby nie na wstyd dzisiejszym — nigdy pieniądze!...

W ciągu dalszym tej powieści, zdarzy mi się zręczność opowiedzenia prawdziwych sądowniczych zdarzeń, związek z jej treścią mających. Posłuży to za

dowód, że nawet wyżéj wskazanym przemożności względom, nie łatwo było łamać się z sumnieniem sędziów i zasłaniać im oblicze Zbawiciela, ze stołu sądowego na nich patrzące; że w gronie mężów wybranych, zawsze się zalazły mądre głowy i cnotliwe serca, których intryga by najtęższa wzruszyć nie mogła, i którzy piastowali godnie opiniję, zacność i dostojność całego sądownictwa i kolegów idących zwykle za ich zdaniem.

Świetném było Wilno wkrótce po wypadkach, tu wyżej opowiedzianych. *Publicum* ze wszech stron zjeżdżało się do stolicy, na rozpoczęcie nowego Trybunału, i na ostatki karnawału, zwykle najżywsze i najweselsze. *Zapusty!* sam ten wyraz, po wsiach i w mieście, rozjaśniał stare i młode twarze nadzieją zabawy, ochoty, szału nawet.... postem i pokutą potém wytrawić się mającego.

Ze wszech stron całéj prowincyi zbierali się lityganci, po roztrzygnienie, często długo-letnich procesów, *ostateczne:* bo jak przysłowie niosło: »*od Trybunału do Boga appelacya.*« Ze wszech stron także zjeżdżali się mamunie z córeczkami, po rozstrzygnienie, często długo-letniego oczekiwania ich losu!... a tak, napełniało się miasto rozmaitą ludnością, rojącą się tłumnie po ulicach, lub w ciężkich karocach i kolaskach gęsto przewlekających się po nich. W ciemne szczegolniéj wieczory i nocy, Wilno, tak różne dziś od dawniejszego, wziętém natenczas byćby mogło za jakieś fantastyczne ruiny wielkiego grodu w którym liczna a błędna w wędrówce karawana, stanęła noclegiem i wśród zgiełku i zamięszania, tłum jéj różno-barwny, wybierał dogodniejsze sobie i zajmował lokaty.

Dziś ze stałych punktów rzucane długie światła na ulice, posępnie wprawdzie, lecz wyraźnie rysują

miasto: natenczas w mieście pogrążonem w ciemnościach, każdy sam własne oświecał drogi, i dla tego smolne, ogniste, iskrzące się lonty, splatane w grube liny i na mocnych osadzone pałkach, przebiegały po ulicach jak meteory przed pojazdami panów, gęstym dymem i rozlatującém się na wszystkie strony zarzewiem, rozbijając nocną pomrokę.

Niekiedy kilka i kilkanaście takich ognisk postępowało na czele licznéj, brnącéj po kolana w rozbłoconym śniegu bandy i huczne wykrzykującéj wiwaty. Biada natenczas każdemu, ktoby się nalazł na drodze!.... lub co gorsza, ktoby, jak naprzykład rónt nocny, śmiał zaprzeczać drogi. Pochodnia natychmiast stawała się razem bronią palną i sieczną, iskrami parząc oczy, a pałkami łby i grzbiety, niebezpieczniejszą zaiste od dzisiejszych rac kongrewskich, lub dawnych greckich ogniów.

Na ciemnych i krętych pomniejszych uliczkach, uwijały się gęsto latarki, zachodząc aż na dalekie przedmieścia, i jak błędne ogniki snując się między dworkami. Nakoniec rozlewało się z szynków gwarliwe i pijane mrówisko pospólstwa, omackiem około murów szukające bram swoich; aż powoli ustawały wszystkie blaski i wrzaski, a głuchą cichość i ciemność obejmującą gród uśpiony, przerywały tylko, po każdem brzmiącem uderzeniu zegarów kościelnych, głosy stróżów nocnych, podobne do muzułmańskich Muezzynów, przyśpiewujące każdej godzinie:

„Mości panowie gospodarze,
„Już dwónasta na zegarze,
„Strzeżcie ognia i złodzieja,
„Macie Boga—dobrodzieja.“



XIII.

Wielka Reduta — Turek.

Gdyby kto chciał, jak to po wielu już wielkich miastach uczyniono, pisać historyę ulic i niektórych domów Wilna; dzieje domu Müllerów na ulicy Niemieckiej, byłyby dziejami zabaw wyższego towarzystwa litewskiego, w rozmaitych czasach nader także rozmaitych. Byłby to ciąg obrazów interesujących bardzo, bo przedstawujących z kolei obyczaje nasze w najpowabniejszej a razem najciekawszej ich barwie, *wesołości narodowej* i w sposobie jakim jej używano. Jak dalece raz, była własną, prawdziwą, szczerą, powszechną; drugi raz, obcą, cudzoziemską, modną, obłudną; i jak naprzemian jedna drugą wypędzała z sali Müllerów. Ileż wizerunków pięknych kobiét, jaśniejących wdziękami w różnych epokach naszego miasta, zdobiły tę galeryę! wieluż z nas samych dzisiaj starych, ujrzałoby tam siebie w kwiecie młodości naszéj i przypomniało urocze jej godziny. Ileż nakoniec, historycznych nawet wspomnień, powiązałoby się ze szczególnemi wypadkami, objętemi nieraz ścianami tego domu!...

Reduta w sali Müllerów była jedyną zabawą publiczną w Wilnie w czasie aktu mojej powieści, i lubo świetne assamble i bale u panów zgromadzonych do miasta codzienne prawie nastręczały sposobności zabaw, tańców i wesołych wieczorów; wszelakoż najczęściej tak się zdarzało i zwyczajem nie-

jako było, że cała kompania zebrana w domu któregoś z magnatów, po sutéj wieczerzy, dobierała się i łączyła w motye i długim ciągiem sanek i karet oświeconych pochodniami, wlekła się na redutę. Motyant natenczas był obowiązany nie odstępować swojej *motyi*, to jest damy, której ochoczym czy niechętnym na ten wieczór był sługą, i po reducie odprowadzić ją do wschodów jej rezydencyi — szczęśliwy! jeżeli służba ta była mu po sercu! Na ostatnią więc wtorkową redutę, całe się gotowało miasto.

Pani Starościna z córką, od dwóch tygodni była w Wilnie. Pan Starosta leczył się w domu, medykamentami doktora *Pedymontanusa* z recydywy pedogry, któréj mu trunek rotmistrza napędził. Kilka już świetnych wyprawiła ona wieczorów, na których, niestety! Ludwik być nie mógł.

Straciwszy po fatalnéj swaćbie, wszelką nadzieję, a nie mogąc na nieszczęście stracić i stłumić przywiązania i miłości, sechł młodzieniec i więdniał, jak kwiat spieką spalony.

Siostrzyczka jego Helusia, wprawdzie odwiedzała pannę Starościankę, nie uważając na fochy i kwaśne przyjęcie mamy. Serdeczne przyjaciółki od dzieciństwa, nie mające dla siebie wzajem żadnych tajemnic, powierzyłyby sobie zapewne swe myśli, uczucia i zmartwienia, i takiéj chwili, za każdą swą wizytą szukała pilnie Helusia, chcąc przyjaciółce miłość i cierpienie brata przepowiedzieć, a choćby słówko pociechy mu odnieść; lecz baczne Starościnéj oko, nigdy osóbnéj im nie dozwalało rozmowy i powodem niby bawienia gości, których dom jej zawsze był pełny, nigdy córce od boku swego oddalić się nie dozwalała. Po radośnych więc tylko powitaniach, i po łzach, które przy każdem pożegnaniu

zwilżały piękną źrenicę Elżusi, mogła ona sądzić, że serce jej przyjaciółki, ani w przyjaźni dla niej, ani w tkliwszych uczuciach dla brata, najmniéj się nie zmieniło.

Raz jednak, gdy po czułém pożegnaniu, Helusia w przedpokoju ubierała się w futro, starościanka postrzegłszy matkę w żywéj rozmowie z jednym z jaśnie wielmożnych gości, wybiegła za nią i ściskając ją czule: — »Ach! jeszcze choć jednę chwilkę z tobą!« rzekła. Korzystając Helena z tego niespodziewanego sam na sam, szybko i cicho mówiła jej: — »Moja ty droga! dziękuję ci; mama twoja pil»nuje nas.... nieszczęśliwy Ludwik! ach! jakże on »cię kocha! on umrze z rozpaczy!...«

— Ludwik! Ludwik! o mój Boże! powiedz mu, rzekła z westchnieniem — powiedz.... łzy przecięły cichą mowę, doszepnięciem na ucho słów kilku kończoną, a przerwaną głosem Starościnéj wołającéj córkę. Aby ukryć swe łzy i wzruszenia, Elżusia bocznemi drzwiami do głębszych wbiegla pokojów; a Helena odeszła niosąc bratu ulgę, pociechę.... ba! czemuż nie nadzieję?

Przygotowanie się w mieście na ostatnią redutę, zależało najwięcéj na tem, że towarzystwa przyjazne sobie, łączyły się w jedne grona i układały motye i maski: mężczyzni sporządzali stosowne, często znacznym kosztem ubiory, aby nie powstydzić motyi, które także strojnie i pięknie, wystąpić starały się.

W innym czasie i humorze, Ludwik nie ustąpiłby nikomu, ani w dowcipnych wynalazkach i projektach do maskarady, ani w gustownym układzie własnego stroju; i nie jedna matka pozazdrościłaby wybranéj przezeń motyi. Ale ów niedawno wesoły, śmiały, ładny i gracki chłopiec, stracił wszystkie swoje zalety, i prócz poczciwego a cierpiącego serca i młodości, nic mu prawie z dawnych ozdób i wdzięków nie zostało.

Rodzice i stryjowie ubolewali i lękali się o zdrowie jego. Helusia, czasem z nim razem popłakała w alkierzyku, a częściej cichą pogadanką o kochance, tak miłą zakochanemu, rozpogadzała pochmurne jego czoło; i cała ta poczciwa rodzina głęboko dotknięta i zasmucona była, losem ukochanego ich wszystkich dziedzica. Pan Skarbnik nawet, widząc co się święci, lubo zrzędził i dowodził, że gdyby pan Ludwik pilnował statutu, nie przyszłoby do tych feralnych konsekwencyi i negocyacyi, które złym swoim skutkiem, dziś mu głowę suszą.... jednak patrząc na stan boleśny młodzieńca, którego kochał, o tyle przynajmniej, ile jurysta kochać może, często sam do siebie mawiał: »*inter nos loquendo*« źle z nim jest.... trzebaby cóś poradzić.... szedł potem do pani Dulskiej i ją na wzwiady do Starościnej posyłał. Starościna przyjmując uprzejmie kuzynkę, po której kapitalik w spadku przewidywać mogła, najmniej się nie domyślała, że to był szpieg pana Skarbnika, przez którego wiedział on o stałej skłonności Starościanki dla synowca i stałej niechęci Starościnej dla ich obu.

Od czasu jednak ostatniej bytności siostry u Elżuni, humor Ludwika poprawił się nieco; bo ta przywiązana siostrzyczka, słówko wzięte do ucha z ust jej, prosto bratu do serca wrzuciła, a słówko to było, widać, talizmanem rzeźwiącym go z otrętwienia i troski.

Cały więc karnawał nudno schodził w Dowiatowskich dworkach; ale gdy humor ukochanego Ludwisia uległ zmianie na lepsze, to rozpogodziły się twarze i całej doń przywiązanej rodziny. Stryjenka zaś, *in gratiam* tej pomyślnej okoliczności, postanowiła zakończyć przynajmniej, weselej zapusty i ostatni wieczór obejść suto i huczno, podwójnie uraczając familiję, przyjaciół i sąsiadów: to jest, dać smaczną wieczerzę przed północą, a po niej wyśmie-

nity postny z ryb i pirogów podkurek, zakończyć się mający sowitém płókaniem zębów.

Ludwik wdzięczny stryjence za ten szczery wzgląd na stan jego, a nie myśląc wcale o publicznych zabawach, przyjął na siebie zaproszenie gości. Między temi, niepoślednie miał trzymać miejsce pan porucznik, i owszem na nim zakładano największą bachusowej ochoty i wesołości nadzieję. Do niego zatem naprzód, to jest trzema dniami przed ucztą, wyprawił się za Ostrą-bramę Ludwik, aby wszelkie zaproszenia uprzedzić.

— A witajże mi! witaj! kochany mój! dwa razy kochany!... bo i odemnie i od kogoś jeszcze.... ale niech to będzie między nami. W czas przybywasz, dalibóg w czas! wołał, uściskając Ludwika porucznik.—Patrz w jakim jestem kłopocie.... trzech żydów mam na głowie, a oni mnie. Ja im rady dać nie mogę, a oni mnie. Otoż ty i mnie i im poradzisz.—

W rzeczy samej, na środku pokoju, około wielkiego stołu, na którym różne z jedwabnych materyj leżały żupany, kontusze, a nawet atłasy i gredytury w sztukach, stało rozmyślających z krédkami w rękach, trzech żydów.

— O cóż tu idzie? zapytał Ludwik.

— He, widzisz, — rzekł Porucznik — wszystko to ja twoje interesa robię. Ty śpisz, a twoja dola rośnie! bo niech mię djabli porwą, jeżelibym się wdał w tę biedę, gdyby nie moja życzliwość dla ciebie.... a zatém, nadzieja pomyślniejszych ewentów ze starościną.

Ludwik zdziwionym i niedowierzającym wzrokiem nań spójrzawszy: — kochany poruczniku, rzekł, cóż to znowu za zagadka? i jak niewcześnie onę wprowadzasz?—dodał wskazując na żydów.

— Ha! prawda, tylko co nie podrwiłem głową. Do sieni łajdaki! i czekajcie. Otoż napomknąłem ci przyczynę, dla któréj po przybyciu do miasta staroścіnej, nie odmówiłem jej kilkakrotnej prośbie i odwiedziłem ją. Mityguje się widać baba, pomyśliłem i pofolguje zamiarom naszym. Potém raz i drugi zaprosiła mię na obiad; poszedłem i upatrywałem zręczności i szczęśliwej godziny ku renowacyi *tandem* tego....

— Rozumiem, przerwał Ludwik z uśmiechem, bo poznał, że Porucznik chce usprawiedliwić się z wizyt swoich do starościnej, na którą, po powrócie ze śwaćby tak był obrażonym, że po razy kilka we dworku powtarzał: »noga moja w jej domu nie postanie.»

— Rozumiem, przerwał zatém Ludwik, i dziękuję za dobrą wolę pańską dla mnie: mam jednak, zda mi się prawo, prosić cię kochany poruczniku, abyś odtąd zaniechał wszelkich już w tym względzie insynuacyi. Zostawmy to woli boskiéj; a tymczasem, ot ja przychodzę w imieniu moich stryjowstwa i całej naszej rodziny zapraszać cię, abyś z nami, jako ze swemi prawdziwemi przyjaciołmi, ostatni wieczór zapustny przepędził. Kompanię będziemy mieć dobraną, przyjacielską, a poufałą; a zatem zabawimy się, da Bóg dobrze, mając zwłaszcza kochanego porucznika między nami.

— Otoż masz! a to jest półtora nieszczęścia! odpowiedział porucznik; nietylko muszę spendować niemałego grosza na babskie bałamuctwa, ale jeszcze tracę najmilsze towarzystwo i szlacheckie poczciwe, a wesołe zapusty! Czemużeś mnie zawczora o tém nie powiedział!

— Wczora jeszcze stanął u nas projekt zabawy i mniemałem, że trzema dniami przychodząc uprzedzę wszelkie zaproszenia.

— Otoż to, że uprzedziła cię starościna, i skutkiem to jéj woli, a danego przezemnie słowa, zna-

lazłeś mię w kłopocie, w którym wzywam twéj rady.

— Na ostatnią wielką redutę, mam być *Turkiem* i dla tego muszę oporządzić się po turecku; proszę więc tu znaleźć krawca, któryby cię na baszę wystroić potrafił? Nanieśli mi tu z tandetów i ze sklepów towarów szmat; a cóż, kiedy nie znają łajdaki tureckiego kroju.

— Zgaduję rzekł Ludwik, toć pani staróścina będzie Turkinią, a porucznika w motyę sobie obrała.

— He! he! nie zgadłeś braciszku, nie! Starościny motyaszem będzie JW. deputat Lidzki, którego bodajby na króla Egipskiego fortraguje; a sama ma być jakąś królową bodaj Lampartyńską. Mnie Ludwisiu pozazdrościsz... moją motyą będzie Elżusia! Oj tak, tak! Elżusia. Ha! usmiechasz się Judaszu! a wiem co myślisz, że mnie powinna była przyswoić sobie mamunia, a ciebie dla córeczki! prawda, byłoby to właściwiej. Ale widzisz baba minister! oho! rozumiesz, że ona mię tak bardzo kocha, że aż z córką swata! nie, nie o tym Dawidzie, gra idzie. Ale trudny jej był wybór między młodzieżą, dobijającą się o honor służenia w motyę pannie staróściance; bo prawdę mówiąc braciszku, masz rywalów bez liku. Aby więc nikogo nie obrazić, mnie dla Elżuni wybrała i kazała oporządzić się po turecku: a łatwiejby mi przyszło mosanie konia w rzęd turecki ubrać, jak siebie samego w ich muzułmańskie szaty. Dajże więc mądrą radę panie Ludwiku; a za to, co każesz, wszystko z pod maski wyszepcę na uszko Elżusi. Wiész co? możeby jeszcze lepiej było, gdybyś sam był na reducie w masce?... tylko, że cię mama wnet odgadnie, gdy się zbliżysz do córki.

— Idzie więc ci kochany poruczniku, rzekł Ludwik nie zważając na jego propozycye, o krawca, któryby ci turecki ubiór uszył.

— A tak, właśnie tak.

— Posyłajże wnet na Subocz ulicę po Benjamina,

on jest moim krawcem, a rocznym u pani Mórawskiej, antreprenerki naszego teatru. Szyje on garderobę teatralną, więc nieraz i tureckie ubiory szył zapewne; a narszcie wziąść łatwo może na blajer: ale śpiesz się, bo nie jednemu mnie, taż sama myśl przyjść może do głowy.

— A niechże cię uścisnę! wyśmienity projekt! to mi to głowa! Masz za to jeżeli chcesz, na cały dzień moje siwe kuce. Won faryzeusze! wrzasnął otworzywszy drzwi do sieni; nie potrzebuję was. Towary zatrzymuję, jutro przyjdźcie po nie; co odkroję, zapłacę.

Posłano natychmiast po Benjamina, który przybywszy, najdoskonalszą okazał znajomość rzeczy. Porucznik ukontentowany, nie targował się o zapłatę podwyższoną bardzo, powodem, że jak powiadał żyd, miał do ubrania sześciu samych turków, oprócz jasnego porucznika, dziesięciu hiszpanów, czterech murzynów i jednego dzikiego człowieka.

Wybrano zatém materye; porucznik zaklinał żyda, aby on ze wszystkich turków był najokazalszym, dodając na ostatnią konwikcyę:—słuchaj Barabaszu! albo ci zapłacę jak chcesz, albo cię zbiję na gorzkie jabłko.

Żyd zaklął się najuroczyściej, że jasny pan porucznik będzie kontent; a odchodząc i zabierając materye dodał: — »tylko turban do mnie nie należy, »a powinien być bardzo bogaty, od złota i dya»mentów.«

— No, no, rób swoje Zarobabelu, a nie frasuj się o resztę, rzekł porucznik do żyda. Lecz gdy ten wyszedł, obrócił się znowu do Ludwika: — Jednakowoż to sęk ten turban; czy nie dasz znowu jakiej rady.

— I owszem mam gotową; daj tylko złota i dyamentów, jak krawiec radził, a siostra moja upnie ci i ubierze ten turban, do którego potrzebny kadłub, ja od kapelusznika dostarczę.

— Co? Helusia ubierze mi turban! A niechże mię szatan porwie, jeżeli jej za fatygę, rączek i nóżek nie ucałuję po tysiąc razy! Co do splendorów, najdzie się u szlachcica; a do tego, zbiorę po moich kumkach i przyjaciółkach, których mam chwała Bogu prawie na każdej ulicy, starych brylancików i dostarczę Helusi.

— Nakoniec, rzekł Ludwik, trzeba mieć krzywą tureckę karabelę u boku, i kindżał za pasem.

— No to już nie bieda, rzekł porucznik, sześciu turków mógłbym uzbroić, bogatym orężem z mojej ściany: chodź i patrz!

W drugim pokoju na całej ścianie, szérokim kobiercem zawieszonej, umieszczony był symetrycznie piękny, dobrany, a nawet kosztowny i liczny arsenał pana porucznika. Broni tureckiej zimnej i ognistej było niemało, równie jak wszelkiej innej, którą z upodobaniem przeglądając Ludwik, przysłuchiwał się opowiadaniom Stelnickiego, o zaletach i dziejach każdej sztuki. Nakoniec, zdejmując on z kółka szablę damasceńską z piękną wschodnią w jaszczur i srébro oprawą: — Mój kochany Ludwisiu, rzekł, może i tobie zdarzy kiedy po turecku się stroić, to miej na pamiątkę od przyjaciela.

Ludwik dziękował, ale przyjmować nie chciał daru, tak znakomitej wartości.

— Cóż to znowu u kata? zawołał Stelnicki; wy młodzi chcecie wyprowadzić z mody naszę staroświecką kordyalność i ochotę do wzajemnych dowodów przyjaźni i szlachetnego serca? Oj tak, tak! wychodzi to dziś z mody, co dawniej było zwykłą wspaniałością u panów, a cnotą popularną u szlachty. Podoba ci się koń mój dzielny? masz go bracie! i dłoń w dłoń; a potém w obie, kielich na podziękowanie za łaskawe przyjęcie, i tym podobnie. Im więcéj sposobności darów i zjednania przyjaciół, tém lepiej, i nikt się tym nie zubożył, bo odbierał często we dwójnasób za swoje; a miłość, a życzliwość wza-

jemna, a dobra myśl, a wesołość i ochota, kwitła wszędzie i między wszystkiemi. Ba! dziś już inaczej jest! a kto wie co dalej będzie?... Ale wola bozka we wszystkiem! a ty przyjm tę szabelkę, bo rekuzą zmartwisz mnie i zagniewasz bardzo. Uściskał potém młodzieńca, gdy ten spełnił jego życzenia, i pożegnali się czule.

Powracając Ludwik do domu, rozmyślał nad tą wielką redutą, wśród któréj, gdyby poszedł za radą porucznika, mógłby choć kilka słów powiedzieć swojej ukochanej; a rozmowy z nią tak pragnął, tak potrzebował, a zwłaszcza po doniesieniach Heleny, okupiłby ją połową życia. Lecz cóż z tego? słów kilka nie było dosyć: dłuższa zaś rozmowa, wydałaby go niezawodnie i przyczyniła zmartwienia córce, a ostróżności jeszcze większej matce. Nagle uśmiechnął się na jakąś myśl nową, i zawrócił się na Subocz ulicę.

Nadszedł nakoniec i dzień wtorkowy, zapustny, i dnia tego wieczór — dobitka karnawału. *In fine velocior motus*, powiada stare przysłowie: *motus* ten zatrząsł całem miastem i zabrzmiał po całém mieście wszystkiemi tonami hucznej wesołości. Na ten raz światło było po ulicach, a nawet i po uliczkach, bo ze wszystkich, a gęstych szynków rozchodziło się ono szeroko, a szerzej jeszcze odgłos rozmaitych instrumentów rzniętych, dętych i brzęczących; tak bowiem nazwaćby trzeba cymbały, pod któremi pospolita rzesza rzeźwe wybijała hołubce. Wyższe piętra znaczniejszych kamienic i pałaców, rzęsistszemi także pałały ogniami, i dobrańszą harmonją muzyki, oznajmywały wewnętrzną tam weso-

łość. Odzywały się tam i ówdzie pieśnie śpiewaków i błędne po ulicach szenekatrynek kuranty; a około dziesiątéj godziny ruszyły zewsząd kalwakaty na Niemiecką ulicę do pałacu Müllera na redutę.

Jedna z nich z kilkunastu karet i sań złożona, pomykała się powoli od Zamkowej bramy. Na jej przedzie, jechała w karecie starościna z córką; a za nią tuż basza turecki i król egipski, w saniach parą siwców ciągnionych. Za niemi dalsza kompania, która na umówioną godzinę zebrała się licznie do pani starościnej, i tam złączona w motye i umaskowana, mieściła się do pojazdów tak, aby mężczyzni jadący w saniach, byli zaraz za swemi motyami, dla podania im przy wysiadaniu ręki i wejścia razem na salę.

Na Niemieckiej ulicy, gdzie wszystkie zjeżdżały się i rozmijały się kalwakaty i pojedyncze cugi, hałas, zgiełk, tłum i zamięszanie przechodziły wszelkie opisanie. Policya jako dziś, nie czuwała nad porządkiem i bezpieczeństwem; a tak, porządku nie było, a bezpieczeństwo zależało od zręczności stangretów, i otaczających każdy pojazd hajduków, którzy z pochodniami w rękach oświecali drogę, rozpychali tłumy święcąc je iskrami i wrzeszczeli z całego gardła, przeklinając się wzajemnie, jak potępieńcy wśród smoły i ognia.

— A to czyste piekło tu, panie Lidzki! odezwał się niecierpliwie porucznik.

Nie najeżdżaj! Stój! ruszaj! do miliona kroćset... Na prawo! na lewo! Gwałt! ratujcie! Bij go! trzymaj go! i tym podobne krzyki wśród trzasków nieustannych z biczów i gwaru pospólstwa pijańszego w tym dniu nad inne, w nocy i w błocie, nieprzesadzonèm czyniły porównanie powyższe Niemieckiej natenczas ulicy, do piekła.

Dowlekła się przecie kalwakata starościnej do bramy Müllera, suto lampami oświeconej: kareta weszła, sanie za nią wchodziły... gdy nagle wrza-

snął porucznik:—Co to jest? Gwałt! złodziej! dalibóg złodziej!... bo ktoś z tyłu porwał mu z głowy turban. Zerwał się z sań Stelnicki, dostrzegł złodzieja wyciskającego się między tłumem na ulicę z turbanem w ręku, skoczył więc za nim....

Król egipski, zwrócił się na ten krzyk ku towarzyszowi i nie ujrzał go obok siebie; ale w tejże chwili kareta stanęła przed wschodami. Starościna z córką wysiadły, pośpieszył więc podać rękę motyi, i znalazł obok siebie basze podającego rękę Elżusi.

—Co to było? zapytał więc jego.

—Nic, szepnął z cicha basza: omyłka—prowadź pan... Poszli więc; a za niemi kilkadziesiąt par weszło na salę, i wkroczyło w toczący się polonez.

Tymczasem porucznik pędził za złodziejem, który wyrwał pochodnię z rąk jakiegoś hajduka i biegł z nią zgniotłszy turban i schowawszy go pod płaszcz. Porucznik toż samo uczynił; schwycił pochodnię i z nią w jednej, a z dobytą szablą w drugiej ręce leciał za złodziejem wrzeszcząc co miał tchu:—Złodziej! trzymajcie! łapajcie!... ale ten rzeźwo zmykał, wywijał się zręcznie między pojazdami, w tłum zastępujący mu, suwał pochodnią w oczy i torował sobie drogę wrzeszcząc także:—Trzymajcie! Na miłość Boga! trzymajcie! Diabeł wenecki! diabeł wenecki pędzi mnie—zadusi mnie! trzymajcie na miłość Boga, trzymajcie!... Porucznik tym samym sposobem bronił się od tłumów, to jest pochodnią w oczy, i łatwiej nawet ustępowano mu z drogi, postrzegając pałasz w ręku, twarz szkaradną i ubior dziwaczny. Dostrzegł on, że przestraszał spotykanych; zdarł więc sobie maskę z twarzy, a ta opadłszy na piersi, zrobiła drugą głowę; ktokolwiek więc spójrzał na biegącego, krzyknął, Jezus Marya Józef!

i odskakiwał przerażony, lub co gorsza powtarzał za złodziejem: — Diabeł wenecki! Diabeł wenecki!...

Tak przebiegli Niemiecką ulicę. Złodziej obiegł ratusz i puścił się w dół ku Zamkowej bramie: pojazdy nie tak już gęste, dozwalały mu trzymać się środka ulicy, po której brnął w rozmięszanym i wilgotnym śniegu, oglądając się coraz na goniącego porucznika, a brnącego także po kolana bez względu na atłasy i materye, w które był oszyty, i które za każdym krokiem w niwecz się obracały. Niech diabli biorą atłasy myślał on, wolej szkodka niż szkoda... na turbanie kilkaset dukatów!... a ta myśl podwajała mu siły i kroki.

Niekiedy złodziej jakby zmordowany zwalniał biegu. Stelnicki natenczas prawie go dościgając krzyczał — stój łotrze! oddaj turban, bo ci łeb rozpłatam!!!

— Nie doczekasz szatanie! nie doczekasz diable wenecki! odpowiedział złodziej i unosił się żywiej.

Noc była cicha, wilgotna i ciemna, a im bardziej oddalali się oba od środka miasta, tém mniej było świateł: za bramą Zamkową, własne im tylko świeciły pochodnie. Porucznik cieszył się w duchu, że złodziej stracił głowę, i sam mu wskazuje drogę pogoni: ten obiegł po dwakroć katedrę żałośnym głosem jęcząc: »Jezus Marya! Święty Kazimierzu ratuj duszę moję! Zgiń przepadnij, diable wenecki!

Porucznikowi tchu nie stawało, krzyczał jednak na odpowiedź. — Nie! nie! zginiesz z duszą i z ciałem... Jaki taki podpiły, wlekący się z szynku, słysząc to i widząc latające około kościoła widma, przeżegnał się i zmykał. Z pod katedry złodziej puścił się na Antokol, klucząc między stósami drzewa, któremi cały brzeg Wilii był założony: minął kościoł Ś. Piotra wzywając jak wprzód Patrona Litwy, tak teraz xięcia Apostołów opieki, i nakoniec dobiegając do dworku państwa Dowiatów, przewrócił pochodnię, wbił ją w śnieg, a sam wpadł na dziedziniec przez

furtkę, którą za sobą zamknął z trzaskiem i zaryglował, i w którą wnet z całej siły zaczął bić porucznik, wołając: — odemknijcie! na miłość Boską odemknijcie!...

Poczciwa, tam zgromadzona drużyna, bawiła się wesoło i poufale, racząc się trójniakiem, lipczykiem, lub winem, jak czyja wola i łaska. Matrony w drugim pokoiku, traktowały się bakaliami i likierami, dzieląc się z panieństwem, które w alkierzyku, kilku chłopców mając między sobą, swobodną, a skromną gruchały chichotkę.

Nakrywano już na wieczerzę i z niespokojnością wyglądano pana Ludwika, który miał wspólnie z siostrą gospodarzyć. Panna Helena jednak, wystarczając za matkę i za brata, pięknie się krzątała, a z figlarnym uśmiechem zaręczała, że jeżeli nie na wieczerzę, to na podkurek brat pewnie wróci.

W takie to grono wpadł naprzód zadyszany i zbłocony z turbanem w ręku znajomy nam aplikant pan Łukasz, dyszkant choru śpiewaków; położył on turban na stole, a cisnąc się w zdziwiony i zasypujący go pytaniami tłum, wyrwał od kogoś szklankę, wypił duszkiem, i posłyszawszy w tym momencie dobijanie się porucznika. — Mości panowie rzekł: miejcie się na ostróżności ostrzegam... Diabeł wenecki tu wpadnie... Może się stać jaki akt wiolencyi na mojej zwłaszcza osobie.

Wtém wpada raptem Turek z pałaszem w ręku!... Mężczyzni biorąc to za umówioną zapustną zabawkę, nie ulękli się bynajmniej, ale przerażone kobiéty pocisnęły się w kąty i zasłaniały się mężami i swojemi i cudzemi. Nikt jednak nie poznał porucznika.

— Nie lękajcie się — to maska, mówili mężczyzni, ujmując jednak trzciny w ręce.

— Ach! ja nieszczęśliwa! dwie głowy! krzyknęła któraś imość nieznająca się na maskach. Wszystko to działo się w jedném mgnieniu oka, co po kolei opowiadaném być musi, i to właśnie główna niedogodność powieścio-pisarstwa.

Porucznik wpadłszy do izby, wrzasnął — gdzie ten złodziej? ale postrzegłszy swój turban świecący się na stole, porwał go z ukontentowaniem, obejrzał, i znalazłszy wszystkie splendory i kosztowności nietknięte i całe, poznał, że to nie złodziejstwo, ale jakiś figiel. Niemniej jednak obrażony krzyczał: — gdzie ten chłystek? który mój turban tu przyniósł. Czego u kroćset diabłów patrzacie na mnie jak na jaką poczwarę? to ja — Stelnicki! nie bójcie się; ale wydajcie łotra, który mnie tego piekielnego figla wypłatał.

— A dalibóg, wszakci to nasz porucznik, rzekł podszedłszy i przypatrując mu się ze świécą gospodarz domu.

— Kto turban przyniósł?

— A czegoż tak się kokoszysz? czapkę tę turecką czy jak nazywasz turban, wniósł tu i postawił na stole zasapany i obłocony pan Łukasz, którego tu widzisz; a co się to wszystko znaczy, nie wiem. Widać zmówiliście się na tę komedyę.

— A to ty szubrawcze, chłystku, łotrze przeklęty!...

— Biorę na świadectwo wszystkich tu obecnych zacnych panów i dobrodziejów, rzekł śmiało pan Łukasz, srogiej *weksy*, którą mię znieważa pan Stelnicki, poturczony niewiadomo *quali de causa?* a zatém jak widzę *relapsus* od naszej świętej wiary Rzymsko-Katolickiej.

— Schowaj miecz miłościwy baszo! rzekła przerywając te zapędy Helusia, a podchodząc do porucznika ze szklaneczką, mile woniejącego pończyku zacukrowaną powabnym uśmiechem i dygiem; schowaj miecz, a przyjm w tęż samą rękę z mojej...

— Co! z twoich rączek Helusiu? z twoich pięknych miłych rączek? wykrzyknął udobruchany wnet porucznik, wypiłbym dalibóg i jaką kwaśną lurę, a stałaby mi za nektar niebieski; tém bardziej, gdy to jest kordyał tak potrzebny do pokrzepienia mię po tej niezwyczajnej fatydze. Z Niemieckiej ulicy kłusem aż na Antokol! nie lada kurs. Więc mości Łukaszu czy Matyaszu, dowiodę ci, że żartować ze mną niebezpieczno. I gdyby nie respekt na ten dom podczaszostwa dobrodziejów i tę szanowną kompanię....

— A! nie dozwalam gniewać się panie poruczniku, — przerwała znowu Helena — i mieszać nam miłą zabawę; ja wszak mam daleko większy powód do kłótni z panem, a jednak odkładam to na czas dalszy.

— Jak to? za co? mój aniołku!

— Ale jak dobrze udają komedyę! — odezwało się zgromadzenie, w mniemaniu, że ta bachusowa zabawka, dla rozweselenia wieczoru tego ułożona. Porucznik jak od razu i zagniewany i zakochany; a Helenka jaka trusia! Da już wiemy na czém skończy się! pójdzie do seraju Baszy!

— Alboż to pięknie, mówiła ona, uśmiechając się na domysły kompanii, mości poruczniku? alboż to przystoi taka niestałość? postokrotnie oświadczać się mnie ze swemi afektami, a innej służyć w motyę na redutę.

— Aj! aj! cóżeś mi przypomniała Heluniu! gwałt! cóżeś mi przypomniała! Co tam na reducie pomyśli o mnie starościna? co pocznie bez motyi starościanka?

— O to możesz być spokojnym panie poruczniku, — rzekł pan Łukasz; — jesteś pan tu, i jesteś pan na reducie: bo kiedy już mam prawdę powiedzieć, *adyster* taki sam basza, w tej samej chwili, gdyś pan z bramy na ulicę wyskoczył, podał rękę

wysiadającej z karety starościance i poprowadził ją za matką do sali.

— A toż co znowu? jakim sposobem?

Helunia uśmiechała się figlarnie.

— Nawet, mówił dalej Łukasz, z damasceńskim kordem z arsenału pańskiego.

— A!... wykrzyknął nakoniec porucznik, uderzając się po czole — jest tu Ludwik?

— Nie ma, odpowiedziano; właśnie z niespokojnością go wyglądamy.

— No, teraz jestem w domu; więc to spisek! a rozumiecież, że to się godzi? że wam młodzieniaszkom wolno ze starym żołnierzem i starym przyjacielem, takie psoty dokazywać?...

— To spisek kochany poruczniku, do któregom i ja należała, rzekła Helusia, bo dwa zawoje uszyłam; więc ze mną najpiérwszy pojedynek, a Ludwiś, to wszakże przyjaciel i faworyt pański.

— Hem! prawda, kocham tego chłopca, a bodaj może i dla tego, że ma pewną siostrzyczkę...

Helusia drugą szklanką i drugim zręcznym dygiem uraczyła zagniewanego.

— Niech mię djabli porwą! oczaruje mię ta dziewczyna, — rzekł on, przyjmując lampkę.

Tymczasem całe towarzystwo, zrozumiawszy, że to nie komedya, to uwiadomione, to domyślające się całej awantury, ostąpiło rozmiłowanego porucznika, wypiło jego zdrowie, wyściskało go serdecznie, ciesząc się i dziękując, że na cały wieczór zostanie w ich szlacheckiej kompanii, nie wyrywając się do pańskich assamblów. Kobiéty i dziewczęta rozważały i dziwiły się jego wspaniałemu ubiorowi, upewniając, że mu w nim bardzo do twarzy: a tak rozdobruchany i rozbrojony rycerz: — Hej! bracia mili! zawołał, przy kielichu i fartuszku, najtwardsze serce topnieje jak wosk! a na dowód, że i mnie stopniało, przy tym strzelistym ogniu, błyskającym z oczek Heluni, wypijmyż jej zdrowie, ale z jej trzewiczka!

Na tę propozycyę Helusia odbiegła do drugiego pokoju, ale porucznik z pomocą młodzieży i tam zawinął się około jej stopek i wnet zdobył trzewiczek, do którego wstawiwszy szklankę, spełnił pożądany *wiwat*, powtórzony w kolej przez wszystkich. Harmonia zatém i wesołość nastąpiła zupełna, a porucznik był jej duszą.

Na reducie, basza po dwóch polonezach odprowadził motyę swą do matki i zniknął w tłumie. Maska ukryła wzruszenia starościanki, które zapewna na twarzy się malowały; drżąca jednak stanęła obok niej. Damy się wkrótce demaskowały, a zatém ubiegających się o rękę do tańców, pięknej odaliski, było mnóstwo. Starościna rozumiała, że porucznik nalazłszy towarzyszów, pije w bufecie, i nie troszczyła się o to: bo wszakże była to motya dla proporcyi tylko. Ale gdy równo z północą muzyka ucięła, tańce ustały i rozjeżdżać się zaczęto, starościna upatrywała go wszędzie; szukał go też napróżno pan Lidzki, aż nakoniec i niedoczekawszy się i niedoszukawszy się motyanta córki, musiała się zastąpić jednym królem Egipskim, a złorzecząc ochocie, którą sądziła być przyczyną niegrzecznego tego zaniedbania i gorzkie dlań gotując wymówki, odjechała do domu.

Po wieczerzy, a przed podkurkiem, okrzyk radośny całej kompanii we dworku, powitał wchodzącego pana Ludwika.

— A tuś mi panie kawalerze!... zawołał Porucznik; — ale nie miał już ani czasu, ani humoru do gniewu. Uszczęśliwiony Ludwik dopiętą sposobnością, przemówienia słów kilku do swej ulubionej i zawiązania z nią na nowo ogniw serdecznych i zwątpiałej nadziei, uległby pokornie zrzędzie starego przyjaciela, którego teraz tém bardziej pokochał,

gdy śmiejąc się Porucznik z innemi i klepiąc go po ramieniu, rzekł: — no, no, nie gniewam się już, prawdę mówiąc gracki figiel. A jednakże ten psubrat, — wskazując na pana Łukasza, na wiele się odważał dla twojej przyjaźni: bo gdybym go dopędził, rozpłatałbym jak szczupaka.

— Oho! gdybyś mię pan dopędził! to, bo, to, było zatrudno.

— Podziękujcie zresztą oba Helusi, ona to mię rozbroiła... i niech mię djabli wezmą... zapijmyż tę sprawę.

Podkurek zakończył wieczorynkę, po której, Ludwik owinąwszy Porucznika w futro gospodarza i włożywszy do sań jego własnych, któremi z reduty przyjechał, odwiózł do kwatery za Ostrą-bramą.



XIV.

Otwarcie Trybunału.

Dwódziestu cztérech wybranych z powiatów mężów, składało pod przewodnictwem marszałka, z ichże grona wybranego, najwyższy Trybunał w Litwie: naprzemian, wprzód w Mińsku i w Wilnie, potém w Grodnie i w Wilnie mający swe sądy.

Jeszcze by się nalazło kilku przynajmniej sędziwych starców, pamiętających owe czasy i obyczaje, od których my ustne przyjąwszy opowiadania, pismem je dziś w trwalsze zamienić chcemy pamiątki.

O zaszczyt przewodniczenia tak wysokiej magistraturze, najmożniejsze w kraju z dostatków i imienia, ubiegały się domy. Wiadomo, że przezydujący raz w niej xiąże, bliski króla pokrewny, własnemu

ojcu dał sześć niedziel wieży, za ukrzywdzenie zagrodowego szlachcica: a gdyby to nawet jak się domyślać można, był tylko umówiony dla przykładu dekret, zagładzony potém sowitém wynagrodzeniem szlachcica, zawsze jednak głos publiczny, rozsławiając czyn ten nadzwyczajny, wyborne wrażenie wywrzeć musiał na liczne w kraju sądownictwa, na krnąbrne prawom umysły możnowładców, i na popularność i uwielbienie dla imienia urzędnika, poświęcającego najdroższe związki krwi, prawu i niepokalanej cnocie sędziego.

Mikołaj Łopaciński był obrany marszałkiem, mającego się otworzyć naonczas Trybunału w Wilnie. Przybył on kilku tygodniami piérwiej i zajął dom swój na końcu Zamkowej ulicy, dziś prawie opustoszały, a rynkiem małym przedzielony od zbitej niedawno razem z Zamkową bramą, sali posiedzeń natenczas Trybunalskich, a za naszej pamięci, Izby Cywilnej.

Folgując wiekowi swemu i zdrowiu pedogrą nadwątlonemu, pan marszałek dla wygodniejszego z apartamentów swoich do izby sądowej przejścia, i korzystając z blizkiego, a przeciwległego położenia obu domów, złączył one wysokim na słupach i krytym kurytarzem, podobnym temu, jaki klasztor panien Zarzecznych z kościołem xięży Bernardynów łączy (*).

Lecz gdy tak się zabezpieczał od wiatrów i chłodów, nie miał równejże ostróżności z innego względu na swoje zdrowie. Przybywszy do Wilna pociągnął marszałkowskiego obrusa, i z pańską wytwornością, ochotą i zbytkiem, otworzył dom swój publiczności. Przybycie z kolei każdego deputata kolegi swego, sutym obchodził bankietem; tak, że nim doszło do otwarcia trybunału, prezydent onego, naj-

(*) Prawdziwe.

celniejsza dnia tego figura, leżał w łóżku i nóg pedogrą zbolałych ani mógł poruszyć.

Zatém pan Marcin Zaranek piérwszy *ex turno* powiatów deputat, gotował się do zaszczytu zastępowania marszałka.

Nazajutrz więc po środzie popielcowej, wielka liczba karet przejeżdżając przez Zamkową bramę, szykowała się przed katedrą: pieszo brnął tłum już to nabożnych, już ciekawych, na wielką mszę celebrować się mającą przez biskupa, i kazanie najwymówniejszego kaznodziei, mające być nauką i zagrzaniem sędziów do wypełnienia wysokich ich obowiązków.

W kościele osobną, umyślną naprzeciw ambony ławkę, sutym kobiercem zasłaną, zajęli deputaci; otoczyła ich palestra, a publiczność napełniła świątynię.

Gdy wspaniały obrzęd mszy Św., przedzielony kazaniem, zakończył się, zasiadł pasterz na swoim tronie, a powstali sędziowie, zrzucili futra, i poważnym krokiem przeszedłszy kratki, zbliżyli się do stołu, na środku prezbiterium ubranego, na którym stał krzyż srebrny, i przy którym kapłan w komży, trzymał w ręku roztwartą xięgę i z niej przeczytał przysięgę, uroczyście i dobitnie przez każdego powtórzoną.

Po jej wykonaniu wrócili nowi urzędnicy za kratkę i uklękli przy niej rzędem, a biskup zstąpiwszy z tronu, i oblekłszy litą kapę, ukląkł także na stopniach ołtarza, i hymn: »*Te Deum laudamus*« zaintonował. Liczny kler assystujący nabożeństwu, połączył dobrane głosy ze wspaniałém brzmieniem organu, i piękny ten obrzęd zakończył.

Wyruszono zatém z kościoła. Pan Zaranek, na czele kolegów, wyszedłszy na krużganek, wziął z rąk hajduka, hebanową, złocistém okowaniem ozdobną laskę marszałkowską pana Łopacińskiego, obejrzał się na cisnącą się do zaszczytu niesienia jej młodzież, i zdeterminowany zapewne piękną postawą i wytworniejszym ubiorem pana Ludwika Dowiata, jemu onę powierzył.

Pani Starościna z córką, stała natenczas w tłumie wysypującej się publiczności, czekając na swój pojazd; obie więc widziały jak przyjąwszy z ukłonem laskę, pan Ludwik wzniosł ją i dumne swe czoło w górę i wystąpił przed marszałka. Za nim poważne grono deputatów, nie siadając do pojazdów, bo dzień piękny i krótkość przejścia tego nie wymagały, udało się ulicą, między gromadami ciekawego ludu przez cały plac sformowanego, do swej sądowniczej sali. Panna Helena przeprowadzała wzrokiem marszałkowską laskę, a matka życzliwych sobie deputatów liczyła. Tłum też rozpatrywał i podziwiał tę paradę. Świetność strojów, pasy lite, bogate karabele, szpinki brylantowe i tym podobne sute ozdoby lskniły się na deputatach i na pałestrze; która uważając siebie za członków wielkiego trybunalskiego korpusu, występowała zawsze z równąż świetnością do orszaku; w którym jeszcze żadnego nie ujrzałbyś fraka. Strój ten bowiem kusy i opięty, ujmował by natenczas dostojeństwu urzędników, a powagi i zaufania powszechnego kongregacyi prawników, na których mądrych głowach, interesa całej Litwy leżały.

Gdy się orszak zbliżał do arkad domu, pod niemi straż trybunalska uderzyła *werbel* i sprezentowała broń. Nakoniec na górze, woźny w mundur ubrany, z szablą u boku, na wścieżaj otworzył podwoje sali sądowej i pan Zaranek krzesło marszałka, a deputaci własne, po kolei powiatów zajęli.

Pan Ludwik stanął z laską za marszałkiem; taki bowiem był zwyczaj, że na każdej sessyi którykol-

wiek z młodzieży onę piastował. Na skinienie marszałka, woźny tuż stojący, na całe gardło zawołał:

— »Sądy Najjaśniejszego Trybunału W. X. Lite»wskiego przywołują się.«

Natenczas zbliżyła się do kratek delegacya młodzi szkolnej, witającej zwykle każdy nowy trybunał. Prowadził ją xiądz prorektor, a składała się z kilku studentów, paniąt, krewnych lub synów deputackich, i z kolei wstępując na adwokacką mównicę, jeden polską, drugi łacińską, wcześnie przez patrów najtęższych oratorów wysmażone, prawili oracye.

A tymczasem między palestrą wszczął się niejaki ruch i zamięszanie; hurmem napadali na siebie wzajemnie, pytając się kto wyznaczony? kto przygotowany do koniecznej od palestry powitalnej mowy? Nikt — zapusty, jak na nieszczęście przed samém rozpoczęciem trybunału przypadłe, odjęły pamięć na ten nieodbity obowiązek palestry: — »Wasan panie »Janie! Wasan panie Wincenty! Wasan panie re»gencie!« od jednego do drugiego rzucali się wszyscy. »Wasan mości Skarbniku!« Skarbnik nasz machnął ręką, ani słuchać niechciał; to nie jego rzecz *ex abrupto* prawić, a jeszcze komplementa. A toż konfuzya ostateczna dla palestry! wołano z cicha, a toż kontempt dla trybunału! a to *Crimen lesae Majestatis!*... Nakoniec okrążono tłumem młodego ale znanego *ex fluida eloquentia* adwokata, pana Mateusza Antonowicza. — Wasan panie Matèuszu!

— Nie mogę — nie przygotowany jestem, trzeba mnie było uprzedzić....

— A na miłość Boga! gadaj! bo zgubisz wszystkich i siebie samego!...

Pan Mateusz spuścił oczy, namyślał się, a wtém go hurmem na mównicę wepchnięto, na której jeszcze miał chwil kilka do namysłu. Bo gdy studenci

ukończyli oracye wprowadzono ich za kratki; deputaci ściskali ich, pieścili, a marszałek do końca sessyi całą delegacyę zatrzymał.

Pan Antonowicz zarzucił na ramiona wyloty karmazynowego kuntusza i pokręcał kruczego wąsa. Cała palestra otoczyła go kołem, jako w jej imieniu perorować mającego i z niespokojnością trwożyła się, czyli się mu uda. Publicum nadstawiło słuch ciekawy; a gdy koło urzędu do porządku wróciło, on poprosiwszy o głos marszałka, tak mówił:

»Najjaśniejszy Trybunale!

»*Luceat lux vestra coram hominibus!* Niech »świeci mądrość wasza przed całym światem! Niech »świeci! Boście na to wybrani przez braci waszych, »dostojni szafarze sprawiedliwości świętéj, aby w wy»rokach waszych, mądrość i cnota jaśniały jak słoń»ce na niebie i oświecały nas, cisnących się *sub* »*umbra allarum*, pod skrzydła opieki i wspaniałości »waszej! Witam cię zatém Najjaśniejszy areopagu »Litewski! a złożony z mężów godnych zasiadać te »kurulskie, jak owe dawnego Rzymu, krzesła! Wi»tam was w imieniu najuniżeńszych sług sądu wa»szego, prześwietnej palestry trybunalskiéj, uchyla»jącej tu czoła swoje (i wszyscy się na te słowa »ukłonili), nie tylko jako przed zwierzchniczą swą »władzą, ale jeszcze i bardziej, jako przed mężami »których zasługi znakomite w kraju, nowém uczczo»ne dostojeństwem, korroborują i dodają lustru nie»porównanej dawności prozapii waszéj. Bo któż za»przeczy wyrazom pisma Św. wskazującym jak na »dłoni rod twój JW., a godny zastępco marszałka... »Gdy bowiem Bóg wszechmocnością swoją świat ten »stwarzał, rzekł dokonywając dzieła: *Et fiat lux!* »i stał się.... *Zaranek!*

»I ty pisarzu trybunalski, głosem kolegów twoich »wybrany na to, abyś nieomylne zdania ich, w xię»gi nieśmiertelne wyroków waszych wpisywał, spra»wiedliwie obok takiego prezydenta usiadłeś: bo gdy

»on stworzenia świata, ty rodem twoim epoki odno»wienia tej ziemi zasięgasz. Twój to protoplasta, »propagator po potopie rodzaju ludzkiego, żeglował »w arce; a gdy ta osiadła na wysokim Araracie, po»wiada pismo: *Et primus Noe adoravit Dominum »Deum!* I piérwszy Noe był — *Bohomolcem!*

Zadziwienie i zadowolnienie powszechne z dowcipnego obrótu mowy, malowało się na twarzach wszystkich.

»Lecz czyliż może podołać moja słaba wymowa »na wyjaśnienie tak z kolei i uwielbienie wszystkich »zacnych imion obsiadających dzisiaj ten stół sądo»wniczy. Nie zaiste! Otwórz dzieje, kto chcesz na»uki i przykładu; jedno i drugie najdziesz w ich »przodkach, jedno i drugie widzisz w obecnych po»tomkach! A zatém powtórzę Najjaśniejszy Trybu»nale: *Luceat lux vestra coram hominibus!* Niech »świeci mądrość wasza przed światem! a gdy wszel»ka mądrość od Boga jest; niech więc i wasza bę»dzie bogobojną i sumienną; niech w rozsądzaniu »spraw ludzkich tak was prowadzi i ubezpiecza, aby»ście waszę sprawę wygrali natenczas, gdy zażar»tym instygatorem na nas, będzie wieczny nieprzy»jaciel zbawienia naszego—woźnym, Archanioł z trą»bą—palestrą broniącą nas, patronowie święci. Krzyż, »laską marszałkowską—a marszałkiem trybunalskim, »Jezus Chrystus Pan nasz i Odkupiciel! *dixi.*«

Powszechny applauz okrył oratora, sądy odwołano na jutro, a pan Zaranek zastępujący i za stołem sądowym i za stołem biesiadniczym marszałka, kolegów, palestrę całą i dzieci z ich przewodnikiem na obiad zaprosił.



XV.

Zabiegi.

Pierwszą z kolei sprawą przypaść mającą w trybunale, była pana pisarza W. X. L. Aloizego Sulistrowskiego, którego przypomną sobie czytelnicy Obrazów Litewskich z pamiętników Kwestarza — z Karmelitami Głębockiemi. Drugą, wnet po niej następującą, Staróścinej Kapinowieckiej z Dowiatami. Treść obu już znajoma czytelnikom. Obie zaś tak z sobą składne, że wyrok w jednej miał być regułą do wyroku w drugiej. W jednej bowiem i w drugiej szło o dawność ziemską, która odrzucona w sprawie pierwszej, dawała wygraną Sulistrowskiemu, ale nie mogła już tém samém być przyjęta i w drugiej, a zatém nie broniła zaścianku Dowiatów. Pan Skarbnik zaś, powinien był w piérwszej dawność ziemską zbijać, w drugiej utrzymywać. Trudna nader pozycya!...

Znał dobrze krytyczne swe położenie Skarbnik, i niebezpieczeństwo procesu familijnego tak fatalnie połączonego. Wprawdzie, salaria spodziewane od pana Sulistrowskiego, po sto dukatów od wygranego tysiąca, przewyższyć we dwoje mogły wartość zaścianku; a Skarbnik dostatki swoje zawsze w głębi duszy, za własność familijną uważał, bo żenić się nie myślał. Lecz toż samo przywiązanie do imienia

i rodziny swojej, nie dozwalało mu dać się pokonać w interesie, w którym nie tylko fortuna, ale i miłość własna, niewłaściwie wprawdzie, ale zwykle honorem szlacheckim ochrzczona, na szwank wydaną być mogła. Zrzekłby się on już nareszcie plenipotencyi pana Pisarza Litewskiego; zwłaszcza, że i szkrupuły xiędza Prokuratora tkwiły mu w pamięci: ale cóż potém? utraciłby tylko jednego z najznakomitszych swoich klientów, a kto inny podjąłby się łatwo zastępstwa i skutek zawsze tenże sam, bo sprawy jedna po drugiej przypaśćby jednak musiały.

Wymknąwszy się zatém z obiadu od pana Zaranka, Skarbnik powrócił śpiesznie do swego dworku, i tam jeszcze rozmyślając czas niejaki, a nic nie wymyśliwszy, szedł do klasztoru XX. Trynitarzy do brata, do którego zawsze w twardych okolicznościach na ostateczne consilium zwykł się udawać.

Na stuknienie zwyczajne do celi, odpowiedział mu głos, który nie bratnim być poznał, *rogo*, gdy xiądz Augustyn odpowiadał zawsze *intrare:* zastanowiła go ta zmiana i nieco zmięszała. Wszedłszy, zamiast brata, znalazł w celi xiędza Honoryusza, którego znał dobrze, jako bogobojnego i poczciwego zakonnika; uspokoił się zatém względem swej szkatuły, która mu od piérwszego stuknięcia do drzwi na myśl wpadła.

— Nie znajduję xiędza brata? zapytał.

— Nie, mości skarbniku, nie ma go już w klasztorze.

— Jak to mości dobrodzieju? gdzież? czyż broń Boże śmierć nagła? Onegdaj się z nim widziałem... i nogi pod nim zadrżały.

— Uchowaj Boże! uspokoj się jegomość. X. Augustyn zdrów; tylko, że wyjechał od nas, a mnie poruczył oddać jegomości oto ten list i szkatułę, któréj po jego odjeździe strzegłem jak źrenicy w oku i

teraz w całości oddaję. To mówiąc wysunął ciężką skrzynkę z pod łóżka.

Skarbnik skwapliwie oddarł pieczęć i przebiegał list taki:

»Kochani moi bracia, panie podczaszy i panie »skarbniku!

»Unikając trybulacyów i dla siebie i dla was mili »bracia, wyjeżdżam z Litwy bez pożegnania się z wa»mi osobiście; udaję się na Ukrainę z groszem uzbie»ranym z klasztorów naszych tutejszej prowincyi, »a ztamtąd z socyuszem, który już jest praktyk ta»kiej peregrynacyi, udamy się do Krymu, lub do sa»mej stolicy barbarzyńców do Konstantynopola, dla »wykupienia z niewoli braci naszych chrześcijan. »Lubo nadziejam się, że Bóg mię swoim miłosier»dziem zachowa i dozwoli was jeszcze obaczyć, do»pełniwszy powinności i reguły zakonnej i wotum»mego, które na chwałę jego świętą i na zgładzenie »grzechów moich założyłem, wszakże w niepewności »woli jego o przeznaczeniu mojém, żegnam was »wszystkich trzech bracia mili, z waszém potom»stwem całem; w codziennych modłach moich nigdy »o was nie zapomnę i waszym wzajemnie się pole»cam. — X. Augustyn Dowiat.

«*Post scriptum*. Jeżeli nie wrócę, testament mój »najdziecie u x. prowincyała naszego zakonu. Wa»spanu panie skarbniku życzę być uważniejszym »w swojej patrocynii: zwłaszcza w okoliczności, o »której z sobą mówiliśmy. *Zważaj, że i konstytu»cya«* te dwa wyrazy przekasowano—*respice finem!*

Przeczytawszy ten list skarbnik, *obstupuit*. Stał milczący, zamyślony i wzdychał głęboko!

— Zabierajże jegomość swoję szkatułę, rzekł xiądz Honoryusz.

Skarbnik jakby go nie słyszał, mówił do siebie: będzie-że tam płaczu i szlochów — będzie... *inter nos loquendo*, kto wie czy wróci?...

— Wola Pana Boga mój dobrodzieju! wola Pana Boga!

— Tak, tak, wola Pana Boga! ależ to nasz brat najstarszy!... głowa familii... i pokiwał smutnie głową: dziej się więc wola Pana Boga, rzekł nakoniec. Szkatułę przyjm *Reverendissime* w swoją opiekę: czy u brata mego, czy u jegomości dobrodzieja, wszystko to jedno; dozwól czas od czasu nawiedzić się... może jakie nowiny dójdą od niego do klasztoru?

X. Honoryusz nie życzył sobie depozytu, lecz nakoniec dał się ubłagać, niechcąc zapewna powiększać i tak już wielkiego zmartwienia pana skarbnika. Ten wracał spiesznie do siebie. Mimo idąc zaszedł do brata podczaszego i oznajmił odjazd xiędza Augustyna: a zostawując tam smutek i szlochy, zaleciwszy także na pociechę stosować się do woli Boskiej, ruszył nie tracąc czasu do pana pisarza litewskiego, który od dni kilku przebywał *incognito*, jako chory, w swoim pałacu na Trockiéj ulicy, rzadko przyjmując, a wcale nie oddając wizyt nikomu.

Ktoby uważał obróty tego pana przed tak ważną sprawą, zdziwiłby się, jak mało zadawał sobie fatygi, jak mało przykładał starania ku dopięciu pomyślnego wyroku, zwłaszcza w porównaniu ze starościną, któréj karetę od rana do wieczora na wszystkich ulicach widzieć można było, i któréj pokoje co wieczór napełniały się już to deputatami, już to osobami, tym lub owym sposobem wpływać mogącemi na deputatów.

Pan pisarz litewski przyjechał do Wilna tylko dla poratowania zdrowia. *Lejboszyc* i *Szpitznagel* doktorowie wówczas najsławniejsi, odwiedzali go często zalecając dyetę, spokojność i unikanie mroźnego powietrza. Affidowanych więc tylko przyjmował przyjaciół, w których liczbie było wprawdzie i kilku deputatów, lecz cóż dziwnego być mogło w téj tro-

skliwości o zdrowie męża tak szérokich kolligacyi i tak przeważnego znaczenia w Litwie i w Koronie? Sam marszałek trybunalski, pan Łopaciński, póki był zdrów jeszcze, nawiedził chorego; ale że Sulistrowscy i Łopacińscy w blizkiéj są konneksyi, to wszystkim wiadomo było. Wzajemnie, gdy pan Łopaciński się położył, za dozwoleniem Lejboszyca, nawiedził go pan pisarz litewski. Forsy więc żadnéj ze strony pana Sulistrowskiego nie było widać; i gdy pan skarbnik, który się znał na tej chorobie pryncypała, wpuszczany zawsze do gabinetu jego, zachęcał go do starania, mówiąc: »*Inter nos loquendo* »JW. panie dobrodzieju, trzebaby JW. panu widzieć »się z panem Oszmiańskim, z panem Trockim, z pa»nem Lidzkim i t. p.« on pokręcał tylko wąsika, uśmiechał się, i »bądź spokojny panie skarbniku, od»powiadał: weźmiész swoje kilkaset dukatów.« Skarbnik się uspakajał, bo znał dobrze, że pan pisarz litewski ani próżno, ani nadto i jednego słowa nie powie.

Ten raz jednak, szedł skarbnik nadzwyczaj wzruszony do swego dygnitarza. Odjazd niespodziany X. Augustyna, jego *postscriptum* dojmowały go żywo, a jeszcze bardziej fatalne zbliżenie się procesów, w których *pro et contra* stawać musiał; i w których wygrana piérwszego, mimo wszelkich, by najzręczniejszych sofizmów prawnych, zapisywać zdawała się przegraną drugiemu. *Nie ma dawności na dług. Nie ma dawności i na posesyę ziemi, niczem nieudowodnioną!* przekładał już na to nieraz panu Sulistrowskiemu: ale ten jak zawsze uśmiechał się tylko. Jednak teraz postanowił go Dowiat zmusić do otwartego odkrycia co myślał, i czy mógł znaleźć środek do pogodzenia trudności, dla których gotów był zrzec się nawet jego plenipotencyi:

— Nie ma pana w domu, rzekł mu otwierający apartamenta lokaj, ale wychodząc kazał abym panu oddał tę kartkę.

Na niéj tylko było ołówkiem napisano: »proszę na »mnie zaczekać.«

Pokręcił głową skarbnik; to mi człek! pomyślał: zgadł, że przyjdę.

— Do kogoż wyjechał pan pisarz?

— Nie wyjechał, ale wyszedł z jednym tylko hajdukiem; a gdzie? i do kogo? nie wiem.

Skarbnik znowu pomyślał — ha, niechce aby widziano, gdzie jego kareta stoi... to mądrze, a chory to... więc usiadł do cierpliwego oczekiwania; wiedząc dobrze i z doświadczenia, że cierpliwość w interesach tyle częstokroć warta, co i czynna gorliwość, choć na pozór wzajem sobie przeciwne.

W mieszkaniu starościnej, tego wieczoru nie było swiatła w oknach od ulicy, i lokaj, w przedpokoju każdemu przybywającemu kłamał: »Nie ma pani w domu;« bo w oddzielnym gabinecie była ona na konferencyi; z kim? zgadnie zapewna czytelnik,— z panem pisarzem litewskim. Znajomość ich i przyjaźń od Warszawskich jeszcze czasów datowały. Oboje kiedyś młodzi, zdobili młody dwór Stanisława Augusta, i celowali między płcią swoją, urodą i dowcipem, z tą późniéj różnicą, że pan Sulistrowski dojrzewając w lata, zalety młodzieńca wydoskonalił w rozum i powagę obywatelskiego męża, jednając ztąd sobie codzień większy wpływ u dworu i coraz przeważniejsze znaczenie między ziomkami; Starościna przeciwnie, jakeśmy o tém mówili, tracąc z czasem żywsze wdzięki i fortunę, ustąpić musiała świeższym kwiatom, wschodzącym na słonecznéj niwie. Zaufana więc w dawne i nieprzerwane nigdy zupełnie stosunki swoje z panem pisarzem, wraz po przy-

byciu jego do Wilna, pragnęła ona widzieć się z nim, i użyć jego influencyi do trybunału, tém skuteczniejszej, że jeden interes drugim się wspierał, jeden drugiego wspomagał. Lecz na bilet zapraszający starościnéj, pan Sulistrowski w grzecznym wzajemnym, słabością zdrowia się wymówił, dodając wszelako, że pierwszéj chwili polepszenia się użyje na złożenie uszanowania swéj dawnéj i łaskawéj przyjaciółce i kuzynce; było bowiem między niemi niejakie, choć dalekie pokrewieństwo.

Jakoż uprzedził on w dniu tym starościnę, że ją odwiedzi wieczorem, jeżeli go przyjąć raczy, bez narażenia jako słabego jeszcze na liczne towarzystwo; co też było i po myśli jej saméj.

Oboje zwrócili się myślą do Warszawskich czasów; oboje przypomnieli się młodemi i oboje manierą układną i dworską, toaletą nawet, obudzić urok przypomnienia, i temi sposoby wartość swych postaci, z czasem nadwątloną, opromienić chcieli. Trochę zalotności w kobiécie, trochę dumy w mężczyznie łączyło się tu z widokami interesu, i oboje na jednostajne myśli nawiodło.

Wytworność i prostota pięknie ubierają i zdobią kobiétę wyższego ukształcenia; zbytek i przesada szpecą pustą, choćby najpiękniejszą głowę. Dla tego starościna w skromną czarną axamitną ubrała się suknię, cudnie kibić jej dawniej giętką, dziś wspaniałą, wydającą: ale na śnieżnej szyi kilka sznurów pięknych pereł z bogatém brylantowem spięciem jaśniało, a na ręku jednym, droga wartością i robotą złota bransoletka w kształcie węża, kilkakroć po czarnym tle się przewijała. W gabinecie srébrny, kilko-ramienny świecznik, rzucał ze stołu promienie na wielkie zwierciadło odbijające powabną jéj postać, i był jedyną ozdobą samotnego tego ustronia, przeniesionego jakby ze stołecznych pałaców, na krótki popas ładnéj kobiety. Pańskie więc tu osta-

tki, sprawdzały przysłowie, przemożnością, nad szlacheckie dostatki.

Pan pisarz litewski także, który na sejmiki między szlachtę występował w kuntuszach i bogatych perskich pasach, do ładnéj kobiety, włożył tylko z najcieńszéj ciemnej wigoni, bez żadnych ozdób taratatkę; spiął ją soliterem pod szyją, którą cieńkim czarnym bławatem obwinął. Ale na piersiach jaśniała mu gwiazda orła białego, świeży dowód uwieńczonej zasługi i łaski monarszéj.

Pan Sułistrowski miał lat około pięćdziesięciu, ale był pięknym mężczyzną. Uroda spora, czoło otwarte i myślące, oko czarne, na ustach uśmiech częsty, ale prawie zawsze trochę szydny i dwóznaczny; pojmujący innych, niedający się pojmować nikomu, a w całej postawie i obliczu rozum i powaga wyraźne i niezaprzeczone. Po uprzejmém wzajemném powitaniu się, starościna z wdzięczném spójrzeniem podała rękę gościowi i do gabinetu go wyprowadziła: tam oboje naprzeciw siebie usiedli.

— Jakżem wdzięczna kochanemu panu pisarzowi za tę chwilę, którą mi poświęcać raczysz, — rzekła starościna; — jakże miło mi widzieć pana polepszonego na zdrowiu, bo tego twarz pańska dowodzi i nadto powinszować nowego dowodu zasługi w ojczyznie, który na piersiach jaśnieje, a o którym ja nie wiedziałam jeszcze.

— Dziękuję starościno dobrodziko, — odrzekł Sulistrowski ze zwyczanym sobie uśmiechem, — za dobroć pani, a najbardziej za wyraz kochany, którym mię uszczęśliwiasz. To mię przekonywa, że nie wyszły z jej pamięci te chwile, gdy piękna kuzynka moja kasztelanka Trocka, po imieniu nazywała... o jakową łaskę i teraz prosiłbym, — dodał całując jej rękę.

— Ach! szczęśliwsze i miłe wspominasz czasy, kochany panie Aloizy, gdy cię tak jak chcesz mam nazywać; ale trudno mi dziś użyć tej samej konfi-

dencyi do wysokiego dygnitarza, która łatwo stosować się mogła niegdyś do młodego i wesołego kuzynka.

— Pani żartuje. Dygnitarz ten sam, i taki sam życzliwy krewny i przyjaciel pani, co i niegdyś pan Aloizy.

— Wierzę temu,—rzekła wzruszona starościna,— a jednakże jesteś pan szczęśliwą dla mnie zatém excepcyą, z tłumu warszawskich przyjaciół, których czas i honory zmieniły dla mnie zupełnie, jak tego doświadczyłam niezbyt dawno....

— Wiem o tém nieco, — rzekł Sulistrowski, — i żałuję żem nie był natenczas w Warszawie. Możeby to inaczej pójść mogło i ukontentowało kochaną kuzynkę. Przynajmniej szczérszą, aniżeli zwykle przy dworach radą, pomógłbym pani.

— O i więcej jak radą, pewna jestem. Wiem ja, panie pisarzu, że cię wysoko konsyderuje dwór, bo zna twój rozum i twoje przymioty. Zna nadto, twoje związki ścisłej przyjaźni z domem Radziwiłłowskim i osobiste, a szczególniejsze zaufanie w tobie xięcia Karola; nakoniec, szérokie twe stosunki po Litwie, a zatém cię potrzebuje i jedna sobie. Zresztą, jeżeli w tym jest interes, to przynajmniej można powiedzieć, ten raz dobrze zrozumiany i ku dobru powszechnemu zwrócony.

Sulistrowski patrzał z niejakiém zadziwieniem na to niekobiece rozumowanie starościnej.

— Bo jakżeby to szczęśliwie było dla kraju,—mówiła ona dalej, — gdyby król polegał zawsze na zdaniach i radach takich mężów, jak ty panie; a nie dopuszczał przystępu do siebie chciwych pochlebców, lub cudzoziemców szarlatanów, którymi się otaczać lubi.

— Przyznaj starościno,—przerwał uśmiechając się po swojemu Sulistrowski, — że w tych pochlebnych dla mnie wyrazach, jeżeli jest trochę prawdy, jest też trochę... i gniewu na Warszawę.

— Nie zaprzeczam temu, i wcale nie zaprzeczam! bo czyż nie mam prawdziwej przyczyny do skargi? Zawiedziono moje, na tylokrotnych przyrzeczeniach oparte nadzieje; upokorzono mię nawet... Widzisz, kochany panie Aloizy, że cobym przed sobą samą ukryć chciała, przed panem objawiam. Wracając z niczém z Warszawy, tam za sobą zostawiłam radość z pozbycia się natrętnej; tu spotkało mię szyderstwo nieprzyjaciół.

Zapłoniła się starościna i źrenice jej zwilgotniały.

— Ale obaczymy, — rzekła żywiej, — obaczymy! może pożałują wkrótce tego. Może poznają, że cóś przecie znaczymy między ziomkami; że zmiana z zamążpójściem imienia nie odebrała mi związków rodzinnych: może potrafię przekonać panów radnych, zwłaszcza Litewskich, że przy zręczności jeszcze będę mogła odpłacić im.... Dla tego też, chciałam koniecznie widzieć się i otwarcie pomówić z panem. Mamy oboje sprawę w trybunale. Pan swoję wygrasz zapewna; lecz pojmujesz panie pisarzu z tego, com ci powiedziała, jak wiele mi zależy na tém, abym i ja moję wygrała. Mniejsza o ten zaścianek, o który rzecz idzie; dałabym wiele za to, gdyby ten proces nie był zaczęty: może złych rad posłuchałam.... może miałam jeszcze inny powód do zerwania wszelkich stosunków z Dowiatami...

Pan Sulistrowski uśmiechnął się znowu.

— Bądź co bądź, w stanie jak są rzeczy, muszę, powinnam mieć dekret pomyślny; bo echo tego dekretu odbije się daleko, bo zeń się gdzieś dowiedzą, że zamiary moje chociaż chybiają w Warszawie, ale nie chybiają w Litwie.

Wiem, kochany pisarzu, że przeciwnik mój Dowiat, jest pańskim plenipotentem; wnosić zatém mogę, że obowiązywał pana....

— Jak to pani! — przerwał Sulistrowski, — do czego mię obowiązywał? do instancyi za sobą? O nie! tak ubliżającego mi słowa wyrzec onby nie śmiał i choć-

by śmiał nawet, jabym go nie zniósł. Cóż to? powiedzianoby, że instancyami płacę moich plenipotentów!!!

— Przypuszczając z jego strony tę śmiałość, kochany pisarzu, ja nie ulękłam się tego. Wszakże, niżelim wspomniała o Dowiatach, piérwiej odkryłam ci moje wszystkie najskrytsze myśli: dowód to przekonania mego, że mniebyś dla nich nie poświęcił i że dopiero moje stosunki i starania własnemi na pomoc dla mnie, pomnożysz i wesprzesz....

Pan Sulistrowski milczał.

Starościna niecierpliwie nań patrząc, dodała: — o tyle przynajmniej, aby procesa nasze... przeciwnych jak mi powiadano... wymagające wyroków... wzajemnie sobie nie szkodziły.

— Kochana starościno, — rzekł nareszcie Sulistrowski, — z całego serca dziękuję ci za zaufanie we mnie, a na dowód mojej wdzięczności i jednostajnej zawsze przyjaźni, przyjm pani otwartość moję, z jaką zdanie moje i rady, w teraźniejszym jej kłopocie oświadczę.

— I owszem, o tę szczérość bardzo proszę i zupełnie na radach twoich polegać będę.

— Z zabiegów i starań pani około trybunału, — mówił uważnie pan Sulistrowski, — o których wiedziałem, łatwo zgadnąć mogłem, żeś ten interes wzięła do serca, i daruj starościno, myślałem, że kobieca zwykła żądza postawienia na swojém....

— Która i was mężczyzn nie opuszcza nigdy, — dokończyła peryodu starościna.

Skłonił głowę pisarz i kończył — więcéj niżeli wartość zaścianku wiodła panią do tak upartego procesu. Bo któż zgadnąć mógł, że w nim ukrywa się tajemnica i nadzieja ważniejszych zamiarów, które pomyślnym wyrokiem sprawy tej wsparte być mają? Ale któż pani tak mylną drogę poradził? Jeżeliś sama ją wynalazła, daruj życzliwej otwartości przyjaciela, idąc nią nie trafisz do starostwa....

Starościna jak ogniem spłonęła na te słowa; słuchała jednak w milczeniu.

— Chcesz pani przekonać Warszawę o znakomitości swej przewagi na Litwie, tryumfem nad szlachcicem w trybunale? ależ kochano kuzynko, nie ten możny, komu laska trybunalska sprzyja, ale ten, kto laskę daje... — Tu pan Sulistrowski zastanowił się i pokręcił wąsika, i lubo nie powiedział: »tak na»przykład jak ja.« ale starościna odgadła, że to myślał.

— Na sejmikach, starościno, nie na trybunale objawia się wyraźnie przewaga obywatelska, a tam *przeważni, ważnemi* bywają i wyżej; bo ci wpływać mogą na wybór posłów, to jest sędziów potężniejszego trybunału, przesądzającego częstokroć spory rządzących z rządzonemi.

— Drugiej sprawy Tyzenhauzowskiej z królem nie będzie; nie wiele więc obchodzi Warszawę, kto w Wilnie wygrywa lub przegrywa processa. Tu kochana kuzynko, skuteczniejsze byłyby influencye z góry na dół, niżeli z dołu w górę... a dochodzące tam niekiedy skargi uciskanej szlachty przez panów, nie otwierają dziś im królewskich podwoi; owszem ściślej je przed niemi zaprą. A tak Starościno, wierz prawdziwemu przyjacielowi, z tego względu mylnym jest plan pani; nie tylko nie ułatwi on drogi jej zamiarom, lecz może nawet wywinąć trudności w dobrych chęciach życzliwym pani... dajmy to i mnie samemu... usłużenia jej... w upatrzonej godzinie...

Po tém ministeryalnem z przestankami zakończeniu, zamikł Sulistrowski. Starościna spuściwszy oczy, milczała także. — Cóż mi więc radzisz panie Aloizy? rzekła nakoniec podnosząc wzrok.

— Rada moja.—mówił znowu, zwykłym, ważącym każdy wyraz obyczajem, — rada moja, kochana Starościno, zależeć będzie od stopnia zaufania, jakie we mnie położysz.

— Zaufanie to, — przerwała Starościna, — powiedziałam już, jest zupełném i nieograniczoném, a wspartém na gruntowném przekonaniu o rozumie twoim i przyjaźni twej dla mnie.

— I nie pożałujesz tego, kuzynko. Proszę więc, napisz bilet do swego plenipotenta z rozkazem, aby przy zawołaniu twej sprawy, znalazł się zupełnie i bezwarunkowie podług instrukcyi, jaką mu dam natenczas.

— Jakaż to będzie instrukcya?

— To tylko pani o niej powiem, że nie zepsuje interesu i nie skompromituje pani.

— Jednakże kochany pisarzu, chciałabym wiedzieć...

— Więc mnie nie ufasz kuzynko?

Starościna zamiast odpowiedzi, zbliżyła się do stolika i usiadła do pisania; lecz wziąwszy pióro w rękę, zatrzymała się nagle, wstała i rzekła:

— Jest jeszcze jedna okoliczność między Dowiatami a mną, której pan nie wiesz.

— Wiém, — rzekł uśmiechający się Sulistrowski — wiem!...

— Ach! czegoż pan nie wiesz?

— I ta okoliczność, zależąca zupełnie od wyroków Boskich a nie trybunalskich, nie przeszkadza najmniej pani do pisania biletu.

Starościna więc znowu usiadła, i w kilka minut, bilet niepieczętowany oddała Sulistrowskiemu, który rzucił nań okiem i schował za nadrę.

— Jeszcze jedną mam prośbę do pięknej kuzynki, — rzekł pan pisarz litewski, całując dwornie jej rękę. — Proszę o zwrot należnego mi długu, któremu, lubo dawność ziemska zaszła, ale gdy pani dawności za prawo uznawać nie chcesz w sprawie z Dowiatami, to pozwolisz, że ja w mojej pretensyi, jej nie ulegnę.

— Cóż to jest? mów kochany pisarzu, bo prawdzi-

wie czy nie pamiętam, czy się nie poczuwam do niczego.

— Jak to pani? zapomniałaś więc, że niegdyś gdym w ich domu razem z moją żoną dni kilka gościł, odebraliśmy przyrzeczenie wzajemnych odwiedzin?

— A co to, to prawda, to dług nieulegający dawności; gotowam go wypłacić z lichwą i jak najrychlej.

— Jak najrychlej? a więc jutro kochano kuzynko; droga sanna jeszcze dobra, konie mam na pół drogi rozstawione.

— Intrygancie! zawołała starościna, uderzeając go poufale po ramieniu, chcesz mnie oddalić z Wilna. Lękasz się gadatliwości lub niestałości kobiecej w raz powziętych postanowieniach.

— Cha! cha! cha! rozśmiał się teraz na prawdę Sulistrowski. Lękam się, zgadłaś pani, lękam się gadatliwości, ale męzkiej nie kobiecej: lękam się uprzykrzenia dla *pani* nie od *pani*; bo na ileż nudnych *dla czego?* musiałabyś odpowiadać lub milczeć. Ależ wierz mi, kuzynko, nie ten główny powód projektu mego i prośby; bo prócz przyjemności posiadania cię w naszym domu, potrzebujemy jeszcze chwil swobodniejszych, niżby w mieście naleźć się mogły, dla pomówienia o ważniejszych sprawach warszawskich, do których nas wiążą i miłe wspomnienia i... nadzieje.

— Czy się one ziszczą? czy zaręczasz mi za to? zapytała z ponętném spojrzeniem starościna.

— Zaręczam... że wszelkich dołożymy usilności.

— Dość mi na tém, jutro rano jadę do Szemetowszczyzny.

— A ja za trzy dni najdalej, ucałuję tam rączki kochanej kuzynki. Ale gdzież jest córeczka pani? Elżunia jeżeli się nie mylę, którąm na ręku kiedyś nosił, i którą głos powszechny porównywa w piękności z matką: radbym sam to porównanie uczynił.

— Nie straciłeś nałogu ślicznych słówek, panie Aloizy; dziękuję więc za komplement i za siebie i za córkę; ona dziś cały wieczór przébywa u krewnéj mojej, podstoliny Dulskiej.

Sulistrowski znowu pokręcił wąsika i uśmiechając się rzekł: no, no, a jeżeli się tam znajdzie i pan Ludwik Dowiat... wiem, że podstolina przyjaciółką jest całej ich rodziny, a Ludwika podobno matką chrzestną.

— Wiem o tém wszystkiém, odpowiedziała starościna; ale Dulska wie dobrze o mojém postanowieniu. Odmawiać zaś jej uwolnienia Elżusi nie mogłam, bo ona ją tak kocha.

— I jest wdową bezdzietną, kończył Sulistrowski, a ma kilkakroć do wolnego szafunku.

Starościna się rozśmiała.

— Ale, kochana kuzynko, miej jeszcze wzgląd i na to, że Skarbnik Dowiat jest jej najzaufańszym konsyliarzem i plenipotentem i że pewnie nie kto inny jak on, testament jej pisać będzie, jeżeli już nie pisał.

Starościna zamyśliła się.

— Tak to, tak, mówił Sulistrowski, wikłają się częstokroć rzeczy na tym świecie. Jednakże, kochana kuzynko, splątane motki jedwabiu, wy kobiety łatwo rozwijacie; cierpliwości tylko trochę i rozwagi potrzeba.

— Któréj od kochanego kuzyna uczyć mi się przyjdzie, rzekła, obaczywszy się z zamyślenia Starościna.

— A więc do Szemetowszczyzny, do Szemetowszczyzny na wszelkie lekcye i wzajemne nauki, rzekł, całując na pożegnanie rękę jej pan pisarz, i również uprzejmie pożegnany, wyszedł.

Pan Skarbnik spokojnie oczekiwał powrótu swego mecenasa. Znalazł na stole dyaryusz jakiegoś sejmu i odczytywał go, niekiedy kręcąc głową, a niekiedy kiwając oną; raz jakby podziwiając mądrość ustaw, a drugi raz użalając się nad ich próżnością.

Nakoniec doczekał pana Sulistrowskiego. Ha! rzekł ten wchodząc i witając Skarbnika, wysiedziałeś tu panie Franciszku wieżę: przepraszam. Cóż tam słychać? mówią, że otwarcie trybunału udało się, a szczególniej chwalą elokwencyę pana Antonowicza.

—Nie idzie tu o nowiny JW. panie dobrodzieju; przyszedłem przepowiedzieć panu *synopsim* (*) produktu i planu, jakim jutro będę prowadził obronę sprawy pańskiej; może zechcesz pan posłuchać, a nadto *inter nos loquendo*, jestem w krytycznéj pozycyi. Jutro sprawa pańska, a po niej nasza.... chodziłem na radę do brata mego X. Augustyna, ale ten niespodzianie wyjechał do Tureczyzny, *pro redemptione captivorum* (**) stosownie do reguły swojego zakonu.

Pan Sulistrowski zdziwiony ścisnął ramionami.

— Onby mnie może dał jaką radę, bo przyznam się JW. panu, że żadnej znaleźć nie mogę. A tak, do pana już się udaję: niech przynajmniej kto inny produkt podług mojego planu, który bez chluby wyśmienitym być mniemam, w sprawie pańskiéj przed trybunałem odbędzie, aby nie też same usta *pro et contra* mówiły w ciągu kilku godzin.

— O wszystkiem się pomyślało, rzekł pan Pisarz klepiąc go poufale po ramieniu. Synopsy twej, i planu słuchać nie będę: zapewna go doskonale ułożyłeś. Ot wolej, przeczytaj ten *cerografik*. I podał mu bilet starościnej.

—Cud Boski! zawołał przeczytawszy Skarbnik. Starościna więc zrzeka się procederu i zaścianku?

(*) Treść krótka; techniczny wyraz w dawném prawnictwie.

(**) Dla wykupienia niewolników.

— Wcale nie, mości Skarbniku.

— A więc jakąż instrukcyę dasz JW. pan jej plenipotentowi?

— Jutro rano pogadamy o tém; dziś idź do domu i śpij spokojnie.

— Wszakże JW. panie, *inter nos loquendo*...

— *Inter nos loquendo*, chce mi się także spać, wiész, że niedomagam, więc darujesz, że cię pożegnam. Do jutra, panie Franciszku, dobranoc! i wszedł do swojej sypialni.

Skarbnik postał jeszcze chwil kilka, ścisnął ramionami i nakoniec odszedł.

XVI.

Sprawa Paną Pisarza Litewskiego.

Czytelnik wié już po części o treści procesu między panem Sulistrowskim i Karmelitami Głębockiemi. Rozpoczął się on był w ziemstwie oszmiańskiém. Tam pan Sulistrowski wygrywając, przegrał; tak jak wzajemnie Karmelici przegrywając wygrali (*). Urzędnicy, bowiem, chcąc Karmelitom dać sposobność zaspokojenia małym kosztem pretensyi, do kilkakroć sta tysięcy procentami podniesionej, a odjąć panu Pisarzowi powód appellacyi do trybunału, gdzie, jak łatwo przewidzieć można było, wpływ jego mógł wziąć górę nad bogatym bardzo klasztorem; zwłaszcza w czasach, gdy skargi na dostatki zakonów i duchowieństwa zaczynały być w modzie, i gdy świeży upadek Jezuitów i rozbiór ich dóbr między szla-

(*) Cała treść tego procesu prawdziwa.

chtą, nie jeden dom zbogacił. Nakoniec, korzystając z wątpliwości praw o dawności ziemskiej, którą się Karmelici bronili, a która nigdy prawie od rzetelnych długów nie uwalniała; przysądzili panu Sulistrowskiemu kapitał i drugie tyle (alterum tantum) procentów, z małą kwotą expensów prawnych. Karmelici więc obowiązani byli wypłacić mu tylko, z parę tysięcy dukatów, co niestanowiło nawet ich rocznego dochodu. Ale po ogłoszeniu wyroku, którego mądrość i przezorność powszechnie uznawano, obie prawujące się strony, nie były kontente. Plenipotent pana Sulistrowskiego nie wygrawszy kroci, nie wiedział co począć, w nieobecności zwłaszcza swego mecenasa, który assystencyę osobistą powiatowym subseliom i procesowi wątpliwemu, nie widząc sobie przyzwoitą, odjechał do dóbr swoich w Pińskie. Z własnego zaś domysłu żadnym sposobęm apelować nie mógł, bo znał roztropność i umiarkowanie pana pisarza, przeciw którym w imieniu jego wykroczyć byłoby gorzej, niż mu przegrać miliony.

Lecz uwolnił go z tego kłopotu X. prokurator. Niewyrozumiały ten pełnomocnik swojego klasztoru, głośno się uskarżał na niesprawiedliwość sądu. Nieobrażeni tém urzędnicy, sprowadzili go owszem do siebie na konferencyę i jasném wytłumaczeniem przyczyn dekretu, ochraniającego ile można było zakonne fundusze, wstrzymywali go od dalszego procesu. Zdał się on zrazu pojmować życzliwość i mądrość sędziów; ale czy to przewrótne rady, czy własny jego upór sprawił, że na trzeci dzień zaniósł apelacyę, a zatém dał powód plenipotentowi Sulistrowskiego do zaniesienia wzajemnej, (motivo) i na biédę klasztoru, przeniósł proces do trybunału.

Nazajutrz więc, po opisanych tu na przeszłych kartach konferencyach, wcześnie przed rozpoczęciem

się sessyi trybunału, palestra wyższa i niższa, oraz liczna ciekawa publiczność, zgromadziła się do przestronnych izb, przyległych sądowej trybunalskiej sali i do samej sądowej; zajmując połowę jej aż do kratek, za które nikt, prócz zasiadających tam deputatów i przysięgłych regentów przestąpić nie mógł.

— Ważna sprawa! ważna sprawa! mówiono w powszechnym gwarze: próba pierwsza trybunału!

— Cóż tam bardzo ważnego? Sprawa prosta obligowa i nic więcéj, odezwał się pan Antonowicz, który od wczorajszego powitania większéj między kolegami nabył konsyderacyi. Kiedy chciałeś być obecnym ważnej sprawie, to trzeba było być na kadencyi grodzieńskiej i na sprawie podskarbiego Tyzenhauza z królem!!! Chwalicie moję nieprzygotowaną wymowę; trzeba było słyszeć podskarbiego, gdy wzywał biskupa, oskarżyciela swego, do przysięgi na to, że nie korumpował sędziów! »Pioruny siarczyste! (*) »zawołał on, czemuż nie bijecie w tę infułę! Dwa»dzieścia lat blizko, jak tu się w Grodnie znajdu»ję, a piérwszy raz stawię się w tej izbie, ażebym »pokazał: *Ecce homo et opera ejus!* (**). Ta to rę»ka, która pisze dla mnie *mane tekel fares* (***). »Ja przysięgam, Boże mię ubij na duszy i na ciele, »jeżeli kiedy korumpowałem świadków lub sędziów. »Przysięgaj! klękaj! Mości xięże biskupię!« Włosy na głowie powstały, kiedy piorunującym głosem to wykrzyknąwszy, porwał za rękę biskupa i ciągnął przed krucyfix. Zdawało się, że powtórzy się akcya Bolesława ze Szczepanowskim.

— Oho! ho! ho! daleko temu biskupowi do tamtego, odpowiedziano; a cóż na to Biskup?

— Biskup, nie tak impetycznie, mając wzgląd za-

(*) Dosłównie prawdziwe.

(**) Oto człowiek i czyny jego.

(***) Słowa znajome prorocze dla Baltazara.

pewne na powagę swego stanu, bronił się; a przysięgać musiał.

— Jakiż dekret?

— Daleko o tém rozprawiać, zwłaszcza, że cała Litwa wié o nim. Dziwno, że pytacie? (*).

Wtém zaczęli się zbierać deputaci; dla każdego z nich od drzwi do kratek széroko rozstępowała się palestra. Wszedł i pan Skarbnik; asystował mu jeden z młodych aplikantów, niosący papiery pod pachą. Weszli także dwaj Karmelici, to jest prokurator z socyuszem i skromnie w końcu sali stanęli. A nakoniec przybył i pan Zaranek. Zasiadł trybunał. Zawołano aktorat XX. *Karmelitów* z Pisarzem Litewskim *Sulistrowskim*; bo tu już Karmelici apelujący od dekretu ziemstwa oszmiańskiego byli stroną powodową.

Nie złamał sobie głowy obrońca klasztoru; bo głos jego osnowujący całą obronę na dawności ziemskiej, był tylko suchem powtórzeniem oszmiańskiej w ich sprawie repliki, tu produktem już przemianowanej. Słuchając go pan Skarbnik pokiwał głową i pomyślał: »Nie był ten człowiek na aplikacyi u mego brata X. Augustyna!

Pan Skarbnik, w każdej sprawie, większego, a wątpliwego znaczenia sobie powierzonej, miał zwyczaj dobrze się wprzód namyślać, niżeli przystąpił do pisania głosu: rozważał on ją nie tylko pod względem prawnym, lecz i pod względem pozoru, pod jakimby sąd uprzedzić mogła. Nazywał on to *prima facies* (**) sprawy. I gdy ta *facies* była dlań pomyślna, zdobił ją i że tak powiem, ubierał w prawne dowody: a gdy przeciwnie nieżyczliwem nań patrzała okiem, rozdzierał ją natenczas i drapał ostre-

(*) Sprawa ta historyczne ma znaczenie w dziejach tego kraju; tu potoczne tylko znaleść mogła wspomnienie.

(**) Pierwsze oblicze.

mi argumentami, aby wdzięcznie dla przeciwnika się nie uśmiechała i nie uprzedzała sądu.

Tego trafnego rozważania rzeczy i tej wybornej metody, nauczył się od X. Augustyna, jako wybornego arkanum prawniczego, gdy jeszcze się przy nim aplikował; a uczęszczał potém doń, jakeśmy to widzieli, nie dla poduczenia się procedury, bo w téj sam był mistrzem, ale dla rozpraw niby nawiasem rzucanych, za które chwytając się z nałogu dawny prawnik, rozświetlał ogólną postać procesu, i odkrywał z dziwną przenikliwością owę *facies* jego, o któréj dokładném, własném rozpoznaniu, Skarbnik niekiedy wątpił. Ale gdy X. Augustyn, ta pochodnia mądrości, znikła Skarbnikowi, sam więc dokładnie rozmyślając, skonkludował plany do obu rozpraw, które niefortunnym trafem obok u sądu stanęły.

Sprawa pana Pisarza, myślał on, *prima facie* nie zaleca się. Między zakonnikami i magnatem, to raz—a jeszcze magnatem tak mądrym i tak szérokie mającym wpływy na Litwie a plecy w Warszawie. Cóż za dziw? powié publicum, że ich znękał. Oblig zanadto już dawny—to drugi raz. Wygram wprawdzie, jestem tego pewny... ale któż wie, czy dekret bez rozpisów się obejdzie?.. znajdą się skrypulaci... Sąd od piérwszéj namowy rozdzieli się na partye... i z naszej przyczyny okrzyczą trybunał na piérwszym wstępie... źle... A więc tu nietylko sąd, ale i publiczność przekonywać trzeba; potrzeba, aby dekret uznano powszechnie sprawiedliwym, a nie sfomentowanym intrygą.

Między nami a panią starościną rzecz się ma inaczéj. Tu magnat prześladuje szlachcica i pragnie mu odebrać odwieczny kawałek ziemi. Publicum krzyknęłoby za nami i intrygi babskie nicby nie pomogły. Ale zawzięty plenipotent jej, ma zapewne nadzieję i cieszy się, jak słyszałem, bo nie umie trzymać języka za zębami, że mojemi własnemi dowodami przeciw Karmelitów użytemi, mnie konfundować

będzie. Dawność mu w głowie, oszuka się... diabelnie oszuka się. Ani w jednéj, ani w drugiej sprawie, o dawności nie wspomnę.... Owszem, dekretem naszym utwierdzić się powinien dekret Sulistrowskiego... bo też między jedną a drugą, różnica wielka! Tam oczewista i ostateczna rozprawa, nasza akcessoryjna; a jeszcze większa, i którą najdobitniéj dowieść należy między papierem i ziemią. Tu sprawa obligowa, tam wieczysta: nie idzie teraz o przyznanie tu jednej albo drugiej stronie własności zaścianku, ale tylko o utrzymanie dekretu ziemstwa wileńskiego, który akta inkwizycyi *circa jure possessionis* (*) na miejscu sporném decydował.

Tak osnowywał plany swoje pan Skarbnik i sam się cieszył z tak subtelnego rozważania rzeczy. Biegły stérnik, zbliżający się do niebezpiecznego nurtu między *Scyllą* i *Charybdą*, doświadczony, wyrachował wszystkie uderzenia fali i wioseł, wszystkie chwile trudnéj żeglugi i ułożywszy nakoniec cały onéj kierunek, śmiało się puszcza w szumiące prądy; a jednak wolałby on, aby *Scillę* od *Charybdy* szersze rozdzielało morze. Tak i pan skarbnik, niech mi łaskawy czytelnik daruje to porównanie, mimo wyborne i mądre plany, z których się cieszył i na których się ubezpieczał, wolałby jednak, aby dwie te sprawy, przynajmniéj dwie kadencye trybunalskie rozdzielały.

Po suchém zatém i na dawności szczególniej opierającym się głosie obrońcy Karmelitów, wystąpił z własnym, Skarbnik, i stosując się do powyższych planów, dwa tylko główne punkta w nim założył i na nie jedynie uwagę sędziów i publiczności zwrócić i osadzić, że tak powiem, postanowił.

Najprzód, rzeczywistość pożyczki, porównaniem podpisów Korsaka na obligu i na zapisie funduszo-

---

(*) O prawie posiadania.

wym przez Karmelitów złożonym, udowodniając, dołożył nadto pracowitą kwerendę wcześnie przysposobioną, o istnieniu w tamtym czasie w województwie Połockiém, podpisanych na nim pieczętarzy, i piastowaniu przez nich publicznych urzędów, których tytuły do swych nazwisk dołożyli.

Z nieoddanej pożyczki, wyprowadził potém naturalne następstwo procentów, i wyliczkę ich coroczną do kapitału dołączając, a od tak zwiększonego kapitału licząc znowu procenta, naliczył krocie. Erudycyjno ten-arytmetyczny rozdział głosu pana skarbnika krótkim był, bo przewidywał on niepomyślne wrażenie, jakie *summa summarum* jego, na sędziach i na publiczności uczyni i rzeczywiście uczyniło. Przedłużył go więc tylko uwagami, niweczącemi, a przynajmniéj modyfikującemi to wrażenie.

»Nie ja Najjaśniejszy Trybunale! nie ja, wyliczy»łem te procenta. Czas je wyliczył i nagromadził; »czas który grosz do grosza przykłada i z malucz»kich początków, największe tworzy fortuny, naj»znakomitsze gromadzi kapitały; czas, który procen»ta, jako zysk sprawiedliwy, na nowe coraz odda»jąc fruktyfikacye, w przeciągu swym długim, nie »drugie tyle, ale za kilkanaście kilkaset, a przez »kilka oszczędnych pokoleń i kilkakroć oddaje. A więc »jak nie byłoby nic do podziwienia, żeby z summy »w owym czasie oddanéj, do dnia dzisiejszego mnogie »urosły krocie, tak równie nic dziwnego, że się dziś »o nie dopominamy.«

Po takich uwagach, które oswajały i godziły niejako wszystkich z jego rachunkiem, skarbnik w drugiéj części repliki swéj, apologią rzetelności zręcznie do okoliczności zastosowaną napisał: »Rzetelność, »owa najzacniejsza i najprzedniejsza cnota ojców, »dziadów i pradziadów naszych, mówił on, wyższa »nad wszelkie opisy na papierze bo zapisywana za»wsze na sumieniu poczciwych ludzi i temże sumie»niem ewinkowaną była. Dług z taką ewikcyą prze-

»chodził z pokolenia na pokolenia; wypłacały go dzie»ci za rodziców, wnukowie i prawnukowie za dzia»dów i pradziadów; bo grosz pożyczany, a nieodda»ny, nie tylko substancyę dłużnika, ale i duszę »obciążał.«

»I czyż natośmy dziś, Najjaśniejszy Trybunale »przyszli, że ta cnota i wiara ma szwank ponieść od »nas potomków, spernujących przykładami przodków »naszych? i jeszcze od tych szczególniéj, których »duchownéj pieczy, taż wiara, cnota i zbawienie na»sze oddane? Któż z was sędziowie, kto z obecnych »tu poczciwych ludzi nie kwapiłby się wykupić, na»przykład z niewoli tatarskiéj, choćby ostatnim gro»szem, ojca lub dziada swojego? a przecież daleko »gorszą, sroższą i dłuższą niewolą niewypłatnemu »dłużnikowi i niewykupującym go niewdzięcznym »dziedzicom jego, grozi dług tu na ziemi zaciągnięty, »o który na tamtym świecie rozliczać się trzeba. »Oblig wtenczas będzie cerografem na duszę, za któ»rym skondemnowana ultymarnie pójdzie w niewolę »czyscową, jakby w tradycyę *ad extinuationem* (*). »I takimże to więc darem dla duszy swego fundato»ra i benefaktora, przysługują się XX. Karmelici »głęboccy?...«

Oczy sądu i wszystkich pod wrażeniem tych słów, zwróciły się na karmelitę stojącego w kącie. Ten spokojnie oczy w dół spuścił, ale w myśli przeklinał swoję apelacyę.

Skarbnik, z ukontentowaniem postrzegłszy wpływ powszechny swego głosu, kilką jeszcze argumentami jednostajnej z powyższym treści i mocy, takowy zakończył.

Marszałek miał zawołać do namowy, gdy adwokat przeciwny zbliżył się do kratek i poprosił głosu. Lecz ocknął się jakby z zamyślenia x. karmelita:

(*) Do wybrania długu z fortuny, wyraz techniczny.

szybko podszedł do swego obrońcy i usuwając go— dość! rzekł: a sam wszedł za kratę. Wchodziły tam niekiedy strony, w takiej stanowczej chwili dla osobistego pokłonu urzędnikom i polecenia się ich sprawiedliwości.

Toż samo zdał się chcieć uczynić i karmelita. Ukłonił się on pokornie całemu kołu deputatów, a przyszedłszy do marszałka i za kolana go uścisnąwszy, wprzód, nimby mu to zaprzeczoném być mogło, ujął w obie ręce srébrny krucyfix na stole przed marszałkiem stojący, wzniósł go nad swe czoło, potém ucałował gorliwie i znowu na stole postawił.

Obrót ten, z serca czy z namysłu pochodzący, zwrócił uwagę wszystkich i mógłby być *antidotem* naprzeciw głosu pana skarbnika, gdyby ten, uważając bacznie każdy krok xiędza, i to wrażenie powszechne z pocałunku, nie zawołał żałośnym głosem: *Et per osculum traditavit dominum!* (*). Smiech się rozległ po sali i zawołano do namowy!



XVII.

Namowa i Dekret.

Kilkudziesięciu mężów zostawszy sami około sądowego stołu, piérwszy raz spójrzeli na siebie, a na wszystkich, prezydujący im pan Zaranek. Długa nastąpiła cichość i milczenie: nakoniec błędne źrenice przechodząc z twarzy na twarze, zjednoczyły się razem na oblicze marszałka i oczekiwały odeń piér-

(*) I pocałunkiem wydał pana.

wszego słowa. Ten znowu świadomy trybu zwyczajnego zbierania zdań sędziów w namowie, bo nie piérwszy to już raz zasiadał w trybunalskiém kole, poglądał i oczekiwał na pana Bohomolca, piszącego w wielkiej xiędze. I wszyscy więc do niego się zwrócili: rozumiejący, i może niektórzy dziwiący się w duchu, że się wyrok bez ich decyzyi pisze.

Xięga ta, którą zapisywał Bohomolec, był to *Sentencyonaryusz*, w który, w sprawach większego znaczenia, lub zawilszych wątpliwości, na sformowane przez pisarza z treści procesu krótkie i zwięzłe zapytania, deputaci zdania swoje, w kilku także słowach z kolei podpisywali. Natenczas to zwykle zaczynały się rozprawy i sprzeczki, przeciągające się czasami tak długo, że gdy prawo nie dozwalało sędziom, ani przysięgłym regentom, przed ogłoszeniem dekretu wyjść z izby sądowej, przynoszono więc tam obiady, wieczerze i pościele, a częstokroć kilka dni i nocy sąd bywał w zamknięciu. Nieraz gdy rozróżnione zdania, w stanowcze sentencye skupić się nie mogły, lub gdy silne wpływy tak ogmatwały sędziów, że nawet w zamkniętém kole sumiennego swego zdania wyznać nie chcieli; wzywano sekretnego *turnum*. To jest: na propozycyę w Sentencyonaryuszu zapisaną, głosowano w zakryty wazon za parawanem, jak dziś na sejmikach, i próba taka nigdy nie chybiła, zawodząc zawsze nadzieje intrygantów.

Częstokroć najupartsza sprzeczka przy stole sądowym, z zadziwieniem wszystkich, kończyła się sprawiedliwą jednomyślnością w wazonie, na którym zwykle w takim razie i krucyfix ze stołu sądowego przenoszono: bo usta za stołem wspierały uwiedzioną i lękliwą wolę, ręka zaś samotna za parawanem w obec tylko wizerunku Chrystusa, szła koniecznie za głosem sumienia.

Powstał zatém pan Bohomolec i rzekł:

— Trzy w sprawie tej, przezacni koledzy, wyni-

kają zapytania, które, gdy rozwiążemy, dekret kilkanaście tylko zajmie wierszy: *Primo*, czy skasować oblig i pretensyę pana Sulistrowskiego do XX. Karmelitów, powodem dawności ziemskiej i ukarać go expensami prawnemi? *secundo*, czy utrzymać dekret ziemstwa oszmiańskiego i sądzić na Karmelitach *cum altero tanto* (*) procentów; a co zatém idzie, ukarać Karmelitów za apelacyę sześcią niedzielami wieży, na nawiązki, jako dla zakonników zamienionej i expensami prawnemi? *tertio*, czy sądzić kapitał z wyliczeniem procentów i rekambiów podług tabeli pana Sulistrowskiego, z dodaniem także expensów prawnych.

Znowu milczenie niekrótkie... bo każdy miał tu wewnętrzny rozrachunek. Głos pana skarbnika i argumenta jego, odsłaniające, jakeśmy to wyżej czytali, powód wygranej Sulistrowskiemu tam właśnie, gdzie sędziowie skrupuły i wątpliwość naleźć mogli, niemało przykładały się w tej walce sprzecznych myśli do łatwiejszego im układu z sobą samemi, i ustalenia przekonania, że opinia dogadzająca żądaniom pana pisarza litewskiego będzie razem słuszną; że ujmując Karmelitom dóbr swieckich, ujmie się im razem i grzechu zaparcia się cudzej własności; a zatém, że przegrana w interesie ziemskim, w interesie zbawienia ich i Korsaka, pożądaną byćby im powinna. Że kapitał mały, przez ciąg długiego czasu w krocie urasta... Słowem takie i tym podobne perswazye. wszystkie z głosu pana skarbnika czerpane, godziły większą część sędziów, z ich własném sumieniem, a dowodziły głębokiej znajomości skarbnika, nie tylko dróg prawnych, ale i tych dróg ukrytych, któremi do serca, a zatém i do przekonania ludzkiego najłatwiej się trafia.

— Sądzić zatém, — odezwał się któryś śmielszy

(*) Drugie tyle.

z deputatów, — summę z procentami, podług rachunku pana Sulistrowskiego.

— Sądzić! sądzić! — odezwało się kilku innych, i coraz więcéj, i coraz gęściej to słowo powtarzało się: — sądzić! sądzić!

Pan Brasławski, na którego policzkach widać było, że zgwałcił konstytucyę obowiązującą sędziów, aby *sane mente* (*) sprawiedliwość świętą szafowali, rzekł stanowczo, powstając i kręcąc zawiesistego wąsika. »Stanęło na tém i skończyło się, mosanie! »popi głęboccy bogaci, stracą milion, drugi im zosta»nie; a i ten niepotrzebny; przysięgają na ubóstwo, »a opływają w dostatkach. Doliczyć zatém expensa »prawne, nawiązki za wieżę i zasądzić okrągło mi»lion! stanęło na tém i skończyło się.«

— Ale miliona i strona nie żąda, odezwał się pan Żaranek.

— Nie żąda, ale przyjmie mosanie! stanęło na tém....

— Zastanówmy się nadto koledzy, że gdybyśmy odrzucając wzgląd na dawność, rzekł Bohomolec, uznali ważność obligu i doliczyli tylko zwyczajne od lat tak mnogich procenta, wzrosłaby znakomita już summa. Sądzić zaś od procentów procenta, byłoby to przychylać się do żądania nadto daleko posuniętego, przez obrońcę prawnego, a niewiadomego, jak mi się zdaje, samemu panu Sulistrowskiemu.

— A mnie się zdaje, odezwał się pan Trocki, że dość będzie utwierdzić mądry dekret ziemstwa oszmiańskiego.

— A, co na to, nie ma zgody, odezwało się kilku, a najgłośniéj ów stronnik miliona.

— Milion powiadam mosanie: milion i kwita. Stanęło na tem i skończyło się.

(*) Trzeźwym umysłem; konstytucya ta zakazywała dla tego poobiednich posiedzeń sądom.

— Proszę więc wpisać tu swoje zdanie, rzekł doń pan Bohomolec, podnosząc mu sentencyonarz.

— Na nic — na nic to niepotrzebne mosanie! pisz sam, a regenci niech ci pomagają. Ja decyduję, stanęło na tem....

— Zacny kolego, rzekł przerywając ten swar Zaranek, uspokoj się i zasiądź twe miejsce. Z porządku i po kolei pytać każdego będziemy o sentencyę: tego wymaga prawo i *decorum* (*) tej najwyższej magistratury.

— Stanęło na tém mosanie... — mruczał pan Brasławski usiadając spokojnie i poglądając z ukosa na Bohomolca.

Tymczasem niektórzy rozpatrywali papiery i dowody przez skarbnika złożone: inni w cichej między sobą rozmowie, wzajemnie się oświecić i przekonać starali.

Nakoniec rzekł pan Zaranek: — koledzy! przystępuję do zebrania głosów na zapytanie w sentencyonarzu.

Lecz tu gwar powstał daleko większy. Górował wprawdzie nad wszystkiemi głos pana Brasławskiego: Milion! milion mosanie, stanęło na tém i skończyło się. Ale w powszechnym sporze i tym żwawszym, że kilku stale głosowało za utwierdzeniem dekretu oszmiańskiego, Zaranek uważający pilnie, i w milczeniu policzający zdania, ile je w zgiełku wyrozumieć można było, uznał, że większość być się zdaje za utrzymaniem rachunku Dowiata. Uderzając więc laską marszałkowską o stół, co zjednało chwilowe milczenie: — W rozróżnieniu, rzekł, tak niezgodnem i rozmaitem decyzyi waszych mości panowie, proponuję z miejsca mojego *turnum*, na każde z osobna ogłaszane pytanie, a większość wotów za którymkolwiek, da nam *conclusum;* lubo smuci

(*) Powaga.

mię to i źle wróży, że pierwszy nasz wyrok od rozterek zaczynamy i ostatecznego tego środka, dowodzącego wzajemnej naszéj nieufności użyć musimy.

Nowa ta propozycya wielką liczbę głosów zjednoczyła — Prosimy o *turnum*, panie marszałku, prosimy! ozwało się kilkunastu.

Ale kilku przeciwnie i stanowczo odpowiedziało.— Nie! nie mości marszałku; *turnum* sekretne, tylko jednomyślnie przyjętém być może, a my się na to nie zgadzamy i wotować nie będziemy. Ztąd jeszcze większy wszczął się zgiełk i niezgoda; któréj nie mogąc uspokoić pan Zaranek, upatrzył chwilę powszechnego zamieszania i szepnął słów kilka jednemu z regentów na ucho; ten niepostrzeżony wymknął się tylnemi drzwiami z sali....

Wśród trwającego i zwiększającego się nawet co chwilę gwaru i sprzeczek, odemknęły się niespodzianie na wścieżaj drzwi od korytarza zbudowanego, jakeśmy to wyżéj opisali, przez pana Łopacińskiego, a łączącego mieszkanie jego z izbą sądową (*), i dwóch hajduków wciągnęło do sali w krześle, na wpół-leżącego marszałka.

Zdumieli się wszyscy i umilkli na ten nieoczekiwany widok. On skinął ręką na hajduków i ci usunęli się za drzwi. Podeszła wiekiem, a cierpieniem udręczona twarz jego, nie straciła jednak szlachetności i powagi, właściwéj jego wysokiemu dostojeństwu. Włos biały spadał mu niedbale na wysokie i otwarte czoło, a oko czarne i pełne, wkrótce jednak wiecznie zawrzeć się mające, łzą się zaćmiło, gdy wyciągając rękę ku zdumionéj gromadzie, rzekł ła-

---

(*) Cała treść procederu tego i ta ostatnia scena jego, jest prawdziwa.

godnym i spokojnym, a razem uroczystym głosem: »koledzy! *moriturus vos salutat!*« (*).

Wszyscy się razem do uściśnienia ręki téj rzucili. Radość z oglądania dostojnego swego przewodnika, miarkowała się wprawdzie tém jego smutném powitaniem, i dla tego hucznym nie wybuchnęła okrzykiem. Wszakże tém czulsza i głębsza ogarnęła serca wszystkich i tkliwą a przychylną troskliwością okrasiła wszystkie oblicza.

— Bóg cię podźwignie, kochany nasz marszałku. Będziemy wszyscy modlić się za twoje zdrowie! Jeszcze ozdobisz nasz litewski Trybunał! tak każdy swoje życzenia i nadzieje dokładał.

— Kochani koledzy! Kochani ziomkowie! dziękuję wam za życzliwość i przyjaźń waszę, rzekł Łopaciński: ale gotujcie raczéj modły wasze wkrótce za moje zbawienie... bo na przywrócenie mi zdrowia cudu chyba potrzeba; a osłodźcie raczej ostatnie godziny moje, miłą w okrótnych boleściach pociechą i przekonaniem, że pod mojém imieniem, niestety! nie przewodnictwem, rozpoczynający się Trybunał, sprawiedliwością bezstronną, nieuległą i jednomyślnością słynąć będzie. Dajcie mi tę przy zgonie pociechę, koledzy moi! Słaby i cierpiący srodze, kazałem się tu zawieźć: bo póki jeszcze żyję i ostatnią chwilę moję poświęcić powinienem obowiązkom moim... tak mi każe sumienie, tak wzgląd na sławę imienia mego, związanego na zawsze ze wspomnieniem tego Trybunału.

Pod laską Łopacińskiego, Trybunał, powiedzą kiedyś potomni, źle się zaczął: niezgodny w zdaniach, niesprawiedliwy w wyrokach! ach słusznie dodać będą mogli — i to Łopacińskiego dobiło!...

Wszyscy w milczeniu i oczy ku ziemi spuściwszy, słuchali tych wyrazów.

(*) Umierający was pozdrawia.

— Od piérwszego kroku waszego, koledzy, mówił on daléj, od piérwszego waszego dekretu, dekret o was napiszą Bóg i ludzie; a mnie ten dekret najpiérwiéj dojmie przed Bogiem, najsrożéj zhańbi przed ludźmi; bom ja pokrewny pisarza litewskiego. Powiedzą zatém, żeście mojemu wpływowi ulegli, żem na śmiertelnéj pościeli był jeszcze intrygantem; a przecież jako krewny i przyjaciel jego, oświadczam wam i najmocniej zapewniam, że on od was niesprawiedliwości nie żąda, że on dobre swe imie nad miliony ceni....

A więc koledzy!...

— A więc marszałku, sam decyduj w téj sprawie, odezwało się kilku, a za niemi wszyscy. Zgadzamy się na twoje zdanie! zgadzamy się! okrzyknięto.

Łopaciński zamilkł, zmęczony długą mową swoją, i żywszem uczuciem jakie w sobie obudził. Oparł czoło na dłoni; lecz wzniosłszy je po chwili łagodniejsze i tkliwsze, rzekł:— Dziękuję wam, koledzy! dziękuję z całego serca. Zaufanie to wasze, sił i zdrowia mi przedłuża; cieszy mnie, i ulży ostatnie moje godziny. Podawał on, to mówiąc, rękę każdemu, uściskaną przez każdego czule.

— Nie słuchałem tej sprawy, przedłużał potém, więc radzić wam tylko, nie decydować mogę, lubo wiém dokładnie treść onéj. Powiedzcie mi zatém naprzód, czy sumiennie przekonani jesteście, że karta, na którą Sulistrowski żąda wskazu na Karmelitach jest sprawiedliwą i niezaprzeczoną?

— Przynajmniej odpowiedział Zaranek, Karmelici nic takiego naprzeciw niej nie złożyli, ani okazali, coby ją w wątpliwość podać mogło, a niweczyć dowody Sulistrowskiego. Więc jako sędziowie na tychże dowodach mający opierać nasz wyrok, nie na domysłach wspierających dawność, którą się zasłaniają Karmelici, a która raz uznana, dałaby pieniactwu nową tarczę naprzeciw wszelkim sprawiedliwym po-

szukiwaniom; możemy i musimy nawet uznać należność dla Sulistrowskiego, tak mi się przynajmniej zdaje; jakże, koledzy?

— Prawda! prawda! zgoda! odezwało się całe zgromadzenie, ale wieleż sądzić?

— Gdy tak jest — decyzyę moję, a raczej radę moję łatwo zgadniecie. Z żądań i rachunków obrońcy Sulistrowskiego, odrzućcie to, co tam zapędna gorliwość jurysty, i nadzieja zysku w miarę wygranej wpisała... resztę wam rozum i sumienie niech dyktuje... Siły mię opuszczają — darujcie — Żegnam was!... Niech Bóg błogosławi sądy wasze!.. Koledzy! przyjaciele! jeżeli kiedy niezgoda lub intryga wejdzie między was, zakłóci wasze namowy, pokalać zechce wasze wyroki, przypomnijcie mnie! Wspomnijcie na tę moję chwilę, między wami ostatnią... i pomyślcie, że duszą i po zgonie z wami obecny wasz marszałek, błaga was o jedność, sprawiedliwość, staropolską poczciwość i cnotę!...

Łzy rzęsiste potoczyły się po licach dostojnego starca i przecięły coraz słabiejącą mowę jego, i również potoki rosiły twarze prawie wszystkich obecnych. Na znak dany chorego, zawołano hajduków; ci zawrócili krzesło, za którém rzucili się wszyscy tłumem do uściśnienia raz jeszcze ręki oddalającego się swego marszałka. Ten na wpół zemdlony, gęstemi jeszcze łzami i smutném skinieniem czoła, odbierał i oddawał te tkliwe, a jak sam przepowiedział, ostatnie niestety! pożegnanie wielbiących go kolegów, którzy w kilka dni potém, szli smutni za jego pogrzebowym wozem.

Nie wiedziano za drzwiami sądowemi, co się działo wewnątrz: bo galerya którą przybył i oddalił się Łopaciński krytą i opierzoną była. Dziwiono się jednak i szukano przyczyny, dla czego wrzawa w namowie tak huczno słyszeć się dająca, ustała nagle, a wnioski ztąd i wróżby, przerwało otwarcie wkrót-

ce izby i odczytanie dekretu, którym zasądzono dla Sulistrowskiego kapitał z procentami, z odrzuceniem naliczeń pana Skarbnika.

Wnet zawołano aktorat pana Starosty Kapinowieckiego z Dowiatami.

Wystąpił więc na czoło palestry znajomy już nam, opasły plenipotent Starościnej, lecz go pociągnął z tyłu za wylot od kontusza pan Skarbnik i odprowadziwszy z tłumu w kąt, dał w rękę bilet aktorki jego, z nadpisem pana Sulistrowskiego.

— Jak to? zawołał on przebieglszy pismo — zapisać aktorat na ugodzie?

— A tak na ugodzie, odpowiedział spokojnie Skarbnik.

— Nie pozwolę na to: to intryga....

— *Inter nos loquendo*, daj Boże taką intrygę, która do ugody prowadzi; pod takim względem i wasanu dobrodziejowi intrygantem być życzę... Jakkolwiek to jest, nie możesz jegomość *irrytować* sprawy, którą aktorowie sami wstrzymać pragną.

— Biegnę do Starościnej; proszę tymczasem nie kondemnować, bo stawamy — wnet wracam.

— Poczekaj, mój dobrodzieju, rzekł Skarbnik wstrzymując go: *inter nos loquendo* za daleka wędrówka. Pani Starościna dziś *summo mane* (*) wyjechała do Szemetowszczyzny, do jaśnie wielmożnego pisarza Litewskiego.

— Nie może być; wczora około zachodu słońca widziałem się z nią, nic mi o tém nie mówiła.

— Ale po zachodzie słońca inaczéj się stało... a dziś o wschodzie, już była na Połockim trakcie, upewniam honorem jegomościa.

(*) Bardzo rano.

— Pan plenipotent otarł z potu czoło, i spuścił je ku ziemi.

— Do *komparycyi* (*) zawołał znowu woźny. Natenczas szedł on za Skarbnikiem ze smutną miną i oba sprawę na ugodzie zapisali.

XVIII.

Szemetowszczyzna.

Piękną jest szeroka Litwa nasza (**)! zawołałem ja w serdeczném a głębokiem uczuciu przywiązania do ziemi ojczystej, i w rozważeniu piękności, jakiemi Bóg ją obdarzyć raczył!!!... Oh! któż bo nie kocha kraju w którym się urodził? gdzie spoczywają prochy naddziadów i rodziców jego, gdzie każda stopa ziemi urocze mu i miłe przywodzi wspomnienia, w których obłąkana myśl jego, przepływa cicho i spokojnie, kojąc natrętne troski życia, lub gorzkie serca cierpienia!...

Lecz te tkliwe, pełne słodkiego rozrzewnienia uczucia, nie zależą bynajmniej ani się wzbudzają, wspaniałemi ani pięknemi krajobrazami, zdobiącemi ziemię. Pod nizką strzechą, którą dla ciebie dziadek twój zbudował; w ogródku wiejskim, w którym cię niańka do gałązki gronem rumianych wiszeń bogatej, podnosiła; na małej łączce, na którejś między kopami wonnego sianka biegał; na jakiejś samotnej dróżynie, gdzie twe młodzieńcze snułeś ideały, miłość ta obudzi się w duszy twéj, w duszy każdego poczci-

(*) Do stawania u Sądu. Wyraz techniczny sądowy.

(**) Brzegi Wilji.

wego człowieka. Ogarnie go w czułe, że tak powiém, objęcia, jak matka ukochane dzieci; utulać go będzie i pieścić, tkliwemi łzami obleje mu lica. Ach! oddalonemu, tęsknotą jak kamieniem, ciężyć będzie na sercu!...

Miejsca takie, są to miłe dziedziny roskoszy, wydzielane cząstkami dla ludzi, do codziennej dla nich pociechy, do samotnego, a słodkiego pokarmu duszy. Ale dla jej wyższego wzniesienia, dla jej swobodnego polotu w niebiosa, Bóg sam zda się pooznaczał miejsca na globie, na które wstąpiwszy człowiek, czuje się dostojniejszém dziełem rąk jego. Mysl wzniosłą ku niemu rozwija, poznaje go i wielbi w pięknościach i doskonałościach natury i oddycha piersią przepełnioną rzeźwém życiem oblewającém go do koła. W takie wspaniałe miejsca, bogatą jest Litwa nasza...

Przed wieki, cała pokryta i zarosła lasami, w dzikiej swej i ponurej piękności, mocarzom swoim pasującym się dzielnie ze srogiemi zubry, odkrywała ona codzień nowe i coraz piękniejsze miejsca, na twierdze i grody, na gmachy dla nich samych, na bałwochwalcze świątynie ich bogom!... Dziś otwartsza i roztrzebiona kraina, w połączeniu pozostałych leśnych obszarów i niw żyżnym urodzajem okrytych i siół i dworów tu i ówdzie rozrzuconych, i rzek i jezior ruchomemi zwierciadłami wyściełających ziemię — przedstawia nader częste widoki i krajobrazy, zachwycającéj piękności, szczytnego rozmiaru, lub niewymównego wdzięku.

Zalecać je i wskazywać poszczególnie ziomkom, byłoby to wprawdzie ofiarować im obfite źródła i środki najprzyjemniejszych uczuć i wrażeń; byłoby to może zwracać pożytecznie, cele ich obcych wędrówek ku rodzinnym okolicom: lecz byłoby to puścić się na niezliczone ustępy i odnogi od głównego przedmiotu dzieła, a zawsze być przewodnikiem niedostatecznym po ścieżkach, na których miłość swej

ziemi, dobra wola, i czułe serce, jedynie przewodniczyć powinny.

Tę więc tylko okolicę, do której scena mej powieści przenosi się, jedną z piękniejszych w Litwie, i należącą do takich, które mi powyższy ustęp natchnęły, wprowadzam na widok czytelnikom, z których nie jeden, albo ją przypomni, albo ją pozna kiedyś, jeżeli go szczęśliwe zdarzenie, zaprowadzi gościem w te strony.

Jest o mil kilkanaście na północ Wilna (*) jezioro, Świrskiém od starożytnego miasteczka Świru, nad jego brzegami położonego i od xiążęcego Świrskich rodu, tu swą dzielnicę mającego, zwane. Ma ono podobieństwo do wielkiej rzeki, bo milę szérokie, na dwie wzdłuż się rozlewa; i podróżny, złudzony jego formą, jakby po brzegu, jakiej litewskiej Delawary postępuje. Wysokie wzgórza, to ciemnemi borry, to krzewistą leszczyną porosłe, to nagie i ogromnemi głazami granitu orzucane, okrążają go: a z każdego, całą okolicę, w coraz nowym obejmiesz obrazie.

Z jednego, dójrzysz w oddaleniu trzy krzyże na obu krańcach i nad średnicą jeziora, na wieżach trzech kościołów w borach ukrytych wznoszące się i błogosławić zdające się okolicom, nad któremi górują. Pod jednym z nich modlił się niegdyś w Świrskim kościele Batory, gdy się na północną wojnę wyprawiał. Na innym gdy staniesz, znika z przed wzroku, jak teatralna dekoracya, zasłona wiecznej zieloności borowej, i same gmachy kościelne (**) jaśnieją odbitém po białych murach i po długich oknach, słonecznym, lub jeszcze milszym, gdy na nie w wieczór poglądasz, xiężyca promieniem. Zmień je-

---

(*) Świr, Zaświrz, Wiszniew.

(**) W powiecie Świrskim.

szcze pagórek, a ujrzysz okolone zielonemi ogrody, w ich cieniu i wdzięku bielejące się murowane gmachy, lub mieszczące się roskosznie domy i budowy (*) dziedziców umiejących użyć dostatku, na ozdobę swych siedlisk i kraju. Dalej rzędem poszykowane wsie długie, lub samotne zaścianki, wesołe obiegają trzody i pracowity orywa chłopek, a u nóg twych rozległa szyba wodna, po której lekkiemi kołysane falami, lotne ślizgają się łodzie, niosąc każda rybaka i jego fortunę. Zbłąkane za niemi oko, tonie natenczas w głębiach, lub się gubi w odległym horyzoncie, a myśl w nieograniczonej przestrzeni.

Czémże piękniejsze są jeziora szkockie? czém powabniejsze ich brzegi? A przecież ziomek czytając Walter-Scotta, z zapałem i upragnieniem nad niemi się unosi, a oziębłe patrzy na własne... Ach! różnica nie w naturze, wszędzie uroczej, ale w talencie autora i w poniewierce, chwała Bogu już codzień niknącej, wszystkiego co ojczyste, co swoje...

Wśród borów rozszérzających się od jeziora Świrskiego, leży Szemetowszczyzna, majętność od starożytnego litewskiego rodu Szemiotów przed wieki założona i nazwana, a w kolei lat do różnych znakomitych imion tutejszych przechodząca. Była ona niegdyś własnością Zenowiczów, potem Przezdzieckich, nakoniec przeszła do Sulistrowskich; i dziedzicem jej był właśnie pan Aloizy Sulistrowski, Pisarz wielki Litewski, jak w czasie kadencyi trybunalskiej wyżej opisanej, tak i w pół roku po niej.

Pół roku te przeminęło martwo i dla processu i dla romansu, będących treścią mojej powieści. Pierwszy zawieszony na ugodzie niby, drugi na rozwodzie niby; lecz i ugoda i rozwód, nie dały sobie jeszcze ostatniego słowa. Pierwsza, pajęczą tylko jakby nicią spojona, chwiała się też jak pajęczyna

(*) Wiszniew, Dobrowlany, Bolkow.

od każdego powiewu humoru Starościnej, poddmuchniętego namowami plenipotenta, i zerwałaby się może, gdyby nie wzgląd na pana Sulistrowskiego. Drugi, rozdzielił wprawdzie skłonne ku sobie serca; ale te jak dwa rozdjęte magnesy, nieprzerwanie ku sobie się zwracając, stałą miłością, jak niewidomym płynem magnetycznym się łączyły.



XIX.

Znowu Xiąże Radziwiłł.

Panie Kochanku.

Podjęta z grobu i zapomnienia postać tego ukochanego niegdyś w Litwie męża, nader często wychodzi na jaw w dzisiejszym powieścio-pisarstwie naszém. Dla czego? nie dla anegdot jego pewnie, które lubo mają wszystkie cechę dowcipu i prawdziwie narodowego naszego humoru, lubo prawie w każdej z nich jest ślad znajomości zwyczajów, podań i obyczajów ówczesnych; wszakże służyćby tylko one mogły na rozweselenie domowej jakiej gromadki, przypominającej dawne czasy, ale nie na treść do dzieł poważniejszych. Nie dla opisów wspaniałości dworu jego i pańskiej jego hojności, bo w tém mu, kilku przynajmniej bogaczów polskich wyrównywało, a wielu się doń zbliżało. Lecz że wszystkie razem przymioty, skłonności, cnoty, wady, i śmieszności nawet w nim zjednoczone i uosobione, czyniły go, że tak powiém symbolem niknącego już natenczas narodowego charakteru, i w ostatnim prawdziwego polskiego

możnowładcy obrazem; w którego *państwie* było *szlachectwo*, to jest: zacność szlachecka, miłość braterska powszechna i głębokie do wiary przodków, a nawet do ich przesądów przywiązanie! — Dla tego w szerzącej się naówczas u nas obczyznie, gdy z nią razem wchodzący do kraju egoizm, rozłączał panów od szlachty i zamykał przed nią bramy ich pałaców, zamek Nieświeżski stał otworem dla braci, dając nietylko dla ich osób, ale i dla ich zwyczajów i dla ich starzejących się pojęć, przytułek.

Pod takim względem, nad którym rozszérzać się nie będziemy, uważany xiąże Karol Radziwiłł. prócz wypadków politycznych życia jego, będzie zawsze historyczną postacią, która nieraz się jeszcze powtórzy, jako i powtarza w powieściach i obrazach, mających treścią tamtoczesne dzieje i starcie się na głowach ojców naszych, dwóch przeciwnych sił moralnego ich ukształcenia.

Dowiódł tego z niezrównanym talentem autor Pamiętników Starego Szlachcica. Zna on najdokładniej, właśnie pod względem wyżej dotkniętym, wiek tamten i przedstawiciela w nim cnót staroświeckich Radziwiłła, i napisał nieśmiertelny pomnik nietylko jego pamięci, lecz i własnej między ziomkami sławy.

Podczas bytności króla Stanisława Augusta w Nieświżu, gdy się cała rozjechała szlachta, gromadnie jakby na wybór nowego pana, przez Radziwiłła zgromadzona i hojnie podejmowana (*), pozostały ze znakomitszemi gośćmi Sulistrowski, pod którego wspólnem z Michałem Chodźką wojskim oszmiańskim przewodnictwem, szedł powiat oszmiański do Nie-

(*) Znajomym jest powszechnie opis nader suchy bytności tej króla w Nieświżu, podobno przez towarzyszącego mu tam X. *Naruszewicza*.

świéża; przyjaciel domu Radziwiłłów, a szacowany szczególniej dla swych przymiotów i rozumu od xięcia Karola, umyślił zaprosić go do Szemiotowszczyzny i wyprawić mu przyjęcie wspaniałe, w którémby Radziwiłł króla, a Sulistrowski Radziwiłła mógł powtórzyć.

Jednego więc ranku, gdy xiąże otoczony przyjaciołmi, w najlepszym będąc humorze, prowadził rozmowę, niełatwo wyczerpnąć się mogącą, o festynach, oracyach, illuminacyach; o sławnym fajerwerku na stawach Nieświéżskich, przedstawującym attak Gibraltaru; o polowaniu, na którém, nadzwyczajny osiłek pan generał Judycki stojąc blizko altany, na której był król, biegącego niedźwiedzia przebił oszczepem (*) osadził na ziemi i krzyknął: »Strzelaj królu!« Dowód takiej siły zadziwił monarchę i wszystkich; nie strzelał jednak król, bo się lękał niebezpiecznego strzału do zwierza pasującego się z Judyckim; dobił go więc w łeb z pistoletu obok stojący Czechowicz, a król ranił innego niedźwiedzia, drugą linią napędzonego na altanę.

Każdy z obecnych przyrzucał to uwagi, to anegdoty do powszechnej rozmowy. Lecz gdy która z nich zakrawała wprost lub ubocznie na ubliżenie Królowi, gdy się wymknął komu z ust *Pan Stolnik* (**), xiąże spozierał z podełba z nieukontentowaniem i niewczesne żarty karcił, mówiąc z niejaką nadzwyczajną powagą: »Panie Kochanku! Radziwiłł przyj»mował Króla Polskiego!... trzeba to wiedzieć i »znać panie kochanku!«

— Tak, mości xiąże. rzekł Sulistrowski, i przyjęcie to godném było i gościa i gospodarza, i Radziwiłła i Króla!... Lecz czy nie raczyłbyś W. X. Mość do-

(*) Prawdziwe.

(**) Tak tytułowali Stanisława Augusta, nichętni jemu, gdyż przed wstąpieniem na tron miał tytuł stolnika litewskiego.

świadczyć i widzieć, jak szlachcic przyjmuje ukochanego od wszystkich obywatela?

— Co się to ma znaczyć, panie Aloizy?

— To się ma znaczyć, Mości xiąże, że umyśliłem prosić W. X. Mości, abyś mnie raczył uszczęśliwić bytnością swoją u mnie w Szemiotowszczyznie, wybrawszy na to podług swéj woli czas; ale jednak niedaleki, aby się nam na pańskiéj obietnicy nie skończyło. Powiadam, Mości xiąże, *nam*, bo prośbę tę wznoszę nie tylko od siebie, ale i od całego powiatu oszmiańskiego, który w sowitym poczecie stawił się na rozkaz W. X. Mości w gościnę do Nieświéża. Raczże W. X. Mość być u nich wzajemnie gościem, na dowód, że jak powiadasz xiąże, kochasz Oszmiańczuków.

— Panie kochanku, rzekł pomyśliwszy nieco i pokręcając wąsa xiąże; radbym to z duszy uczynił i tobie, panie Aloizy i braciom Oszmiańczukom złożył moje homagium... ale... ale jesień....

— I polowanie, Mości xiąże, przerwał Sulistrowski. A długoż to będą niedźwiedzie i łosie w puszczy Zuprańskiej czekać na swego pana?

— A wielkaż to puszcza panie kochanku?

Sulistrowski pokiwał głową, myśląc w duchu: mój Boże! nie wie, czy wielka jego puszcza Zuprańska? — Włok kilkaset, odpowiedział, i właśnie jej to wychowańce dostarczają uczniów do sławnej akademii Smurgońskiej. Prócz tego, obejrzysz jeszcze xiąże, obszerne swoje dobra tamtejsze: Zuprany, Nowosiołki, Smurgonie, których nawet w tytułach W. X. Mości nie ma, a które niemniej warte są oblicza i oka pańskiego.

— Dobrze to, bardzo i wdzięcznem sercem przyjmuję nareszcie obligacyę twoję, kochany panie Aloizy. Wiém, żeś mój i domu mojego przyjaciel; wiem, że i substancya twoja, chwała Bogu nie uboga. Ale pomiarkuj się: mnie przyjęcie króla, kosztowało więcej miliona i król podarował mi *janczarkę*; więc

cóż ja ci dać mogę? chyba *kasselkę* (*) jaką, panie kochanku (**).

— Podarujesz mi W. X. Mość więcej aniżeli warte są wszystkie dary królewskie, odrzekł Sulistrowski, łącząc w swej mowie i układność dworską i szczérą przychylność dla xięcia, wdziękiem głosu i całego oblicza wydającą się: podarujesz mi W. X. Mość najdroższe i najchlubniejsze wspomnienie, które do najdalszych moich przejdzie potomków: wspomnienie bytności Radziwiłła w moim domu.

— Panie Aloizy, rzekł wzruszony xiąże, ściskając rękę Sulistrowskiego; będę, będę w Szemiotowszczyznie i to nie dalej, jak za kilka tygodni. *Verbum nobile!* panie kochanku.

In gratiam tej solennej obietnicy, wesołość i xięcia i całej kompanii się podwoiła. Uderzono zatém w kielichy i dzień zakończył się staroświeckiém, *kochajmy się.*



XX.

Podróż Pańska.



Powiadają, że xiąże Hiszpański *di Medina Celi*, mógł przejechać całą Hiszpanię, nie nocując nigdy

(*) Prawdziwe.

(**) Stanisław August opatrując skarbiec i zbrojownię Nieświeżską, bogatą natenczas w oręże starożytne, darował do tego zbioru janczarkę Jana III. Jaka szkoda, że dziejopis téj bytności króla w Nieświéżu, nie opisał tego zbioru, przedstawionego natenczas w całém swém bogactwie, a który potém roztyrał się marnie.

ani na cudzéj ziemi, ani w cudzym domu. Toż samo możnaby powiedzieć o Radziwille podróżującym po Litwie. Mnogie i obszerne dobra jego, w największej dziś części przeszły w różne szlacheckie imiona; a prawie na każdej takiej części, wzrósł dostatni pan i siedzi wygodnie, zbudowawszy sobie jakby dom porządny z ruin potężnego gmachu. Xiąże Karol, lubo pozbawiony już wielkiej części dóbr swoich, mógł jeszcze od Niemna ku Dźwinie i od Niemna ku Wiśle podróżując, nocować prawie zawsze jak ów Grand hiszpański na swojej ziemi. Podróże jego, gdy jeszcze do nich i myśliwstwo się łączyło, szły obozowym taborem.

Najprzód z każdego noclegu, z kilkunastu konnymi wyprawowali się stanowniczy, marszałek i łowczy. Pierwszy znacząc za sobą wiązkami słomy drogę, gdy ta na manowce schodziła obierał i zajmował kwatery. Miasteczka i wsie rade były gościom, po których zawsze znaczna gotówka zostawała. Marszałek przyspasabiał żywność i wszelkie wygody dla xięcia i całej jego kalwakaty. Łowczy nakoniec jechał do lasów i kniei, i jak tamten słomą, ten gałązkami jedliny znaczył za sobą kierunek.

I takim właśnie obyczajem wyprawił się xiąże do Szemiotowszczyzny. Sulistrowski odjeżdżając z Nieświéża zamówił w miasteczku żyda, który poleciał doń dniem i nocą dając znać o wyjeździe xięcia z miejsca. A że podróż trzydziesto z górą milowa, polującemu i z liczném, a po drodze pomnażającém się codzień gronem przyjaciół, powoli posuwającemu się taborowi, dni z dziesiątek trwać mogła: przeto Sulistrowski miał czasu dosyć dla zaproszenia licznéj kompanii i przygotowania się do przyjęcia tak dostojnego gościa.

Przybył nakoniec xiąże do Żupran i sam się zadziwił, że tak obszerna puszcza dotąd mu znaną

nie była i myśliwską jego nie zabrzmiała trąbką, a w któréj ośmiu niedźwiedzi, prócz innej grubej zwierzyny, na jego przyjazd osaczono.

—«Panie kochanku! rzekł on, każę aby nie«dźwiedzie Żuprańskie, odtąd na zimowe leże do Al«beńskiego zwierzyńca przychodziły, bo żadnej o so«bie wiadomości memu panu generalnemu łowczemu «nie dają.»

—A kto im da charcz na tak daleką wędrówkę? zapytał śmiejąc się pan Ważyński, podkomorzy oszmiański, zawołany myśliwy, który zajechał xięciu drogę, około Holszan w dobrach swoich, i jako zaproszony do Szemiotowszczyzny, przyłączył się do xiążęcego orszaku.

—«A ci, panie kochanku, którzy dotąd skóry ich »kradli i łapy ich jedli,» odpowiedział xiąże prowadząc okiem z ukosa po swem zawstydzonem myśliwstwie.

Przez kilka więc dni huczne i wesołe polowanie trwało po głębokich lasach Żuprańskich od rzeki Oszmiany, szeroko aż ku Wilii rozciągających się. Głuche dotąd ostępy, rozlegały się hałasem psów, myśliwych, dojeżdżaczów, ludu spędzonego na obławy, gęstemi strzałami i tryumfalnemi rogów i trąb rozgłosy, które echa okoliczne, po suchém i piękném jesiennem powietrzu, daleko roznosząc, płoszyły strwożonego zwierza i napędzały go na siecie i strzały.

Tymczasem około zapadłych w lesie zaścianków, lub około folwarków i wsi bliższych kniejom, w których polowano, zakładano obozy. Szałasze i budy z gałęzi, okrywały rozległe pola, rozjaśnione płomieniem gęstych ognisk, przed któremi wieczerzę myśliwską dla ściągających się na nocleg tłumów gotowano.

Xiąże otoczony wesołą rzeszą, w najlepszym był humorze, bo dwóch ogromnych niedźwiedzi własną ręką ubił, a dwóch drugich ranił mocno i rzucają-

cych się na strzał, stojący zawsze obok niego oszczepnicy, chłopi silni i doświadczeni, przebili.

Po dziennych zatém fatygach, używał xiąże ochoczo i traktował hojnie brację szlachtę oszmiańską, nie rozróżniając prawie wielmożnych od okolicznych, których mnóstwo na obławy się zgromadziło. Ogromne misy hultajskich bigosów, pieczeni, zrazów, roznoszono po szałaszach; a po nich na potuszenie, krążyły wszędzie cebry i rądle grzanego, a zaprawnego imbierem i gwoździkami miodu, dzielny naprzeciw jesiennym nocnym wilgociom i przymrozkom specyał, którego i xiąże dając przykład gościom nieskąpe wychylał kufle i którego skutkiem, były najprzód szumne gwary i wrzaski, a potém twarde całego obozu chrapanie.... Poglądając natenczas na ten fantastyczny obraz pola zasłanego zbrojnym ludem, wśród dogorywających ognisk, wśród warczących psów i rżących koni, wśród wozów i szałaszów, cofnąłbyś się myślą o kilka wieków i zdałoby ci się widzieć w pół barbarzyńskie hordy dawnych Litwinów, w lasach niedostępnych, pod wodzą jakiego Witenesa czy Olgierda, zebrane do niespodzianego napadu, na jaką nieprzyjacielską krainę, i splądrowania jéj ze szczętem.

Tak cały tydzień przebywszy xiąże pod gołém niebem, pożegnał nakoniec myśliwskie tłumy i w dobrańszém przyjaciół gronie wybrał się do Szemiotowszczyzny.

Jechał on długim drabiastym wozem saskim. Nacisnąwszy bobrowy kołpak na głowę i obwinąwszy się burką, ani dbał o niepogody i słoty; krytych pojazdów a szczególniéj karety, znieść nie mógł. Wóz opakowany był bronią, a za wozem biegł uwiązany koń osiodłany i wyżeł faworyt. Tak zwykle najdłuższe po kraju odbywał podróże.

W kilku lub kilkunastu wygodniejszych pojazdach

jechali za nim asystujący mu zwykle z interesu, lub dla przyjemności tylko przyjaciele; ale gdyby którykolwiek z dworskich tam się umieścił, straciłby wnet łaskę u xięcia i służbę. Na wozach podobnych starsi, z konia młodzi, służyć w podróżach byli powinni.

Taka zatém kalwakata od Żupran ku Smurgoniom, oszmiańskim jadąc traktem, mijała ostatni folwark Żuprański, gdy wielka gromada włościan na drodze zębrana, upadła przed zbliżającym się xięciem na kolana, a najstarszy wiekiem, papier jakiś nad głowę podniósł.

— Stój, panie kochanku! zawołał xiąże i wysiadł z wozu.

— Co to jest dziatki?

— Suplika xiąże panie do was, od biednych waszych poddanych! odpowiedział czysto po polsku staruszek, schludniéj od wszystkich ubrany.

— A waść co za taki?

— I ja poddany W. X. Mości: służyłem pajukiem u ś. p. xięcia hetmana ojca waszego, a teraz od jego śmierci, miałbym z jego dobrodziejstwa chleb spokojny na starość, ale tu nikomu zjeść spokojnie kawałka chleba nie dozwala tutejszy rządzca.

Xiąże czytał pilnie suplikę, a tymczasem podróżna kompania powysiadała także.

— A gdzież ten infamis? zapytał xiąże, zaczerwieniony od gniewu.

— Tu oto w tym folwarku, odpowiedział stary. Wskoczył na wóz xiąże, i — zawracaj do dworu! wrzasnął.

Wszyscy także ruszyli za nim; bo wiedząc o przyczynie i gwałtowności xięcia, zwłaszcza dworzanie i blizcy domownicy Nieświéżcy, poznali po jego licu i oku, że się tam bez awantury nie obejdzie, i że go hamować trzeba będzie (*).

(*) Prawdziwe.

Jakoż wpadł xiąże na ganek i spotkał tam właśnie ekonoma, niejakiego pana Pryżmonta, jak na jego nieszczęście z bizunem w ręku hałasującego na parobka i obiecującego mu sto takich własnoręcznych.

— A tyś to! wrzasnął xiąże, ekonom tutejszy Pryżmont?

— Ja, odpowiédział przelękniony i zdziwiony razem, bo się nie spodziewał téj wizyty, a widział xięcia na obławach, a zatém go poznał.

— A to ty, poganinie obdzierasz, uciemiężasz i katujesz moich chłopków, krzyczał xiąże trzęsący się od złości. Nie miał czasu przemówić ani słowa Pryżmont, bo go xiąże wyrwanym odeń kilka razy przepasawszy harapem, porwał za piersi; a ponieważ był to człek wysoki i suchy, więc go podjął jak tykę, i rzucił z ganku, tak silnie i impetycznie, że ten o kilka kroków padł na ziemię jak długi.

— A poczęstuję ja cię, panie kochanku złodzieju, tym samym traktamentem, jakim ty moich ludzi traktujesz — sto nahajów! hej wziąść go!...

— Ależ mości xiąże, on podobno szlachcic! odezwał się któś z boku.

— A niech go tam djabli porwą i z jego szlachectwem, ale kiedy tak, dajcie kobierca! kobierca! nie odstąpię — sto huncwotowi, jego własnym nahajem, wołał rozdąsany... Tymczasem wybiegła pani Pryżmontowa z dziećmi i płacząca padła do nóg xięcia ... i nadjechała cała kompania.

Na widok licznych i dostojnych świadków swego ferworu, na skwirk płaczącéj niewiasty, xiąże się miarkować zaczął. — Sądźcie panowie sami, rzekł, co to za łotr! i czego on wart? czytajcie. A gdzież on, panie kochanku?...

Ale Pryżmont nie czekał traktamentu xiążęcego, i nim się około niego zaprzątniono, uciekł chyłkiem koło płotów, i już go więcéj nie ujrzano.

— Ale mości xiąże, rzekł Hutorowicz pisarz ziem-

ski oszmiański, czytając podaną sobie przez xięcia suplikę — któż wie czy wszystkie skargi włościan są słuszne?

— Jak to, panie kochanku, stary pajuk mojego ojca niesłusznychby nie przynosił: a na co innego dowodu, jak ten kańczuk? który z rąk mu wyrwałem, i którym miał sto wyliczyć, jakiemuś tu chłopakowi. Właśnie na tę obiecankę trafiłem, i chciałbym jegomości samemu oddać tę kwotę. Mówicie, że on szlachcic: fałsz — bo tchórz, uciekł!

Rozśmieli się wszyscy na ten szczególniejszy w takiéj okoliczności argument.

— Mikuć, zapytał xiąże, kto posesorem Żupran?

— Pan Kozieł, starosta oszmiański.

— A, zacny bardzo obywatel, zapewne nie wie o tym ekscesancie. Więc napisz waść do niego, że jego ekonoma zaraz ztąd wypędzam, za to, że mojch chłopków uciemiężał, że gdy chce nadal trzymać Zuprany, niech ma officyalistów poczciwych i chrześcijańskich, a bogobojnych ludzi: bo już sam na to naglądać będę. Stanowniczy! rzekł potém do Bukowskiego, jużeś nam niepotrzebny, bo już dziś na noc będziemy w Szemiotowszczyznie; waść więc zostań tutaj. Wyprawisz mi wnet tego łotra precz; dopilnujesz, aby zaspokoił, co do joty krzywdy słuszne włości, a potém pośpieszysz za dworem.

To mości panowie nie żart! przed sądem boskim trzeba nam będzie wszystkim odpowiedzieć, za naszych chłopków. U mnie tak, panie kochanku: poczciwa szlachta to moi bracia, a chłopki to moje dzieci!

— Takim sposobem, mości xiąże, odezwał się Kossowski (*), nieodstępujący nigdy dworu xięcia i chcący wprowadzić go w dobry humor swym dowcipem, jak się mu to nieraz udawało: takim sposobem, każdy chłop W. X. Mości byłby naszym sy-

(*) Znajomy z 3-ciéj Seryj Obrazów trefniś.

nowcem, na co jednak zgodzić się trudno, bo powiadają, że chłopi pochodzą od Chama, a my szlachta od Japheta.

— Od Chama pochodzą *kpy*, panie kochanku i waść do téj prozapii należysz (*), odrzekł xiąże siadając zły i zasępiony na wóz swój; a śmiech powszechny skonfundował niewczesnego trefnisia.

Zbliżano się do Smurgoń, a xiąże nie ustawał we wnętrznym gniewie i wzburzeniu. Dobre i chrześcijańskie jego serce prawdziwém ozwało się wyrazem, gdy powiedział, że chłopki są jego dziećmi, a ztąd trapiła go myśl teraźniejszém zdarzeniem może raz pierwszy żywiéj obudzona, że pan mnogich włości i poddannych, mnogie też i ciężkie ma obowiązki względem ludzi równych jemu, a powierzonych mu w pieczę od Bogą. Że za ich pracę należy im się czuła opieka; że może równegoż uciemiężenia od nieludzkich rządców, doznają włościanie i innych wsi i dóbr jego.

Cóż tu począć? mruczał sobie: objeżdżać wszystkich sam nie mogę, a panowie plenipotenci i komisarze? niech ich tam kat piecze!!! Przerwał te obsydye i rozmysły xięcia, spotykający karawanę konno pokojowiec.

— Pan marszałek Fryczyński, rzekł on zatrzymując konia, kazał mi spotkać W. X. Mość, i raportować, że pan Przeciszewski, zastawnik Smurgońszczyzny, nie dozwolił mu rozłożyć się z kuchnią, i czeka na obiad W. X. Mości z całą kompanią.

(*) Ta odpowiedź prawdziwa xięcia, dała materyał potém Kossowskiemu do wielu anegdot. Długo bowiem przyjmował on na dworze Nieświeżskim rozmaite figury do swojéj prozapii, i wielką onej sformował listę motywowaną rozmaitemi przyczynami.

— Niechże Fryczyński sam zje ten obiad pana Przeciszewskiego — mijać Smurgonie!

— Kahał, mości xiąże, czeka z dziesięcioro na wjeździe do miasteczka, a Rabin ma mieć mowę po hebrajsku do W. X. Mości.

Xiąże spójrzał surowo na raportującego młodzieńca i powtórzył — mijać! jedź!

— Akademia smurgońska, mości xiąże, — mówił jeszcze pokojowiec, nie postrzegłszy zapewna wzroku xięcia, — przyprowadziła cztérech niedźwiedzi na dziedziniec do dworu, i mają tańczyć balet przed W. X. Mością.

— Mianuję cię, — odpowiedział żwawo xiążę, — rektorem tej akademii, a Fryczyński przyłoży ci patent na kobiercu. Ja z niedźwiedziami w lesie tylko mam do czynienia. Jedź! krzyknął na stangreta, — i mijaj miasteczko i dwór.

Zbity z humoru godnością i obietnicą xięcia, jechał za nim spuściwszy głowę młodzieniec: został się potém w tyle za całą kalwakatą, w nadziei, że nie nawijając się xięciu na oczy, uniknie humoru i patentu.

Wszystkie zatém solenności przygotowane na przyjęcie xięcia dziedzica w Smurgoniach, spełzły na niczém: bo on przejechał kłusem wzdłuż miasteczka, minął dwór i pędził drogą ku Wilii, którą o pół mili przebyć trzeba było. Lecz gdy się zbliżał do jej brzegów, dała się słyszeć muzyka i obudziła zadumanego. Postrzegłszy on namioty i liczne około towarzystwo, wysiadł też z wozu. To samo uczyniła cała drużyna... a na przeciw szedł z liczniejszą daleko pan Sulistrowski spotykający tu xięcia na przeprawie. Muzyka brzmiała bez pauzy: okrzyki radośne i powitania nieustawały; więcej półtarasta znakomitszych obywateli litewskich, z różnych okolic

zebranych, mieszało się wzajem w powitaniu miłego gościa.

Twarz tylko jednego młodzieńca w żałobie, skromna i spokojna, jeżeli nie ćmiła powszechnej radości, nie zwiększała jej także. A młodzieńcem tym był nasz pan Ludwik Dowiat, towarzyszący stryjowi swemu panu Skarbnikowi, wezwanemu przez pana Sulistrowskiego do Szemiotowszczyzny. Nie życzył sobie on tej podróży; lecz w liście pana Pisarza znalazło się *postscriptum* własnoręczne jego, obligujące i pana Ludwika, aby ze stryjem przybył.

Swieżą a bolesną stratą ojca dotknięty; on jakby obcy przybysz, przypatrywał się temu wesołemu zbiorowi, aż go stryj wziął za rękę i zaprezentował xięciu, sam mu oddawna znajomy.

Pod namiotami rozstawione stoły, okryte były rozmaitą, a obfitą przekąską, która zastąpiła dostatecznie stracony obiad u pana Przeciszewskiego; po której, gdy jedno tylko dostojnego gościa spełniono zdrowie, muzyka odezwała się na promie wzywając do podróży, której pan Sulistrowski był przewodnikiem. Mil sześć jeszcze z tego miejsca do Szemiotowszczyzny; w nocy więc ledwo przybyć tam można było. Lecz pan Sulistrowski rozstawił po drodze przeprzęgi, manowce poreperował, a wjazd xięcia w nocy, należał właśnie do programmatu okazałego przyjęcia jego.



XXI.

Przyjęcie — Kompromisa.

Rzadko dziś słyszymy o tych polubownych sądach, które dawniej nader częstemi i zwyczajnemi były, i które albo kończyły najupartsze spory, albo je w samym zarodzie przyduszały. Nie dla tego zapewne, abyśmy mniej mieli processów; nie wcale — juryzdykcye sądowe są niemi zawalone. Lecz wyznajmy szczerze, straciliśmy zaufanie w sobie samych? zaufanie, że mi się niechce powiedzieć, w prawość i cnotę własną, a nikomu nie wierząc, nie możemy też nigdy dobrać sobie bezwarunkowych sędziów.

Póki w sercach było gruntowne przekonanie, że *szlachectwo* i *szlachetność* jest jedno i toż samo, że tytuł bez cnoty, jest próżnym i nikczemnym; póki przekonanie to, ściśle złączone z wiarą, i z bojaźnią sądu Bożego, nie dopuszczało wątpliwości nawet o sumieniu i poczciwości szlachcica; póki nakoniec okrzyki i poniewierka tego tytułu, nie wzbudziły lekceważenia i przymiotów jemu właściwych, a ztąd nie osłabiły w duszach samejże szlachty, względów na godność i wartość osobistą — póty szlachcic obierał śmiało rodzonego brata przeciwnika swego na kompromisarza i był pewnym sprawiedliwości. Lecz gdy... po cóż przeciwny temu, dzisiejszego towarzystwa kreślić tu porównawczy obraz? i prowadzić niewdzięczną morałkę, tytułem i treścią

dalszą tego rozdziału na myśl napomkniętą? po co prawić nieskuteczne komunały? idźmy raczej za ciągiem powieści!

Późnym wieczorem przybył xiąże do miasteczka Szemiotowszczyzny, i tam z podróżnego ubioru w oszmiański mundur się przestroił. Od miasteczka do dworu prowadzi grobla długa na ćwierć blizko mili, a po obu jej stronach ciągną się równejże długości szérokie i czyste kanały. Na sute jej oświecenie pan Sulistrowski zebrał lampy ze wszystkich prawie wileńskich i okolicznych kościołów, i na płytkach, rzędem na wodzie do dna przymocowanych, nie przerwaną illuminacyę około grobli zapalił, którą w oddali zamykał front pałacu, rzęsiście światłem osypany i na szczycie cyfrą xięcia jaśniejący.

Wspaniały ten i samą długością zachwycający widok światła rozlewającego się i podwajanego na kanałach, zadziwił i oćmił xięcia i wszystkich jadących za nim. Krzyczano z pojazdów vivat! bravo! podniecane nieustanną salvą kilkunastu moździerzów we dworze brzmiących, a xiąże kręcił głową i mruczał sobie: »Dalibóg! to lepiej i piękniej niż moje do»bycie Gibraltaru, na które tylko wiele prochu spa»lono, i nic osobliwego nie było.«

Wybite z głowy nad przewozem na Willi, ponure myśli i humory xięciu, tu do reszty znikły, zwłaszcza, gdy zajechał przed pałac i ujrzał się spotkanym i otoczonym pięknêm i świetnêm gronem płci obojej: a na twarzach i ustach wszystkich, radość i ukontentowanie z przybycia jego.

Ludwik będący w tłumie i obojętnêm nań rzucający okiem, nagle wstrząsł się cały.... niespodzianie bowiem postrzegł on na ganku obok gospodyni starościnę, a wnet tuż w licznéj gromadzie dziewic i swoję ulubioną Elżbietę, wdziękiem i urodą jaśniejącą nad wszystkiemi. Serce mu gwałtownie bić za-

częło. Zachwiał się na nogach i musiał oprzeć się o kolumnę gankową, aby nie upadł.... Wzrok w niéj zatopiony pałał mu ogniem, lub mglił się łzami.... Oh! wzrok taki jest sympatycznym, jest zaraźliwym.... i dla tego oko Elżbiety spotkało się z tym wzrokiem... i padło na tę nieruchomą, smutną i żałobną postać, stojącą w cieniu o kilka kroków od niéj.

Oddawna nie widzieli oni jedno drugiego. Starościna wkrótce po sprawie trybunalskiéj, wyjechała z córką w odległe strony, na kolejne odwiedziny, kilku domów swéj familii; może w nadziei, że się znajdzie ktoś, co zastąpi w sercu dziewicy obraz dotąd jéj ulubiony, i że ten rojony *któś* połączy w sobie warunki urodzenia i dostatków, w których ona jedynie szczęście dziecka i chlubę własną widziała. W urodzeniu i dostatkach szczęście dziecka!!! Zwyczajne, a jak mylne częstokroć nadzieje nieuważnych rodziców!... Cała wiosna i część lata przeszła na takich peregrynacyach, nieuiszczających przecie widoków starościnéj: bo chociaż piękność Elżusi gromadziła około niéj mnóstwo wielbicieli, żaden jednak się nie znalazł taki, któryby zajął rzeczywiście głowę interesowaną matki, a serce zakochane córki.

Gdy wrócili, dom Dowiatów zastali okryty żałobą; a cała osierocona rodzina, któréj Ludwik po śmierci ojca został głową, wyniosła się do Wilna, aby na łonie życzliwych krewnych, koić piérwsze bolesne rany, po téj stracie. Starościna zaś odpoczywała w domu i cieszyła się tryumfem otrzymanym w Warszawie, bo za staraniem pana Sulistrowskiego, ujrzała nakoniec owoc swych usiłowań; większy wprawdzie pozorem niż rzeczywistością, bo tylko przedłużenie posessyi starostwa Kapinowieckiego *post fata* teraźniejszego starosty na starszego syna. Nie zwiększało to więc intraty pani starościnéj, ale podniosło konsyderacyę, dla zwiększenia któréj ogłaszała ona i poczciwemu staroście wmawiała, sama nawet

nie tracąc nadziei i nie zaniedbując usiłowań, aby to było tylko wstępem do dalszych i bogatszych beneficyów.

Nie mogła zatém odmówić panu Sulistrowskiemu, gdy ten umyślnym listem zaprosił ją, jako kuzynkę do współgospodarstwa żonie swojéj w czasie bytności xięcia; i lubo przemknęło jéj po głowie, że tam z Dowiatami spotkać się będzie mogła, lecz wnet się uspokóiła myślą, że familia w żałobie nie będzie chciała dzielić szumnych zabaw w Szemiotowszczyznie, ani ją pan Sulistrowski zaprosi.

Wszakże inaczéj się stało: bo pan pisarz litewski miał sobie od ojca jeszcze czy dziada zostawiony proces z Radziwiłłami; przy zręczności więc, miał nadzieję łatwo teraz zakończyć. Karmelici też Głęboccy odzywali się o kombinacyę; z czego znowu miał nadzieję, dostać gotówki potrzebnéj na pokrycie kosztów magnificencyi przyjęcia Radziwiłła. A ufając talentom i doświadczeniu skarbnika, sprowadził go także jakeśmy to widzieli razem z synowcem, pragnąc może Ludwikowi dać zręczność rozerwania się w smutku i przedstawienia xięciu, pożytecznie wpłynąć mogącemu na przyszłość młodego człowieka.

Właśnie gdy oba Dowiatowie pojechali pod Smurgonie za panem Sulistrowskim na przejęcie xięcia, nadjechała do Szemiotowszczyzny pani starościna, a ztąd niespodziane spotkanie się obojgu zakochanych na ganku.

Widokiem Ludwika, jak iskrą elektryczną uderzona dziewica, równegoż z nim doznała uczucia trwogi, pomięszania i żywszego w serce krwi bicia; ale kobiéty w takich nagłych wzruszeniach łatwiéj je tłumić i panować nad sobą umieją. Jednakże lica jego wybladłe i smutek na nich rozlany, tak głęboko ją dotknął, że nie mogąc łez wstrzymać, które-

mi piękne jéj oczy zaszły, aby je ukryć, wmięszała się do tłumu towarzyszek, weszła do pokoju i spokojną twarz przybrać starała się.

Ludwik został na miejscu. To niespodziane zjawienie, odnowiły wszystkie rany jego serca, całą moc młodzieńczego przywiązania, pognębionego wprawdzie brakiem nadziei, ale niewygasłego nigdy i cichym płomieniem trawiącego zawsze jego duszę. Odszedł nakoniec, niewiedząc gdzie idzie; ale unikając odgłosów hucznéj wesołości brzmiącéj w pokojach przy wieczerzy, do którėj właśnie tam zasiadano, trafił aż za bramę i postanowił pójść do miasteczka, gdzie ze skarbnikiem mieli oznaczoną kwaterę, jako i większa część przybyłych gości; a nie wracając już do dworu opuścić jak najraniéj Szemiotowszczyznę, choćby zostawując stryjaszka na miejscu.

Gdy tak rozmarzony i pogrążony w smętniejszych jedne nad drugie myślach, uszedł Ludwik z połowę grobli, oświeconéj tak, że ją całą prawie z końca w koniec przejrzeć można było; postrzegł biegącą naprzeciw siebie czwórkę i wnet usłyszał dźwięk trąbki — znajomą nótkę — i nakoniec:

„Byli nasi panowie,
„Na kontraktach we Lwowie etc."

A to porucznik przybywa, pomyślił; i ledwo pomyślił, porucznik mijając rzucił nań okiem i krzyknął, stój!

— A dalibóg, jeżeli się nie mylę, to Ludwik!

— Tak—jak się masz kochany poruczniku?

Stelnicki wyskoczył z wozu, uściskał młodzieńca pokilkakrotnie, i nakoniec, cóż to jest? zapytał. Czy cię wypędzono z kompanii? Aż tu dochodzą wiwaty i huki, a ty samotnie wędrujesz wstecz. Prawda, tyś w ciężkiej żałobie. Strata boleśna, nie ma co mówić! ależ taka wola Pana Boga! Pochowałeś ojca uczciwie i bogobojnie: byłem świadkiem i oddałem ostatnią posługę przyjacielowi szkolnemu jeszcze, a

poczciwemu człowiekowi, jakich coraz mniej na świecie... ale cóż robić? Szanuj teraz zdrowie własne, bo w tobie jedyna podpora i pociecha matki twojej i rodziny. Fortuna chwała Bogu szlachecka dobra; a i skarbnik nie komuż, tylko tobie zbiera.

Wszystkich tych potocznych i zwyczajnych perswazyj porucznika, słuchał Ludwik jakby nie słyszał: na wspomnienie ojca, oczy mu łzami zaszły, i milczał:

Porucznik popatrzył nań uważnie i rzekł potém biorąc go za rękę — Ludwiku! wiesz i wierzysz zapewne; bobyś grzeszył śmiertelnie wątpiąc, żem twój i wasz prawdziwy przyjaciel. Mówiło się ci, co zwyczajnie mówić wypada w podobnych zdarzeniach, których ani cofnąć, ani poprawić nie można; i kto na szumne zdobywa się perory, których ja nie umiem, chcąc pocieszyć strapione serce syna po stracie rodzica, ten nie zna ludzi, a ja ich znam, bo nie z jednego pieca chleb jadłem mospanie! Boska to łaska czuwa nad sierotami i ich pociesza... dla tego i was nie opuści! a w niej ufając nie oddawaj się rozpaczy, która tak dalece na twojej twarzy znaczna, że mi się koniecznie zdaje, że jakaś nowa biéda do pierwszej ci przybyła, i tak dwie cię razem dręczą. Wyspowiadaj się szczerze mój Ludwisiu przed przyjacielem. Może kto cię skrzywdził na honorze? Ja z tobą mospanie i ten brat szlachcic!!... tu uderzył po pałaszu, który nie dla proporcyi noszę przy boku, ale na obronę swego i przyjaciół honoru.

Tak szczera a życzliwa apostrofa porucznika, ujęła do żywego Ludwika; ścisnął on go za rękę, i dziękuję, rzekł z wylaniem się; dziękuję za twą życzliwość i przyjaźń... nikt mię nie obraził.

— Dla czegoż uciekasz? wracaj więc—siadaj ze mną.

— Nie mogę kochany poruczniku, nie mogę!

— Oho! więc próżno ukrywasz się, jest w tém

sęk! jest — i nie pojadę aż się nie dowiem, albo wrócę razem z tobą, bo cię w takim stanie opuścić nie mogę. Śmiało chłopcze! ja nie przez próżną ciekawość pytam, i muszę ci znowu, Boże odpuść, powtórzyć, żem twój przyjaciel; a wierz mi: *non sic tractantur amici!* (*)

Ludwik sam nie wiedział co począć? pomyślił zresztą, że gdy Stelnicki dojedzie do pałacu, postrzegłszy tam starościnę i Elżbietę, łatwo domyśli się przyczyny jego ucieczki; a ze wstępnym i śmiałym swoim humorem, gotów będzie jakiém gorliwém a niewczesném słowem, zakłopocić Elżusię. Wolał go już więc uprzedzić.

— Ot bo widzisz kochany poruczniku... mówił zatem przerywając się za każdem słowem, kiedy chcesz koniecznie wiedzieć dla czego odszedłem... i kiedy mnie dasz słowo, że ani wspomnisz tam o mnie przed nikiém... porucznik kiwnął głową na znak zgody — to ci powiem... żem tam niespodzianie postrzegł... starościnę.

— Starościnę!... Starościnę! wykrzyknął Stelnicki, a zatém i Elżusię!... jesteśmy w domu... to inna materya!... może ta pani znowu na Turka fortragować zechce!... Ale, ale po cóż uciekać? Ach! mój Ludwisiu, tyś diabelnie jeszcze zakochany! rozumiem — trudna rada z tobą — i z tą babą — przynajmniej, że gdyby wiedzieć, czy Elżusia dla ciebie stała?... wracaj jednak — wracaj — a w tym hurmie i zamięszaniu łatwo się znajdzie zręczność zbliżenia się ku niej ...

— Nie kochany poruczniku — nie wrócę: nie jestem w stanie wrócić! owszem jutro rano postanowiłem odjechać. Żegnam więc cię, i śpiesz się, bo się spóźnisz na wieczerzę.

— A gdzie macie lokatę! zapytał porucznik? bo tu

(*) Nie tak się obchodzi z przyjaciołami.

zapewne trudno o kąt przy takim zjeździe: uważałem, że miasteczko pełne.

— Właśnie mieszkamy ze stryjem w miasteczku; i jeżeli nie będziesz mógł lepiej się pomieścić, prosiemy do nas; po moim zwłaszcza odjeździe będzie wygodniej jeszcze.

— Więc tu jest i skarbnik?

— Jest — jemu tylko powiedz kochany poruczniku, żeś mię spotkał, i że ból głowy zmusił mię powrócić na kwaterę, aby mię darmo nie upatrywał i nie szukał w kompanii; więcéj zaś nikomu... dałeś słowo poruczniku!

— Rozumiem — rozumiem. No, więc do widzenia się — do widzenia się — z jutrzejszym twoim odjazdem... to *homo proponit—Deus disponit!*... obaczymy — wracam do was na noc. Nie trąb w bramie, bo nikt nie posłyszy dzisiaj, i ruszył.

Tymczasem xiąże zasiadł do wieczerzy, między gospodynią domu i panią starościną. Obie w grzecznościach i komplementach przesadzały się nawzajem: jedna z dworną i wyższą wielkiego świata delikatnością, jedwabne mu; że tak powiem i wonne sypała słówka: druga poczciwa, staroświeckich obyczajów matrona, za każdą potrawą do uprzykrzenia prosiła xięcia o apetyt, i dokładała gwałtem na talerz jego wyborniejsze przysmaki.

Ale xiąże nie podobał sobie ani w komplementach, ani w delikatnych frykasach: na pierwsze prawie nie odpowiadał, i darmo je tracąc starościna, myśliła sobie: «Oj, słusznie cię zowią niedźwiedziem litewskim:» a za drugie dziękując gospodyni jak mógł najgrzeczniej, odsuwał jednak talerze, aż w trzecim daniu, które na stole rozstawiono, postrzegłszy na przeciwnym końcu kapłuna — za pozwoleniem pisarzowéj dobrodziki rzekł, życzyłbym aby ten jak mi

się zdaje, kapłun, który oto tam stoi na półmisku naprzeciw xiędza kanonika Brzostowskiego, i na który jego przewielebność z pożądaniem pogląda, przeszedł tu ku mnie, a zachęcać mnie do smacznego apetytu nie będzie potrzeba.

Postawiono więc wnet przed xięciem żądany półmisek.

— I parę jarząbków przy nim, dodała uprzejma gospodyni.

— Ptaszki, to fraszki, rzekł xiąże zatopiwszy się w kapłunie; a gdy go zmógł całego i dokończył z nim wieczerzę, dano hasło z moździerza....

Wnet odemknęły się drzwi i okna przywarte dotąd okienicami od ogrodu: zabrzmiała muzyka w szpalerach, i okazał się cały ogród wspaniale oświecony, do którego kompania od wszystkich stołów powstawszy, zeszła. Na środkowej zaś szerokiej równinie zażegły się ognie sztuczne, i tysiące rakiet strzeliło razem w niebiosa, brylantowym deszczem napełniając horyzont i spadając na ziemię.

Vivat! w téj samej chwili rozległ się w ogrodzie, i jakby echem stokrotny powtórzony za ogrodem, gdzie tłumy ciekawego ludu, kilkanaście beczek miodu roztaczało. Vivat! xiąże, vivat!!! Liczne kielichy za przewodnictwem gospodarza podniosły się na to hasło w górę i spełniono zdrowie xięcia z uniesieniem.

Xiąże rozczulony do łez, ściskając pana Sulistrowskiego:—panie Aloizy! panie kochanku! rzekł,—deklarowałeś mi w Nieświżu, że mnie po szlachecku przyjmować będziesz, a tu po królewsku przyjmujesz!

— Panie! dajże kielicha!

Podano na srébrnéj tacy, wielki kryształowy kielich i starym węgierskim maślaczem napełniony po brzegi; wziął go xiąże w rękę, a podniosłszy w górę, wykrzyknął z mało-rossyjska:

„Sztob w hetoj chaty,
„Licha nie znaty!

wychylił duszkiem—a szał objął zgromadzenie. Słowa xięcia z ust do ust z kielichem tymże przechodziły; pijatyka zaczęła się zapamiętała.

Pan Oskierka kasztelan, gdy mu się on w ręce dostał, wycisnął się z tłumu przed xięcia, i poważny wiekiem i zacnością urzędu staruszek, oparty na kilofie, wykrzyknął z dobitnym przyciskiem:

„Na pohibel temu,
„Kto nie szczyry jemu!

spełnił i siwego otarł wąsa—*Kto nie szczyry jemu! kto nie szczyry jemu!* wołali wszyscy i hurmem rzucili się w objęcia xięcia.

Xiąże wzruszony i serdecznością braci i starym węgrzynem, płakał ściskając wszystkich i powtarzając bezustannie — panie kochanku! Staroświecka poczciwość! Staropolska cnota! Szlachecka krew, panie kochanku! Gdybym trupem padł, to was nie odstąpię! — Wszyscy jeden na drugim legniem trupem za ciebie xiąże! wszyscy!!!

Damy i dziewice przechadzały się tymczasem po ogrodzie; i te gromady białych i lekkich postaci to w jasném okazujące się świetle, to niknące w pół cieniach gęstszych szpalerów, ogarniały czarownym urokiem ten fantastyczny obraz, ten tłum szalejącéj zgrai!...

Lecz gdy zwyczajny nasz przy ochocie podnieconej puharem symptomat żywszej czułości dla kobiet objawiać się i tu począł, gdy młódsi odrywając się od gromady i błąkając się z pełnemi kielichami, rozrywali ich grona, a u stóp pięknych i na klęczkach spełniali toasty; gdy u nie jednej ledwo obroniony trzewiczek miał zastąpić miejsce kielicha — mimo pobłażliwe tych hołdów przyjęcie, osądziły poważniejsze mamy, że czas już był onych uniknąć. Zwróciły się zatém do pałacu, mijając zdaleka burzliwą rzeszę, na którą obok matki idąca Elżusia,

nie po raz setny niespokojném rzuciła okiem, śledząc zjawienia, które ją na ganku spotkało. Zawsze jednak omylona, straciłaby może pewność, że ono rzeczywistém było, gdyby nie dostrzegła na ustroniu stojącego i nienależącego wcale do powszechnej ochoty skarbnika, a rozmawiającego żywo z porucznikiem, którego także poznała; lubo oba unikając jakby spotkania się z damami; do ciemniejszego szpaleru weszli.

Starościna postrzegła także obódwóch — zdaje mi się rzekła ona do córki, że oto tam poszli, jakby uciekali przed nami, skarbnik Dowiatt i kochany nasz porucznik Stelnicki, niech go licho weźmie! bo mu nie mogła zapomnieć maskarady: czy nie uważałaś Elżuniu?

— Tak i mnie się zdało, odpowiedziała ona kryjąc swe wewnętrzne pomięszanie.

— Lampy już gasną, i trudno rozpoznać twarze, dla tego obie się może mylimy, bo Dowiatt tu być nie może i nie powinien, skorom ja zaproszona; a porucznik gdyby był, nie stroniłby od kielicha, ale piłby ze wszystkiemi razem i lepiej od wszystkich.

Ta uwaga matki wznowiła znowu wątpliwość w sercu biednej dziewczyny, idącej dokończyć bezsennej dla niej nocy w niepewności i trwodze: a jednakowoż wzrok się ich nie mylił. Bo porucznik po spotkaniu się z Ludwikiem, przybywszy przed ganek, kiedy już wszyscy byli w ogrodzie, i postrzegłszy, że nie mógł tak dostojnie i uroczyście, jakby sobie życzył zaprezentować się gospodarzowi i przypomnieć się xięciu; umyślił na jutro odłożyć swój wjazd wspaniały, któregoby dziś nie słyszano ani widziano: a teraz wejść *incognito*, wyszukać tylko skarbnika i z nim wrócić na kwaterę.

Znalazł go łatwo dalekiego od tłumu, i powitawszy zcicha, rozpoczął konferencyę o Ludwiku, którego właśnie chciał szukać skarbnik. Konferencya ta przedłużała się już od niejakiego czasu i wiele pro-

jektów przebrała, gdy się wzajemnie ze starościną postrzegli, a od której stroniąc, weszli do szpaleru, i wkrótce dostali się do wozu porucznika i odjechali do miasteczka.

Ochota przedłużała się jeszcze, nim węgrzyn nie zaczął ćmić oczu i trudnić języka wylewającym się serdecznym oświadczeniom, przywiązania do xięcia i między sobą wzajemnym. Jedni siedzieli na murawie i próżno się mocowali do powstania, inni stali. wprawdzie jeszcze i bełkotali jakieś staroświeckie, a niewyrozumiane oracye; inni nieprzestając powtarzać hasła pana Oskierki, ściskali bez ustanku xięcia siedzącego na krześle i odzywającego się także niewyraźnie: »Ja wasz brat! Ja wasz sługa! Staroświecka poczciwość! choćby trupem paść! dość panie Aloizy dość panie kochanku!...

Gospodarz tylko sam jeden się oszczędzał, i za danym przez niego znakiem, znowu mnóstwo rac wzniosło się w górę, muzyka zabrzmiała marsz—*Vivat!* odezwało się na wszystkie strony... i tak się zakończyła owa noc, jakby z *Tysiąca nocy* naśladowana; może ostatnia w Litwie łącząca potężnego magnata, a duszą i sercem szlachcica, braterstwem uczuć i obyczajów, z ziomkami bracią jego.

Dzień następny poświęcony być musiał odpoczynkowi i spokojniejszym zabawom. Kompania około południa ledwo zbierać się poczęła do dworu; ale skarbnik niedozwoliwszy Ludwikowi odjeżdżać do powrótu swego, rano tam pojechał, i wpuszczony do gabinetu pana pisarza, długą odbył z nim konferencyę. Po niej powrócił do miasteczka, odsznurował swoję walizę, a w niej więcéj było papierów niż manatków; wyjął z niej dekret ziemstwa wileńskiego w sprawie ze staróściną, o którego treści z początku tej seryi czytelnicy świadomi, i dekret trybunalski w sprawie

Karmelitów z Sulistrowskim. Wiedział bowiem że Karmelita z Głębokiego siedzi od dni kilku w plebanii i czatuje na dogodną chwilę, zagajenia za pośrednictwem xięcia kombinacyi. Włożywszy oba dokumenta za nadrę—no, rzekł, poruczniku dobrodzieju, czas jest i nam stawić się na pokoje; pojazdy jak widzicie jadą tam już a jadą, a waćpan panie Ludwiku, czemu dotąd nie ubrany?

— Ja bo mój kochany stryju, jechać tam nie myślę; owszem wybieram się wnet do powrótu.

— A to *quo modo?* mówiłem, że to być może. Zarekomendowałem waćpana xięciu, a więc mogą zapytać mnie gdzieś się podział? to raz; a powtóre *inter nos loquendo* odbyłem dziś *colloquium* z panem pisarzem; ponieważ tu jest i starościna, więc może przyjść do jakichciś ewentów... i kombinacyi, za pośrednictwem takiém, któremu starościna odmówić nie będzie mogła, ani się oprzeć. A zatem prezencya waćpana jako aktora rzeczy, może być koniecznie potrzebną.

— Tfu Ludwisiu! odezwał się porucznik: gdy nie pojedziesz, zdawać się będzie, że alboś starościny się uląkł, alboś Elżusię znienawidział, a biedaczka musi cię kochać zawsze!!!

— *Inter nos lequendo*, tak mnie upewnia Pani Dulska; i namieniłem cóś o tém i panu pisarzowi.

— A cóż on na to, zapytał Stelnicki? a Ludwik stanął osłupiały.

— On na to... on na to, kiwnął głową — *sperandum* zatém...

— I cóż *sperandum?* zapytał niecierpliwy porucznik.

— *Inter nos loquendo.... sperandum...* że postąpi sobie roztropnie.... tak jak waćpan panie Ludwiku postąpiłbyś nieroztropnie, gdybyś nie został i odjechał. Bóg wie jakieby ztąd wnioski *publicum* wyprowadzało, a ja rozpocząwszy traktacyę interesu ważnego dla was, wstydziłbym się musiał. Dla tego su-

plikuję *amantissime* (*), abyś się nie dziwaczył, i *sine mora* (**) ubrał się i z nami jechał.

Możeby te wszystkie ekzorty stryja i porucznika, nie zrobiły żadnego skutku, a wzmianka napomknięcia przed panem Sulistrowskim, o uczuciach jego dla starościanki, możeby mu do reszty śmiałości ujęła, gdyby słuchającemu perory Skarbnika, nie przyszła na myśl owa łezka, którą postrzegł wczora w oku Elżuni i gdyby Skarbnik nie dodał swéj wiadomości od Dulskiej, że ona kocha go zawsze. Ta wiadomość i ta łezka, pokonała w nim trwogę, pobudziła żywą chęć, widzenia raz jeszcze ulubionej, i łatwiej skłoniła do woli stryja, niż jego *sperandum*.

Tymczasem bryka jadąca do dworu, mijała okienka ich kwatery.—Oho! zajrzawszy na oną wykrzyknął Skarbnik, Karmelita pojechał; nie mam więc ani minuty do stracenia. Aleź xiężyna ma widać dobrych szpiegów we dworze! dowiedział się zapewne, że dziś xiąże i wszyscy odpoczywać będą, a zatém czas najsposobniejszy do traktacyów; jadę więc, a proszę porucznika dobrodzieja, abyś nie dopuścił panu Ludwikowi, spernować moją obligacyą i przywiózł go z sobą do dworu.

Zakładano już i bunczuczny, a znajomy nam ekwipaż porucznika; tylko zamiast siwych kuców, dawno przehandlowanych, czwórka ciemno-wiszniowych, rośléjszych i figurniejszych była w zaprzęgu. Obejrzał on ją troskliwie, tarł sam blachy i guziki na chomątach, wbił chłopakowi woźnicy kaszkiecik z piórami na bakier, odstąpił kroków kilka dla przypatrzenia się jak to wszystko wygląda, i taką lakoniczną dawał mu instrukcyę:

—»Słuchaj!··· *Cyt!* nim nie powiém *plaż!* wten-

(*) Najukochańszy.

(**) Bez zwłoki.

»czas trzy razy *z bicza!* potém *trąbkę w pysk!* »potém *piej!* a potém aż do ganku *plaż!*«

— Ależ poruczniku, czy nie za huczno wjeżdżać będziemy?—rzekł Ludwik słyszący tę instrukcyę.

— Jak to? nie uwierzysz jak wiele zależy, na dobrym piérwszym wstępie. Wjeżdża mospanie oficer pińskiej brygady! quondam konfederat mospanie! Szumno i huczno! bo tak przystoi... Znam Radziwiłła, od razu mię polubi za taki wjazd, i u wszystkich inna konsyderacya mospanie, bo jak cię widzą tak cię piszą. No idźmy ubrać się Ludwisiu, konie gotowe stać długo nie lubią.

Gdy wyszli wkrótce do wsiadania, sprzeczność obu nie tylko w wieku, lecz w ubraniach i obliczach uderzała widocznie. Porucznik ustroił się galowo, ale podług swego wyobrażenia i gustu; a przyznać trzeba było, że znał dobrze co mu do figury i twarzy przypadało. Ubiorem chciał on zda się wytłumaczyć widzom, że był żołnierzem, że nim już nie jest, lecz, że kocha swą wojskową przeszłość i od jej znaków odwyknąć zupełnie nie może. Na białym więc atłasowym żupanie, krótki granatowy kontusz, po wszystkich szwach i brzegach złotemi sznurkami oszyty, spiął on zamiast pasa takimże złotym szérokim pendentem, zaszpilonym srebrną blachą, na której cyfra królewska jaśniała i na nim krzywą turecką szablę zawiesił. Na lewém ramieniu suta mu szlifa, przez piersi zaś taśma z szerokiego galonu z ładownicą z blachy złotej, błyszczały; do tego ogniem tlała brylantowa szpinka na szyi i takiż pierścień na ręku.

— A cóż? rzekł on do wychodzącego z nim razem Ludwika, kładąc na głowę axamitną karmazynową magierkę i poglądając na siebie z zadowolnieniem. A cóż? precz od złota mospanie! u nas tak!...

Ludwikowi żałoba nie dozwalała żadnych świetnych odzieży; lecz wybierając się z Wilna, na tak gro-

madny festyn, musiał on garderobę swoję o ile można przysposobić do przyzwoitości. Zamiast więc hrubej ratyny, z cienkiej i lśniącéj się sajety czarnej, na czarnym pod spód atłasie, uszyty zgrabnie ubior polski, pasem czarnym materyalnym ze srebrną frężlą przepasany, okrywał i znaczył piękną kibić młodzieńca, na którego twarzy tak nięgdyś żywej i wdzięcznej, podwójny dziś smutek w duszy mu tlejący, bladem czołem i przyćmnioną źrzenicą wyrażał się oczewiście; a jednak tym interesowańszym czynił go, oczom dla niego życzliwym i sercom dlań skłonnym.

Gdy ruszyli, Porucznik z ukosa poglądając na Ludwika i niewiele dobrego wróżąc z jego miny:—bądź lepszej myśli, mój kochany Ludwisiu, rzekł: pokazać się młodemu piérwszy raz na takiej publice z twarzą męczennika, a z humorem ogranego szulera, jest to paść na opinii bez powstania, a Starościnej będzie i po duszy żeś tak z tropu zbity.

Oburzona temi słowy, miłość własna młodzieńca zażywiła mu oko.

— Wszakże cię nikt do tańca nie poprowadzi, mówił dalej Porucznik, i wesołość w twojej pozycyi, byłaby również szpetną, jak i ta twarz twoja do lamentów skrzywiona, a z którą Elżunię bardziej przestraszysz niżeli za serduszko ujmiesz.

Ten argument nie był także bez skutku. Prawdę mówi, pomyślał Ludwik, trzeba nad sobą jakkolwiek panować i po wczorajszemu nie stracić głowy.

Wtém Porucznik pomiarkowawszy, pewną dostateczną dystancyę, i widząc już kompanię na ganku, zawołał: *plaż!*

Więc zaczęła się spełniać instrukcya od trzykrotnego hasła z bicza, i tak z kolei — aż po trąbce i śpiewie, z ostatnim onego trzaskiem, śpieniona czwórka stanęła wryta przed gankiem.

Nie omylił się Porucznik, gdy wróżył pochlebne dla się wrażenie ze swego wjazdu; i nim jeszcze minął bramę, widząc go i słysząc xiąże, zapytał pana Sulistrowskiego, przerywając zagajaną kombinacyę z Karmelitą stojącym podle. — A toć panie kochanku, jakiś gracz przybywa? Słyszycie trąbkę? wyśmienicie! Zda mi się, że to będzie Porucznik Stelnicki: on niezawodnie — zgadłym go po znajomej tu u nas wszędzie trąbce, ale i samego dostrzegam — któż to z nim drugi?

— To mój synowiec, — rzekł pan Skarbnik: — wczora miałem honor prezentować go xięciu panu. A o którym ja dziś W. X. Mości namieniłem, — rzekł pan Sulistrowski.

— Aha! wiém panie kochanku.

Tu wysiedli oba przybyli z bryki; Porucznik przywitawszy prędko spotykającego ich gospodarza i na później dalszy z nim odkładając rozhowor, stanął przed xięciem, i rzekł wyciągając magierkę do kolan jego:

— »Biorę assumpt rekomendowania siebie W. X. »Mości, od niedźwiedzia.... to jest od przypomnie»nia, żem kiedyś miał honor konsystować z moją »kompanią w Łachwie, i ubić go przypuściwszy na »kroków pięć, a to w oczach W. X. Mości! Biało»szyja bestya — wielka jak koń! Zjednałem naten»czas applauz W. X. Mości, który mi odzywa się aż »dotąd w sercu... a serce to składam dziś u stóp »xięcia pana i dobrodzieja! Tadeusz ze Stelni Stelni»cki herbu Róża, Porucznik pińskiej brygady.«

— Dziękuję panie kochanku, panie Poruczniku, dziękuję uniżenie i serdecznie za tę jego rekognicyę, dla mnie, — odpowiedział xiąże ściskając go uprzejmie. — Dalibóg gracz! czy nie mówiłem? zapewne z panem Pisarzem Litewskim dawna znajomość!

— O i bardzo! dawny ja sługa tego pana: a dowiedziawszy się z powszechnego rumoru na litewskim świecie, że on będzie miał zaszczyt przyjmować W.

X. Mość, w progach swoich, pośpieszyłem abym miał także szczęście oglądać oblicze pańskie, i cieszyć się powszechną radością, z tak wysokiego i ukochanego gościa.

— Wielce obowiązany ci jestem,—rzekł Sulistrowski, — dajesz dowód żeś mój przyjaciel; a do rekomendacyi Porucznika mówił obracając się do xięcia, muszę dodać, że równie tęgi myśliwy, jak i znawca na konie.

— Oho! przypomniałeś panie dobrodzieju — przerwał Porucznik moje porcenelo-strokate — nie było w Litwie i nie będzie takich drugich.

— Obaczymy, — rzekł uśmiechając się Sulistrowski, — jeżeli nie maścią to cnotą, może się znajdą podobne. Właśnie mam się chwalić przed xięciem moją stajnią — kazałem wyprowadzać.

Stelnicki natenczas zaczął powitania ze wszystkiemi: większa część znajoma, winszowała mu wybornej rekomendacyi. A tymczasem pan Sulistrowski, wziął Ludwika za rękę i stawiąc go przed xięciem rzekł:

— Dozwol mi W. X. Mość zalecić względom swoim tego młodzieńca: Stracił on ojca, niechże ma opiekuna w W. X. Mości; a wart tego, bo jest z rodu najżyczliwszych sług domu xięcia, i przymiotami swemi pięknemi, obiecuje zacnego z siebie obywatela krajowi i ziomkom.

— Panie kochanku, miło słyszeć taką zaletę. Pamiętam Augustyna Dowiata, plenipotenta *quondam*, mojego pana ojca xięcia hetmana; jak on ci się godził?

— Stryj to mój mości xiąże.

— Podobno się zakapturzył — czy żyje jeszcze?

— Żyje mości xiąże, i teraz podług reguły swego Trynitarskiego zakonu, wybrał się do Turcyi, dla wykupna niewolników z niewoli pogańskiej.

— Ach! panie kochanku! po moich tam śladach chodzić będzie.

Wszyscy wiedzieli dobrze, że xiążę nigdy nie był w Turcyi; ale że na konto kilkoletniej emigracyi swojej, wymyślał śmieszne anegdoty i awantury, po różnych jakoby krajach mu zdarzone, a dowcipnym i oryginalnym sposobem je opowiadał; przeto otoczyli go kołem, a ktoś zapytał: — A jakże się tam xięciu powodziło?

— Rozmaicie panie kochanku — i tak owak — ale na końcu jak poznałem się z sułtanem, to tak pokochaliśmy się i do takiej przyszli komitywy, że on mnie chciał zrobić *Kapi Agą.*

— A cóż to znaczy *Kapi Aga?*

— A to panie kochanku, ważny urząd! to po naszemu tłómacząc, permodum *sekretarz seraju.*

— Czemużeś xiąże nie przyjął tej ważnej funkcyi? i jak zdaje się mającej zkąd inąd niejakie zalety?

— A tak, panie kochanku tak! przyjąłbym, pewnie przyjąłbym; ale stoi w alkoranie, i sam wyczytałem: że kto jest syndykiem bernardyńskim, ten nie może być *Kapi Agą.*

Rozśmieli się wszyscy prócz xięcia, który jak zwykle tonem prawdy i rzeczywistości, takowe swe opowiadał improwizacye.

— Powróciwszy do Nieświéża, — mówił dalej xiąże, — chciałem wysłać xiędza Katembryka do Konstantynopola, dla nawrócenia jego sułtańskiej mości, aby się ochrzcił i przyjechał do Litwy; dawałem i suplement na drogę i list mój do niego. Ale cóż? odpowiedział on: »niech jedzie X. Dederko, jemu bliżej z Ołyki do Stambułu.« Prawda: więc ja do xiędza Dederki z propozycyą: a on »niech jedzie xiądz »Toczyłowski, on biskupem *in partibus infidelium* (*), jego więc rzecz nawrócić samego herszta niewiernych,« i tak żaden nie pojechał; ot takato

(*) W stronach zamieszkałych przez niewiernych.

gorliwość naszego duchowieństwa względem naszej świętej wiary.

Tymczasem wyprowadzono konie na środek obszernego dziedzińca, w okopaną w krąg ujeżdżalnię. Na czele, wiedziony przez dwóch masztalerzy szedł dzielny arab kary, w bogatym węgierskim rzędzie, dodającym mu ozdoby i zachęcającym do próby na nim zręczności i odwagi ochotników. Mało jednak takich znaleźć się mogło; bo ogień tryskający z oczu konia, piana ziejąca z nozdrzy i pyska, oraz silne i krnąbrne susy jego, nie wróżyły szczęśliwego losu jeźdzcowi. Przy nim kilkanaście razem stanęło koni do tego przeglądu. W owym czasie wszyscy jeszcze byli mniej więcej znawcami i amatorami stadnin, dostarczających możniejszym pięknych zaprzęgów i znacznej intraty, a szlachcie choć pary co rok koników i za nie kilkudziesięciu dukatów do szkatuły: wszyscy więc zeszli na dziedziniec i opatrywali je z upodobaniem.

Stelnicki nad każdym prawie odbywał uczoną rozprawę, o składzie, rodzie i zaletach każdego. Przyznawano mu w tym względzie znajomość gruntowną, ale nikt się nie przesadzał w pochwałach któregokolwiek konia pojedyńczo, bo znał każdy, że właściciel, czekał tylko na tę pochwałę, aby wnet darowizną podobającemu przysłużyć się.

— A cóż poruczniku? — odezwał się Sulistrowski, — czy nie warte twoich porcenelo-strokatych?

— Nie ma już ich panie pisarzu dobrodzieju! nie ma już ich i na tym świecie bodaj! a zatém *de mortuis, aut bene, aut nihil.* (*)

Rozśmiano się na ten dowcipny wykręt poruczni-

(*) O umarłych, albo dobrze, albo nic.

ką i zgromadzono się około osiodłanego araba, któremu się i xiążę szczególniej przypatrywał.

— Ten koń, panie kochanku, powiedziałbym, że wyprowadzony ze stajni mojego przyjaciela sułtana, a stojąc tu osiodłany od kwadransa narąga się młodzieży naszej, nieśmiejącej go dosiąść. O gdybym był młódszym!

Na taką przymówkę xięcia, wielu młodych kawalerów spójrzało po sobie, ale żaden nie wystąpił; widząc jeszcze, jak liczne grono dam i mężczyzn mogło być świadkiem zdarzyć się mogącego szwanku.

— Jeżeli pan pisarz dobrodziej pozwoli? — rzekł Ludwik przystępując do konia.

— Pozwalam z ochotą, — odpowiedział Sulistrowski, — ale życzyć nie mogę; bo widziałem nieraz, jak silniejsi zapewne od pana masztalerze, spadali zeń jeden po drugim; a nawet memu koniuszemu, który go najeżdża, nie zawsze udaje się przejechać go i pokonać.

— Obaczymy, — rzekł Ludwik i zabierał się do wsiadania.

— Brawo! — zawołał Stelnicki, zatrzymując go, — brawo! Smiało! wiém żeś jeździec dobry: wszelakoż posłuchaj mnie. Znam konie tej rassy; miałem bułanego a dister takiego; pamiętaj, że one są miękkiego pyska: nie spinaj go zatém broń cię Boże! i ciszej dodał, wypuść go powolnie — niech leci, a daj mu tylko dyrekcyę na groblę i trzymaj się. Spaśli go nadto; zastały jest; widać pan koniuszy nie lubi go często dosiadać: jak całą groblę przeleci po piasku, zmorduje się, a wtenczas zawróć i przyjedziesz tu jak na baranku.

— *Inter nos loquendo*, ta próba skończyć się może na złamaniu karku, — rzekł niespokojny skarbnik.

— Milcz kauzyperdo! — zawołał niecierpliwie porucznik — i wnet postrzegłszy się, dodał — skarbni-

ku dobrodzieju nie odbieraj energii młodemu! Ludwik tymczasem już był na koniu...

Ten wstrząsł się i parsknął, rozrzucając pianę w około... kark w łęk przechylił, co mu tém piękniejszą dało figurę, i z miejsca dał kilka gwałtownych szpryngiów, probując jakoby jeźdzca i używając sposobu, którym prawie każdego od razu z siebie pozbywał.

Ale nowy ten jeździec, gdy nań siadł, przyrósł zda się razem do niego.

— Ach! ach! krzyknęły w oknach damy.

— Brawo! brawo! krzyczano na dziedzińcu.

Ludwik pomny na rady doświadczonego porucznika, puścił lekko wędzidła i zaledwo dawał je uczuć drażliwym ustom krnąbrnego zwierza. Gryzł on je złośliwie, miotał się, słupił, i w takich kaprysach, susach i skokach, obszedł ujeżdżalnię.

— Brawo! powtarzano, brawo! i krzyczano dosyć! dosyć!

Ale Ludwik zawrócił ku bramie i tam dał poczuć koniowi, że niesie mężnego i silnego pana nad sobą, nie zaś lękliwego i wątpliwego berejtera. Ścisnął go mocno kolanami, trącił obcasem, cmuknął i wypuścił na groblę...

Gdyby można było zgadywać na pewno, instynkta zwierząt, powiedziałbym, że koń omylony w nadziejach, i poznawszy wartość jeźdca, postanowił teraz dowieść mu własnéj. Bo w mgnieniu oka rozciągnął się aż ku ziemi i jak prawdziwy potomek sławnych wychowańców pustyni, lotem chyba ptaków doścignanych, smignął czarny koń i czarny jeździec po długiéj grobli, i wnet znikł w oddali z oczu, ciekawie i niespokojnie nań patrzących....

Jeszcze kilka kobiécych ach! wśród których może było jedno troskliwsze, dało się słyszeć przez okno, a skarbnik rzekł do pana Sulistrowskiego.— Czy nie trzeba kogo posłać za tym nieuważnym śmiałkiem: *inter nos loquendo* lękam się...

— A któż go dopędzi mój kochany skarbniku?

— No, no, bądźcie spokojni, rzekł porucznik, ja ręczę, że wróci najbezpieczniéj; i uśmiechał się gładząc czoło, bo był kontent z mądréj swéj rady danéj Ludwikowi. Nie chwalił się z niéj jednak, chcąc zostawić wszystkę chwałę swemu młodemu przyjacielowi, z téj śmiałéj próby.

— Panie Aloizy, rzekł xiąże zbliżywszy się konfidentnie do pana Sulistrowskiego: to walny chłopak panie kochanku! Młoda krew, a przy zaletach innych jakie mu przyznajesz, wart czego lepszego jak patrociniów stryjowskich. Starościna bałamuci ze swoim babskim uporem.

— To też polecam go względom W. X. Mości w téj szczególniéj okoliczności.

— A już ja go nie opuszczę!... daruj mu tego konia panie Aloizy.

— Z całego serca; ale pewny jestem, że nie przyjmie: sprobuję jednak.

Wytężony wzrok wszystkich i ciekawe oczekiwanie, przerwało rozmowy; krótkiemi tylko słowy ów nadzieję, ów wątpliwość, inny jedno i drugie «może «wróci — może nie wróci» wyrażał. Aż wkrótce zabrzmiał okrzyk powszechny. — Wraca! wraca!

Jakoż zbliżał się wolnym i pięknym galopem, a wkrótce przebył bramę, na śpienionym ale spokojniuteńkim koniu Ludwik, i głaszcząc go wdzięcznie po szyi objechał wśród hucznych i z okien i z dziedzińca oklasków, jeszcze parę razy ujeżdżalnię, zsiadł nakoniec i oddał go masztalerzowi.

Arab parsknął, wstrząsł się i zarżał; a całe stado odpowiedziało głośném i szérokiém rżeniem, jakby chorem dzielnému reprezentantowi ich rodu.

Spotkał go najpiérwszy xiąże, uścisnął serdecznie, a za nim wszyscy. Podszedł i Stelnicki: a co? rzekł on z cicha.

— Mądrze poradziłeś kochany poruczniku, dziękuję.

— Panie Ludwiku, rzekł Sulistrowski, ponieważ potrafiłeś pokonać upor i swawolę tego warjata, a u mnie nikt tego nie może dokazać, więc zmiłuj się weź go sobie; przynajmniéj go darmo karmić nie będę.

Takim sposobem oświadczając dar swój, Sulistrowski chciał jak najzręczniéj uśpić drażliwą delikatność młodzieńca.

— Dziękuję, najpokorniéj dziękuję, ale za względy tylko, których mi dowód pan dobrodziéj dać pragniesz, odpowiedział Ludwik, szczérym i wzruszonym głosem: przyjąć wszelako konia nie mogę, bo właśnie darmobym go karmił. On potrzebuje opatrzenia i starań, jakie tylko w dostatnich stajniach znaleźć może: szlachecka, żadnym sposobem nie będzie dlań dogodna, a bez tego, straci on nie tylko na piękności, ale i na rzeczywistéj swéj wartości i cnocie.

— Ja go od pana wnet kupuję, odezwał się pan Zenowicz. Dwieście czerwonych złotych....

Ludwik spójrzał nań z uśmiechem...— niech go pan kupuje u właściciela rzekł, a tym jest pan pisarz litewski.

Ten spójrzał na Radziwiłła, wzrokiem, w którym było zapytanie, a co? czy nie zgadłem? Radziwiłł pokręcił głową.

Gdy wrócili na ganek, a xiąże zasiadł znowu na swém kurulskiém krześle, na którém rozpoczął był, za wspólną stron zgodą, kombinacyę między panem Sulistrowskim i Karmelitami, przeor ich, który sam tu przybył dla tak ważnego interesu, rzekł do xięcia: «Mości xiąże dobrodzieju! słyszałęm niedawno «sprawiedliwą wymówkę xięcia pana, wyższemu na«szemu duchowieństwu, obojętności o rozszerzenie «wiary naszéj świętéj, między niewiernémi. Niechże «za łaskawém pośrednictwem W. X. Mości JW. pi«sarz litewski zostawi nam dosyć funduszu, a my

«zakonnicy zawstydzimy wysokich prałatów, i ja sam «o własnym sumptcie pojadę do W. sułtana, bylem «tylko miał doń list od W. X. Mości.»

Rozśmieli się znowu obecni—panie kochanku, rzekł xiąże do przeora, masz głowę nie dla proporcyi. Więc jakże panie Aloizy?

— Raz się zgodziłem na zdanie W. X. Mości i o nie sam prosiłem, więc i czekam.

— A waść xięże?

— Nie pozostaje mi nic więcéj, jak powtórzyć słowa JW. pisarza, a polecić fundusz nasz na chwałę Boską przeznaczony, i klasztor, pod szczególną opiekę W. X. Mości, jako w miasteczku xięcia będący, tejże wspaniałéj jego opiece.

— A masz waść z sobą *paecunium* (*) panie kochanku?

— Xiądz skłonił się nizko.

— Wyliczże panu Sulistrowskiemu pięć tysięcy dukatów — i odprawić sto mszy za duszę Korsaka, i sto drugie za pannę Sulistrowskę, aby i na tamtym świecie był pokój między niemi. To mój dekret kompromisarski!

— Dziękujemy zań W. X. Mości rzekły obie strony.

— Brawo! zgoda — wykrzyknęli wszyscy.

— To mi dekret odezwał się Kossowski, co i żywych i umarłych godzi.

— Panie skarbniku, rzekł z cicha Sulistrowski do Dowiatta: odbierzesz pieniądze od xiędza, i zakwietujesz go z całego dekretu trybunalskiego — honorarium pańskie liczy się od wygranéj summy w Trybunale.

— Panie Aloizy, rzekł znowu xiąże, rozsądziłem cię z Karmelitami, ale któż nas samych rozsądzi?

(*) Pieniądze.

— Jak to mości xiąże?

— A tak panie kochanku, zdaje mi się, że mamy między sobą, jakiś dawny proces, o jakąś wioskę tu w powiecie oszmiańskim będącą. Rupejko niedawno mi o tém wspominał, gdym się wybierał do Szemiotowszczyzny. O cóż tam idzie? zapewne lepiéj odemnie wiész panie Aloizy.

Sulistrowski rad był w duszy, że xiąże sam napomknął o interesie, do traktowania którego możeby nie mógł upatrzyć zdolńéj godziny.

— A tak jest mości xiąże, prawda — mamy proces od pradziadów nam zostawiony: ale zostawmy go woléj prawnukom; a nie mieszajmy uboczną materyą, wesołych chwil bytności tu W. X. Mości.

— Na to nie ma zgody panie kochanku. Ja nie mam dzieci, a zatém i wnuków mieć nie będę; ale mam chwała Bogu przyjaciół; przynajmniéj niech ci będą mi życzliwi, a bez żadnego ze mną interesu. Mów więc panie Aloizy o co idzie?

— Kiedy koniecznie tego żądasz W. X. Mość: to niechże i tu będzie kompromis.

— Dorze, wyśmienicie!

— A zgadzasz-że się xiąże na kompromisarza, którego podam?

— Zgodzę się panie kochanku, i każdego z obecnych tu akceptuję, bo wszyscy są zacni i poczciwi obywatele — daję na to moje szlacheckie słowo!

— Obieram więc na jedynego kompromisarza, w sporze między mną i ordynatem nieświéżskim... tu zamilkł jakby się namyślał...

— Kogo panie kochanku?

— Xięcia Karola Radziwiłła wojewodę wileńskiego!

— Brawo! brawo! krzyknięto.

— Nie ma zgody na to panie kochanku! sam swojéj sprawy sądzić nie mogę — nie ma zgody.

— Mam słowo W. X. Mości, że przyjmiesz każdego kompromisarza jakiego obiorę: więc oświad-

czam najuroczyściéj, że ani tego szlacheckiego słowa W. X. Mości, ani rozprawy, ani obranego kompromisarza, ani jego dekretu nie odstąpię.

— Tak, tak, mości xiąże; odezwało się wielu — *Verbum nobile!* nie ma rady.

— Wpadłem w sak panie kochanku!... niechże i tak będzie — słucham sprawy.

Sulistrowski przywołał skarbnika. Stawię rzekł przed JO. Kompromisarzem mego generalnego plenipotenta: on świadomy wszelkich moich interesów, opowie i ten dokładnie, a plenipotenta obowiązuję, aby bez żadnych dyffugiów prawnych, jak najprościej...

— I jak, jak najkróciej przerwał xiąże.

— I jak najkróciej, powtórzył Sulistrowski, interes takowy opowiedział; ależ mości xiąże, któż będzie bronił interesu W. X. Mości?

— Moim plenipotentem panie kochanku będzie ordynat nieświéżski: co on powié, ja za moje własne słowa uznam.

Znowu oklaski i śmiechy rozległy się — ciekawy to kompromis! Ciekawy sąd Salomona! *Inter nos loquendo...*

Śmiech znowu powszechny przerwał mowę skarbnikowi, którego przysłowie tak niestosownie do wielkiej kompanii słuchającej go, przypadło.

Niezmięszany skarbnik kontynuował — Wieś Świrany mości xiąże, mająca chat trzydzieście, sama jedna bez dworu, leżąca ztąd o mil trzy, oddawna przysłuchuje...

— Co to jest panie kochanku przysłuchuje? czy jej kto trąbi?

— To jest należy mości xiąże.

— A to tak i mów, panie kochanku.

— Należy więc oddawna do Szemiotowszczyzny, ale...

— Niechże i na zawsze należy i przysłuchuje rozkazom pana pisarza litewskiego, jako swego odtąd

dziedzicznego pana, bez żadnej pretensyi xięcia ordynata Radziwiłła.

— Taki jest mój dekret kompromisarski! panie Aloizy, dodał obracając się do zdziwionego Sulistrowskiego (*) proszę się nie przeciwić ani obżalać mego dekretu. Ordynat nieświéżski zeń bardzo kontent, i upewniam cię, że się pogniewa i zmartwi, jeżelibyś nie chciał go przyjąć: a nie możesz panie kochanku, boś sam dał także słowo szlacheckie.

— Ale W. X. Mość nie słuchałeś całej sprawy: ja trzymam wprawdzie po moich antecesorach tę wioskę, ale dom Radziwiłłowski, którego dobra i prawa zjednoczyły się teraz w osobie W. X. Mości, długim, i aż dotąd trwającym procesem, zaprzeczał zawsze i teraz zaprzecza mi dziedzictwa, mieniąc ją być tylko w zastawie, i pragnąc wykupna onej przez zwrót summy, kilkunastu kop groszy Litewskich...

— Na przeciw tego rzekł pan skarbnik, Sulistrowscy przynoszą...

— Ale ja nie chcę niczego słuchać panie kochanku! i nie łamcie mi tym już więcéj głowy. Proszę panie Aloizy, dodał uprzejmie, kiedy mnie kochasz— koniec procesu między nami. Mikuć napiszcie z panem Dowiattem, co tam ku temu potrzeba będzie.

— Niechże się staje wola xięcia! rzekł Sulistrowski: nowe obowiązki wdzięczności dla ciebie xiąże, nie zwiększą bynajmniej, życzliwości mojej i przyjaźni, bo ta jest najszczerszą i wieczną. Uściskali się oba — Vivat! jeszcze raz zabrzmiało: a Kossowski rzekł: — to mości panowie *Kasselka* nieżświéżska, lepsza bodaj od królewskiej *janczarki* — i dano znać do obiadu.

Po obiedzie, na którym nie obeszło się bez kielichów, spowodowanych zwłaszcza dwóma szczęśliwe-

(*) Prawdziwe.

mi kompromissami: xiąże potrzebujący odpoczynku, zniknął z kompanii, aby go użyć przez czas niejaki. Nie jeden z podeszlejszych poszedł za jego przykładem, kompania przerzedziła się. Damy w których zwyczaju nie było jeszcze przebierać się pokilkakrotnie, i w innej niżeli na obiad, występować na wieczorne zabawy sukni; rozeszły się to po ogrodzie, to po apartamentach rozległego domu Szemietowszczyzny.

Pan Ludwik nie zbliżając się do Elżuni, nieodstępującéj boku matki, przejmował tylko jej nieczęste ale miłe na siebie wejrzenia i własne na nią zwracał.

Korzystając z téj chwili powszechnego rozstrojenia kompanii, Sulistrowski zbliżył się do starościnej, i zręcznie odprowadziwszy ją do drugiego pokoju, z którego ona jednak nie straciła z oczu córki:— Wiesz co kochana kuzynko, rzekł, pomoż mnie dzisiaj zabawić xięcia: na jutro gotuję mu polowanie we zwierzyńcu; w następnych dniach, będą przejazdki, i inne przy tém krotofile. Lecz dzisiaj dzień spoczynku, a nie chciałbym aby to był dzień nudy dla xięcia i dla wszystkich.

— Cóż mam zrobić?

— Oto zrobmy mu jeszcze jeden kompromis — niech xiąże będzie sędzią między wami kochana starościno z Dowiattami.

Starościna zdziwiona na tę niespodzianę propozycyę, prawie odskoczyła od Sulistrowskiego.

— Czy na to mię sprowadziłeś panie pisarzu?

Sulistrowski wrocił znowu do swego uśmiechu, i nim pokrywając porywczość starościnej, a muskając wąsika — Moja kochana kuzynko, rzekł: zaprosiłem cię na wspólną gospodynię domu mego, pewny bardzo, że go uweselisz i ozdobisz, i nie omyliłem się. Ale nie mogę powiedzieć, żeby w tym jeszcze nie było i szczególniejszego interesu...

— Interesu pogodzenia mię z faworytami swemi

Dowiattami: prawdziwie kochany kuzynie dziwię się téj twojéj dla nich miłości.

— Właściwiej starościno dziwić się bym mógł, twojéj nienawiści... Ale nie zgadłaś prawdziwego interesu, choć jest twój własny....

— Mój własny? nie pojmuję.

— Czy zrobiłem małą przysługę kuzynce, przykładając się do wyjednania przedłużenia przywileju na starostwo Kapinowieckie? zapytał on zmieniając jakoby treść rozmowy.

— Dziękowałem ci szczerze kochany panie Aloizy; i chociaż nie dla tego mi to przypominasz zapewne abym ci moje dzięki powtarzała, powtarzam jednak, bo znam, że nie tylko się przyłożyłeś, jak skromnie powiadasz, ale sam i jedynie ten interes pomyślnie dla nas dokonałeś.

— Cóż pani z tego przybyło?

— Dla nas nic wprawdzie, bo to starostwo dożywotniem jest męża mego, daném ojcowi jego, także z przedłużeniem na syna; lecz dla naszego znowu syna, a przyszłego po ojcu starosty, przybyło intraty jakie z tysiąc talarów.

— Oh! nie o to idzie — nie rozumiesz mię jeszcze starościno, i nie przypominasz własnych celów, ważniejszych może, niżeli to szczupłe powiększenie intraty. Pomyśl kuzynko!

— Tak... tak... kochany pisarzu, zgaduję nakoniec myśl twoję — prawda — mówiła jąkając się starościna — odkryłam ci to kiedyś: potrzebowałam bardziej niż dochodu, i wyżej nadeń cenię... dowod przed litewską publicznością, przed wielą urągającemi... ubliżającemi mnie nawet... żem nie zapomniana jeszcze w stolicy. Przy zachwianym stanie interesów naszych, potrzebowałam tego dowodu, nie dla dogodzenia próżności, ale mając dzieci, córki zwłaszcza, i los ich na sercu...

— I cel ten, rzekł Sulistrowski przerywając ambarassowaną spowiedź starościnej, jako tako dopięty.

Lecz nie zapomniałaś kuzynko, o ważniejszych jeszcze zabiegach, o celu jeszcze trudniejszym, a który gdyby się udał, przekonałby nawzajem Warszawę, żeś nie zapomniana na Litwie, i że twoich żądań lekcye ważyć nie należy; do czego rozumiałaś być skutecznym środkiem, okazanie przewagi swej w Trybunale, przez wygraną sprawę z Dowiattami. A gdy ja ten środek mylnym uznałem, i gdy na mojém zdaniu z ufnością poległaś uważam się w obowiązku wynalezienia lepszego, i wynalazłem. Oto masz kuzynko odpowiedź, na twoje, daruj że powiém, porywcze zapytanie, dla czego tu cię sprowadziłem?

— Gniewasz się, rzekła starościna — a słowo to wymówione przez nią, z tak ujmującym wdziękiem, spójrzeniem i głosem, że rozbroiłoby Sulistrowskiego, gdyby i prawdziwie się gniewał.

— Nie, droga kuzynko, nie gniewam się, odpowiedział on całując jej rękę. Gniewać się na ciebie! to nie podobna! Ale im bardziej cię kocham, tém mnie czulej dotyka brak twego we mnie zaufania.

— No, więc mów co mam robić? rzekła starościna, powoli odejmując swą rękę.

Po tém mgnieniu wzajemnej tkliwszej krewieńskiej czułości, pan pisarz wracając do tonu statysty, — masz wiedzieć kuzynko, rzekł, że xiąże wojewoda gość nasz, jest teraz w najlepszej przyjaźni z Królem Jegomością. Po bytności monarchy w Nieświéżu, po bliższém osobistém poznaniu się ich, po rozmówieniu się poufnem, a najbardziej po naocznem przekonaniu się Króla, jak Litwa przywiązaną jest do Radziwiłła, wpływ xięcia u dworu jest nieograniczonym; i dla tego...

— I dla tego zaprosiłeś go do Szemiotowszczyzny, przerwała śmiejąc się starościna.

— Nie pani — odpowiedział z powagą Sulistrowski, ja sam sobie wszędzie wystarczę; lecz dla tego zaprosiłem ciebie kochana kuzynko: bo kto w swych

zamiarach warszawskich będzie się wśpierać na ramieniu Radziwiłła, ten musi tam być uznanym znakomitym na Litwie i znajdzie ochotnych do pomocy sobie u Króla, niełatwo odmówić mogącego takiej instancyi. Otoż i drugi cel zbliżony, jeżeli sama dziś zechcesz do tego się przyłożyć.

— Jakimże sposobem? Staram się jak mogę bawić go i dopomagać twojej żonie.

— Och! z tym panem pięknemi twemi słówkami, nic nie wskórasz; zapomni o nich lub ich nie dosłucha; trzeba go inaczej zobowiązać. Widziałaś kuzynko, jak ja nie mając nic na widoku, jedno jego przyjaźń, dla ugruntowania jej, z ochotą z parę kroci odstąpiłem Karmelitom, na jego jedno słowo: jak potém on wzajemnie zrzekł się wsi, która mówiąc otwarcie jego była dziedzictwem. Ot takie czyny oznaczające zaufanie w nim, i szacunek wysoki słów i zdań jego, biorą go za serce i do wywdzięczenia się zobowiązują. Dla tego proponując ci obranie jego kompromisarzem w procesie z Dowiattami, daję ci zręczność zjednania go nazawsze. Przegrywając nawet zaścianek, wygrasz uręczam cię kuzynko daleko więcéj. A któż wie czy przegrasz? bo wyrok zostawimy zupełnie sumnieniu xięcia, które jest prawe i poczciwe, a więcéj warte niż głęboki rozum u innych. Zresztą jak potrafisz odmówić, gdy Dowiattowie ten kompromis zaproponują?

— Jakże ja tu bez mego plenipotenta prawować się będę u niego dowody i papiery; jak bez mego męża przynajmniej. Czy to przyzwoicie?

— Bądź spokojna, wszystkiemu się zaradzi, a rozważ tylko kuzynko com ci powiedział: w roważaniu zaś tém, miej na względzie, żem ci prawdziwie życzliwy, i że nie zwykłem nigdy nic mówić w ważniejszych okolicznościach, nie rozważywszy wprzód wszystkiego najdokładniej.

Odszedł, zostawując starościnę zadumaną.



XXII.

Kompromis trzeci

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Gdy się pokazał xiąże na pokojach, a wesoła twarz jego, objawiła najlepsze dyspozycye, rzekł do niego pan Sulistrowski.

— Mości xiąże, jeszcześ W. X. Mość nie ukończył bodaj funnkcyi sędziego; jeszcze raz, jeżeli łaska spełnić ją raczysz, na wieczną pamiątkę swojej dobroci, a zaufania w tobie litewskich obywateli.

— Panie kochanku, zmordowałem się i tak, biorąc mocno na rozum, aż musiałem odpocząć: dajcie mi więc pokój, a pogodźcie się sami kto tu z was prawuje się.

— Nie mości xiąże, pan Ludwik Dowiatt tęgi nasz dzisiejszy jeździec, nie mając sam żadnych zasług u W. X. Mości, ośmiela się przez moje usta wzywać i prosić xięcia na kompromisarza w procesie, jaki ma po zmarłym niedawno ojcu swoim z państwem starościństwem Kapinowieckim. Nie możesz W. X. Mość odmówić piérwszej jego prośbie; zwłaszcza jeżeli obecna tu pani starościna krewna moja, równąż do xięcia zaniesie.

Ludwik zbliżył się i ukłonił się głęboko Radziwiłłowi.

Tak proste na pozór przemówienie Sulistrowskiego, było jednak dobrze obmyślane; bo objawiając on niejaką skłonność swą dla Dowiattów, objawiał razem i pokrewieństwo swe ze starościną: jedno nagradzało się drugiém, a wiązało ją, trudnością odmówienia, a tém samém ubliżenia xięciu.

Wprzód jeszcze po rozmowie z Sulistrowskim, rozważyła ona dobrze tę jego propozycyę i wyciągnęła z niej, jako wniosek: *drugie starostwo*; była więc już zdeterminowaną, i dla tego z wesołą i uprzejmą twarzą przystąpiła do xięcia.

— Kuzyn mój pan pisarz litewski, rzekła uprzedza zamiar mój, proszenia W. X. Mości, abyś raczył, rozsądzić nas z panami Dowiattami, bo widać że dzień dzisiejszy, wypadł W. X. Mości z przeznaczenia na dobre uczynki. A lubo tu męża mego niema, bo go choroba w domu zatrzymała, lecz ja zań ręczę, że on szanować będzie wyrok W. X. Mości. Sama zaś, gdy się domagam téj łaski, ośmielona jestem nie własnemi naszemi zasługami, bo ich wcale nie mamy, lecz mniemaniem, że familia moja Sapiehów z której się rodzę, może zasługuje na względy W. X. Mości, których ja dziś wzywam.

— Mościa starościno dobrodziko, gdyś Sapieżanka z domu, to nawet w konnexyi z sobą jesteśmy, bo nie sięgając dawniejszych czasów, w których się nieraz Sapiehowie z Radziwiłłami łączyli, nie ma lat sta, jak *Salomea Sapieżanka* wojewody Mścisławskiego Jerzego Sapiehy, z Połubieńskiej rodząca się córka, była *primo voto* za *Szczuką*, podkanclerzym— *secundo* za *Nowosielskim* starostą luboszańskim, a z tym rozwiodłszy się, poszła za *Jerzego Radziwiłła* wojewody nowogródzkiego. — A wzajemnie *Karolina Radziwiłłówna* z Sanguszkówny rodząca

się córka Karola Radziwiłła, była za Kazimierzem Sapiehą hetmanem litewskim.

— Ależ W. X. Mość *erudyt* jak uważam w genealogii swego świetnego domu, odezwał się pan Chalecki podczaszy oszmiański.

— A tak panie kochanku, tak; każdy szlachcic powinien znać swoję progeniturę i wiedzieć z kim połączony, aby się tém lepiej kochać wzajemnie i aby nic takiego nie czynić, coby jego parentelę wstydziło. Waćpan naprzykład panie podczaszy jesteś także mój krewny.

— Chlubnie mi to byłoby bardzo, ale chyba mości xiąże po powszechnym ojcu naszym Adamie.

— Otoż nie tylko po Adamie, ale i po *Annie Kunegundzie Chaleckiéj*, córce *Kazimierza Chaleckiego*, miecznika litewskiego, a żonie *Alberta Radziwiłła*, niedawno nawet zmarłéj w Annopolu. Ale to była z rzeczyckich Chaleckich, a oszmiańscy jak pokazuje się, nic o tém nie wiedzą.

— A czyż spadła tam na mnie jaka sukcesya, po zacnéj kuzynce? zapytał podczaszy.

— Oj nie, panie kochanku, bo cztéry córki zostawiła.

— Niechże w Bogu spoczywa?

Popisywałby się jeszcze i daléj xiąże ze swemi heraldycznemi wiadomościami, które w rzeczy saméj posiadał i których na portretach w zamku Nieświéżskim mógł się codzień uczyć; gdyby mu starościna nie przerwała mówiąc:

— A tak mości xiąże korzystając ze związków, do których się z chlubą przyznaję; prezentuję najprzód W. X. Mości młódszą odemnie kuzynkę, to jest córkę moję, na którą także spada zaszczyt tego świetnego pokrewieństwa.

Xiąże spójrzał ciekawie na dziewczynę, lecz niezdolny do pięknego, choć widocznie tu potrzebnego komplementu, ukłonił się tylko grzecznie, a Elżusia dygnęła nizko.

Starościna spójrzała dumnie na Ludwika, wyrażając w tém spójrzeniu: «gdzież tobie do kuzynki Ra«dziwiłłów rodzącéj się z Sapieżanki!!!»

— A z kolei mości xiąże, rzekła po téj prezentacyi starościna, ponawiam prośbę moję, abyś raczył przyjąć na siebie rozsądzenie ostateczne procesu naszego.

— A widać już, że jak mówiłaś starościno dobrodziko, dzień ten z predestynacyi na mnie wypadł; o cóż więc idzie?

— Mości xiąże, rzekł Sulistrowski, tu musisz W. X. Mość wziąść się gruntowniéj, i wyrok swój prawdziwie po sędziowsku na pismie ogłosić: bo choć dokumentu na ten kompromis nie ma, ale gdy obie obecne strony, z zupełną ufnością, i w obliczu tak mnogich a zacnych świadków, wzywają xięcia za sędziego — przeto *propria oris confessio, stat pro scripto* (*) i to w dekrecie zapisanem być powinno. Nie prawdaż panie Skarbniku? waćpan znasz te rzeczy najlepiej.

— Tak, odezwał się Skarbnik, w niedostatku formalnego opisu, inaczej być nie może, i będzie ważném.

Xiąże się skrzywił, bo gdzie szło o pisanie, tam mu niewielka brała ochota.

Co poznawszy Sulistrowski rzekł: — i dla tego W. X. Mość raczysz sobie dobrać regenta, lub sekretarza.

— A przecież mam własnego panie kochanku — Mikuć, waść regentem tego sądu.

(*) Własne ustne wyznanie, staje za pismo.

— Mówiłem ci panie Aloizy, rzekła starościna z cicha do Sulistrowskiego, że nie mam tu ani plenipotenta, ani papierów: któż będzie za mnie, i czém dowodzić? Na miłość Boga do czego to mnie prowadzisz?

Pan pisarz się uśmiéchnął po swojemu, i rzekł: bądź spokojna kuzynko.

Postawiono więc stół w osóbnym pokoju, pięknym go zakryto kobiercem, a na nim srebrny krucyfix: xiąże zasiadł za nim z powagą, a Mikuć stanął za krzesłem z piórem za uchem.

Pan Skarbnik wystąpił przed stół ten i rzekł: «W imieniu obecnego tu synowca mego, aktora rzeczy «składam najuniżeńsze dzięki W. X. Mości, żeś tym «szlacheckim interesem, wysoki swój a pański ani«musz zajmować dozwalasz. Lecz go tłumaczyć szé«roko i dowodzić nie będę, składać tylko W. X. Mo«ści dekret ziemstwa wileńskiego, którego prolog rzecz «całą *pro et contra* najdokładniéj wyjaśnia; a od«rzekam się tam wyrażonej decyzyi, bo ostatecznéj «ze względów i sprawiedliwości Jaśnie Oświeconego «kompromisarza oczekujemy.»

— Potrzeba panie Skarbniku odczytać ten prolog, rzekł Sulistrowski, aby strona przeciwna wiedziała, czy cokolwiek na jéj krzywdę opuszczonego w nim nie ma.

Skarbnik zatém najuważniej i najsumienniéj, nie zmieniając nawet głosu, bez żadnych własnych uwag lub dodatków odczytał go; my zaś znajomej treści powtarzać nie będziemy.

Starościna słuchała pilnie i wszyscy obecni; skinęła ona potém głową na Sulistrowskiego, a ten rzekł: «oddajemy teraz sprawę do namowy.»

— I my także, rzekł Dowiatt.

Wszyscy więc wyszli; drzwi zamknięto, a został xiąże z Mikuciem.

— No, i cóż waść na to, panie kochanku? rzekł xiąże do Mikucia.

— Czekam rozkazów i decyzyi W. X. Mości.

— Patrz tylko żebyś nie podrwił głową, bo to nie żart, przed takiém publicum napisać dekret.

— Będę się starał nie zawstydzić W. X. Mości.

— Po niejakim czasie i namyśle, rzekł xiąże. Oto tak, panie kochanku: niech będzie i wilk syt i koza cała, a niech znają, że u mnie decyzya jak z procy. *Niech baba bierze zaścianek, a ja Dowiattowi zapłacę!...*

Mikuć stał nieporuszony.

— Pisz więc panie kochanku! czego czekasz? wszak mię rozumiesz.

— Rozumiem mości xiąże; ale to nie będzie dekret; będzie to dar W. X. Mości, z którego dla obu stron wyniknie konfuzya; i suponuję, że Starościna nie przyjmie zaścianku, jakby *gratis* sobie danego, a Dowiatt nie przyjmie zapłaty, tracąc bez przyczyny zaścianek — tak będzie kompromis bez dekretu.

Xiąże pokręcił głową. Masz waść racyę; nie przyjął konia — nie przyjmie i pieniędzy; ale wbiłeś mi klina — poczekaj, pomyślę inaczéj. Jakoż myślał xiąże — wąsa pokręcał, chodził po pokoju, nakoniec rzekł:

— A już nie ma inszéj rady panie kochanku, rozważywszy wszystko, jak dać Ludwikowi Dowiattowi przysięgę na to, na co i ojciec jego, jako w tym dekrecie stoi, onę sobie podawał. Niech ją wykona i przy nim zaścianek — i za cóżby nie miał wykonać? polegając na sumieniu ojca. Drożej tego nie kupić, mówi dawne przysłowie. Starościnéj poradziwszy się z panem Aloizym, potrafię to później wynagrodzić; ale tego waść w dekrecie nie pisz.

— O teraz co innego, rzekł Mikuć; jest dekret i podług mojej ekwanimii, sprawiedliwy; za pół godziny ogłosimy go, i weźwiemy do przysięgi pana Dowiatta.

— A widzisz waść jak dobrze wymyśliłem: piszże teraz, a prędzéj, bo nie lubię siedzieć długo samotny, jak wieżę albo rekolekcye.

Mikuć człowiek zdolny prawdziwie, i w skutek swych zdolności, a rekomendacyi i prośby xięcia, zaszczycony przez króla w Nieświéżu indygenatem szlachectwa, nie dał długo nudzić się xięciu. W pół godziny był dekret gotowy, napisany zwięźle, a jednak dokładnie i zrozumiale, w konkluzyi naznaczający Ludwikowi Dowiattowi, jako dziedzicowi majątku i praw wszelkich po swym ojcu, przysięgę, jaką i zeszły ojciec sobie był podawał, na tém, że zaścianek Nadbrzeże nabyty był przez przodków ich prawnie i sprawiedliwie; lecz że na takowe nabycie papiery i dowody spaliły się razem z całym domem w Dowiatowszczyznie, czego i zaniesione dawno oświadczenie dowodzi.

Po wykonaniu takowej przysięgi wnet przed kompromisarzem, dekret kasował na zawsze pretensyę starościństwa o zaścianek: lecz w razie niewykonania onéj, oddawał tenże zaścianek starościństwu, nie sądząc na żadną stronę jako w sądzie polubownym expensów prawnych, lub naliczeń intraty.

Gdy xiąże podpisał dekret — Mikuć otworzył pokój, i weszła najprzód Starościna prowadzona przez pana Sulistrowskiego, a za niemi cała ciekawa kompania, i między nią pan Ludwik ze stryjem. Odczytany wyrok, krótkie potém milczenie, huczne przerwało brawo — xiąże uśmiechał się i pokręcał wąsa.

Starościna bladła i czerwieniała naprzemian; sama

niewiedziała jak się ma znaleźć i postąpić. Przenikający ten jéj kłopot Sulistrowski, podszedł naprzód nieopuszczając jéj ręki, a zatém ciągnąc ją prawie za sobą, i rzekł: radzi jesteśmy z dekretu, i dziękujemy za niego W. X. Mości.

Xiąże spójrzał na Starościnę, i z twarzy jéj chociaż uśmiechającéj się niby, poznawszy niezgodność z oświadczeniem Sulistrowskiego, spójrzał na niego i pokręcił głową.

Wysunął się z tłumu Skarbnik, lecz go zatrzymał Ludwik. — Kochany stryju, rzekł on: rzecz mnie się osobiście tycze, dozwól więc mnie samemu i tłumaczyć się.

— *Inter nos loquendo*, mruczał Skarbnik, wsuwając się znowu w gromadę, niech gada, może w nim się odkryć niespodziany talent elokwencyi. A zaścianek nasz!

— Również mości xiąże rad jestem z wyroku odezwał się Ludwik, i dziękuję za niego najpokorniéj.

— A zatém, rzekł Mikuć, wzywa pana JO. kompromisarz do wykonania naznaczonéj przysięgi — i podsunął krzyż na brzeg stołu.

— Przysięgi nie wykonam!

— Jak to panie kochanku? zapytał go zdziwiony xiąże.

Pan Sulistrowski wzruszył się również zdziwiony, a wszyscy na niego oczy zwrócili. Skarbnik wyskoczył znowu z tłumu, stanął obok Ludwika, lecz go skromnie ręką odsuwając młodzieniec, — «tak mości «xiąże! rzekł: dziękuję najpokorniéj za sprawiedli«wy wyrok, przyjmuję go sercem czystém i spokoj«ném, poddaję się warunkom jego dobrowolnie, i nie«wykonywając przysięgi, odstępuję zaścianek, bez

«złéj woli lub gniewu na wygrywających. Bogiem się «na to świadczę!

«Drogą mi jest pamięć ojca mojego! poczciwość «jego była niepokalaną! prosta, szczéra a głęboka «wiara, była jego sumieniem; honor szlachecki w co«dziennych życia przygodach był mu przewodnikiem. «Przyświadczcie synowi chlubiącemu się z cnot ojca, «znający go niedawno, a obecni tu zacni obywatele! «mógłbym więc zda się w imię jego cnoty i sprawie«dliwości, wykonać tę mi naznaczoną przysięgę. «A wszakże nie uwłaczam jego pamięci, za którąbym «ochotnie ostatnię kroplę krwi mojéj przelał, gdy «jéj nie wykonywam: bo gdy on przed sądem Bo«skim już stanął, modły mu tylko ode mnie na ulgę «tego wyroku się należą, nie zaś przysięga, jakkol«wiek sprawiedliwa, ale w którą sama odległość cza«su, by najsubtelniejszy błąd wprowadzić mogła, i «najskrupulatniejsze sumienie omylić mimowolną «niewiadomością. Ojcze mój! rzekł on nakoniec, wzno«sząc w górę oczy łzą zamglone, cnoty i wiary uczy«łeś mnie mową i przykładem; niechże to będzie do«wodem, żem wierny twéj nauce! Niech to będzie «ofiarą na pokój méj duszy w tém życiu, a twojéj «w wieczności!»

Piękne, szczególniéj natenczas, gdy tę apostrofę mówił, i jaśniejące, że tak powiem miłością synowską, oblicze młodzieńca, zapłomienione było uczuciem pałającém mu wewnątrz; a to uczucie rozlało się po zgromadzeniu i po twarzach sędziwych ojców wspominających lub patrzących na własnych synów, wspominających na zmarłych swych rodziców! Wszędzie tkliwość wrodzona wybiła się łzami na lica.

Nie było oklasków — milczenie w sali: ale starsi weterani, podchodzili tłumem do Ludwika, ściskali go tkliwie, całowali w czoło, i nie jeden przeżegnał go jakby błogosławiąc i dziękując mu w imieniu wszystkich ojców, za ten przykład poczciwości, mi-

łości synowskiéj i wiary, którą oni nad wszystkie światowe zalety w młodzieńcu cenili, i którą we własnych dzieciach, również prawdziwą i głęboką widziećby chcieli. Młodzi także ściskali go za ręce, a w każdém ściśnieniu był dlań zakład szczeréj i stałéj przyjaźni. Była to scena, tkliwa razem i uroczysta. Xiąże siedząc jak przykuty za stołem i oparłszy głowę na ręku, patrzał na to wszystko stale; a ze wzroku jego i milczenia, Mikuć stojący na boku skromnie, ze zwiniętym w ręku dekretem, wróżył na pewno, i szeptał innym, że dotknięte do żywego poczciwe serce xięcia, wybuchnie wnet, jakimś pamiętnym, a godnym dnia tego czynem.

Pan Sulistrowski, na którego ręku wśpierała się starościna, pogodne i wesołe spójrzenie oprowadzając po wszystkich, uśmiechał się, nie zwykłym swym ironicznym, ale swobodnym i miłym uśmiechem, a pieścił piękny swój wąsik; bo lubo i on nie przewidywał tego, co się stało, wszakże zadowolnionym był wewnętrznie, że protegowany przezeń u xięcia młodzieniec, tak godnie ziścił rekomendacyę jego. Starościna tylko sama jedna, blada i ze spuszczonemi w ziemię oczyma stała niewzruszona. Pomięszało się jej w głowie: uczuła bowiem, że czyn Ludwika, w jednej chwili tak go wysoko stawił w szacunku publicznym, a tém samém taką jej samej w konsyderacyi czynił szczerbę, że wszystkie jej projekta, wielkiej doznać mogły mitręgi, jeżeliby nagłym jakim pochopem, nie zdołała się wzbić, nad tę powódź uwielbień dla Ludwika. Szybko więc w głowie, jak szuler szukający w całej talii karty, mającej mu odegrać zabity parol, przerzucała ona myśli, jedną po drugiej.

Nakoniec Elżbieta w gronie dziewic w drugim pokoju, widząc przez otwarte podwoje, tryumf ulubionego, i słysząc wprzód jego czułą apostrofę, ocierała bujne krople łez, po jej ślicznych jagodach płynące.

Nie wzbudzało to w nieświadomych jej uczuć towarzyszkach żadnego podejrzenia, bo i kilka innych również roztkliwienie ogarnęło. Ale piękne serce Elżbiety, nowém, tajemném, a niezłomném ogniwem łączyło się z Ludwikiem w tej chwili. — O! będę jego żoną! albo niczyją! — myśliła ona.

— Mości xiąże, — rzekł uścisnąwszy czule, jako i wszyscy weterani Ludwika, pan Oskierko, oparty na kilofie jedną ręką, a drugą za pas w boki założywszy, z tryumfem niejakim i chlubą: mości xiąże! mamy jeszcze chwała Bogu poczciwą młodzież.

— Tak, mamy, — przerwał mu xiąże, budząc się z zadumania i powstając z krzesła — mamy chwała Bogu, mamy panie kochanku! umiejmyż ją kochać. Uścisnął potém Ludwika, i biorąc go za rękę prowadził przed starościnę. Szedł młodzieniec nie mogąc się oprzeć xięciu; starościna widząc zbliżających się, chciała także uniknąć spotkania i jak mniemała pojednania, lecz ją trzymał Sulistrowski.

Xiąże stanął przed nią z powagą, a uroczyście rzekł: — Mościa starościno! oto jest godnej krwi szlachcic, a mój od dziś dnia przyjaciel, w którego imieniu proszę dlań o rękę córki twojej, kochana moja kuzynko!

— Co to jest mości xiąże? — krzyknęła starościna.

Ludwik także chciał swą rękę wyjąć z żelaznej dłoni xięcia, ale nie zdołał.

— A tak! tak panie kochanku! *Radziwiłł swatem! za panem Dowiattem!* A dalibóg słyszycie waćpaństwo? A toż ja wiersze powiedziałem, wyśmienicie udało się!

— Brawo xiąże nasz! brawo!

— Mikuć, zapisz to waść u siebie, bo wróciwszy do Nieświéża, poszlę te kadencye do Słonima panu

hetmanowi Ogińskiemu, który pisze piękne opery, a ze mną chciał iść w zakład o *Białynicze* (*), że ja na życiu żadnego wiersza nie skoncypuję; proszę zatém wszystkich tu obecnych zacnych obywateli, abyście mnie w potrzebie przyświadczyli.

Po tym ustępie, który rozśmieszył wszystkich, wracając znowu do poważnego tonu xiąże— I cóż na to mościa starościno? rzekł.

— Nie spodziewałam się tej propozycyi od W. X. Mości, zwłaszcza po przyznaniu mię swoją krewną.

— A gdybyś była moja pani i moją rodzoną siostrą, tobym życzył schować mitrę do kieszeni, a wydać córkę za poczciwego szlachcica, a zatém równego urodzeniem każdemu xięciu. A co lepszego pan Morawski? a przecież moim jest szwagrem, choć zająkliwy! A sama moja pani kuzynko, wszakżeś Sapieżanka....

— Tak mości xiąże, ale....

Sulistrowski w tej chwili odszedł.

— I jakież *ale*? panie kochanku, perorował dalej xiąże, chyba jedno *ale:* to jest, — ale czy się zgodzi na to godna córka asani dobrodziki? bo jeżeli chciałaś napomknąć mościa starościno o fortunie...

— Mości xiąże, przerwał Ludwik, którego stan był do nieopisania.

— Panie kochanku, milcz waść i stój!... bo mościa starościno, czyim Radziwiłł swatem i przyjacielem, tego żona także staróściną być może... i ten nie złamie sobie głowy dobijając się krescytywy i substancyi.

— *Inter nos loquendo*, mości xiąże dobrodzie-

(*) Białynicze wielkie dobra, w połockiém natenczas województwie.

ju, — odezwał się zbliżając pan skarbnik, mamy się szlachecko, ale dostatecznie; a komparując *aktiva* i *passywa* rozumiałbym.

— Oto przyprowadzam, — zawołał wtém Sulistrowski wiodąc Elżbietę, — najwłaściwszego sędziego w téj sprawie.

Lekkim okraszona rumieńcem, alę pogodna i spokojna twarz dziewicy, oznaczała również spokojny wewnętrzny jej stan duszy i stałe postanowienie nieukrywania swych uczuć, w tej stanowczej na całe jej życie chwili. Ośmielił ją jeszcze i utwierdził kilką słowami Sulistrowski, gdy ją determinował aby z nim razem szła do matki; a dodały odwagi towarzyszki szepcząc na ucho odchodzącej: śmiało! śmiało! piękny i poczciwy chłopiec!

Starościna rzuciwszy okiem na przychodzącą córkę, zdziwiła się jéj spokojności i swobodzie; a uprzedzając xięcia: — moja córko, rzekła tonem, pełnym powagi i niejakiéj dumy, xiąże Jegomość używając, a ciszéj dodała z suchym uśmiechem do xięcia, bodaj nadużywając, prawa pokrewieństwa tak dla nas chlubnego, oświadcza w imieniu obecnego tu pana Dowiatta, żądanie...

— Prośbę panie kochanku — prośbę Mościa starościno.... prośbę o twoję rękę, dokończyła starościna. — Ty wiész dobrze myśli rodziców twoich w tym względzie, rodziców, pragnących jedynie twego szczęścia, a lubo tak wysokie wdanie się...

— Moja droga matko, rzekła Elżbieta ujmując jéj widocznego kłopotu odmawiania xięciu, a sama nie zdołając już panować nad bijącém gwałtownie sercem, i zasłaniającą się łzami źrenicą; — moja droga matko, znam dobrze i wiem myśli twe i postanowienia, ulegam im zupełnie i z pokorą; bo was kocham tak szczerze! tak czule! i z całéj mojéj du-

szy!!! Żądającemu więc ręki mojéj młodzieńcowi, odmawiam.

Ludwik się zatrząsł — Radziwiłł go ścisnął za rękę.

— Daruj mości xiąże, posłuszna jestem jak powinnam woli rodziców moich. Ale moja droga matko, mówiła daléj dziewica, zbierając wszystkie swe siły na to trudne wyznanie, na te słowa, które gdyby zamilczała, nadzieje związku jej z Ludwikiem zniknęłyby już nieodwrótnie. Wymówićby ich jednak nigdy nie zdołała, gdyby jéj uczucie dla niego ożywioném i podnieconém stokrotnie nie zostało w téj jednéj chwili, w któréj cnota, wiara i prawość serca jego tak jawnie się wydały, i chwalebnie powszechném uwielbieniem były uwieńczone. — Jego żoną, albo niczyją, wyrzekła natenczas w duszy Elżbieta; a gdy niespodziewanie tuż wynikł moment, ostatecznego dla niéj kroku, energia tém postanowieniem natchniona i wsparta, przemogła bojaźliwość dziewiczą i ośmieliła usta do śmiałego objawienia stanu serca.

— Ale moja droga matko! mówiła zatém Elżbieta, innego żoną ja nigdy nie będę; posłuszna tobie, odrzekam się skłonności moich od dziecińtwa powziętych... daléj już mówić nie mogła, i z rzewnym płaczem rzuciła się na łono matki.

— Mościa starościno rzekł xiąże, któż tu nadużywa praw swoich? czy ja, który dwójgu kochającym się poczciwie, chcę wyjednać szczęście i błogosławieństwo rodzicielskie? Czy imość dobrodzika, która doli swojego dziecka zaprzeczasz? A to panie kochanku tragedya!

Ludwik stał osłupiały obok xięcia, ze wzrokiem jakby obłąkanym a utkwionym razem na matkę i córkę spojone w jedném objęciu.

Porucznik postrzegłszy taką jego postać, podszedł

doń, i szeptał mu na ucho tkliwym głosem przyjaciela: — Ludwiczku upamiętaj się — a szmer głuchy po zgromadzeniu rozchodzący się, przygotowywać zdawał, ogólny atak na starościnę, w sukurs usiłowaniom xięcia, który mówił daléj: — W Bogu nadzieja panie kochanku, a tymczasem, po oświadczeniu tak szczerém i tak razem cnotliwém, bo z wolą rodziców zgodném panny starościanki, a które na całą Litwę naszą sławném będzie, oświadczam ja także, ja panie kochanku! że ktobykolwiek śmiał swatać się do niéj, na przekor jéj sercu i postanowieniu, ze mną, ze mną panie kochanku! a głos jego był grzmiącym i stałym, ze mną mieć będzie do czynienia! — Vivat nasz xiąże okrzyknięto! wszyscy my sekundanci W. X. Mości.

Xiąże wstrząsł natenczas mocno rękę Ludwika, którą dotąd trzymał, i dumnie pokręcił wąsa.

Starościna wzruszona także, bo jakżeby mogła dotrwać tylu razem wrażeniom, chciała odejść z córką; ale zatrzymał ją Sulistrowski. Szepnął on jej na ucho: »gubisz córkę, siebie, i wszystkie twe na»dzieje, i widoki.« Ukłonem wyrazistym zatrzymał on także na miejscu nieukontentowanego, a poglądającego z podełba na starościnę xięcia.

— Kuzynko, rzekł on, dzień ten i scena ta, nie może się tak skończyć, i zastanowić się na peryodzie jak jest teraz; bo w sercu i twojém, i córki twej, i xięcia, i nas wszystkich, zostawiłoby gorzkie wspomnienie. Matka, rodzice żądają zawsze szczęścia swojego dziecka, tylko, że upatrują dla nich szczęście częstokroć, okiem własnym, wiekiem i światem skoszoném; a Bóg inaczej to widzi, i w sympatiach młodzieży, przeznaczenie swe objawia.

— Gadasz jak Katembrynk panie Aloizy, przerwał xiąże.

— Bo i tu właśnie jest toż samo mości xiąże. I

dla tego potrzeba pobłażyć troskliwym myślom matki, względem losu swego ukochanego dziecka; tak jak matka powinna pobłażyć i mieć wzgląd na skłonnoście uległej zupełnie córki, poświęcającej te skłonnoście jej woli! a w których nie tylko nie ma nic nagannego, lecz owszem, które wzajemna cnota, tak jawnie okazana, tém bardziej jednoczy i gruntuje. Dla tego moja kochana kuzynko...

— I moja także panie kochanku!

— Racz się zgodzić na to, aby ten poczciwy i zacny młodzieniec był odtąd deklarowanym ambijentem do ręki twej córki, a wysługującym względy wasze rodzicielskie....

— Byle tylko nie tak długo jak Jakób za Rachelę, panie kochanku.

— Nie mającym, przedłużał Sulistrowski, jeszcze waszego zezwolenia, które zupełnie od woli waszej zależeć będzie; ale mającym za sobą swą cnotę i prawość, serce panny i dostojne swatostwo xięcia, a tém samém jego opiekę i przyjaźń dla domu waszego... a przy tych słowach ostatnich ścisnął rękę starościnej.

— Brawo! Brawo! Starościna dobrodziko, wyborny projekt — okrzyknięto zewsząd.

— Jakże moja kuzynko? toż moja instancya i przyjaźń nic u ciebie nie ważą, rzekł xiąże biorąc jej rękę i trzymając ją w oczekiwaniu. Starościna się uśmiéchnęła. Uśmiech ten był hasłem powszechnej wesołości....

Radziwiłł swatem,
Za panem Ddwiatem!

zawołano chorem: Vivat!

— Dajże kielicha, panie kochanku — rzekł Radziwiłł.

W kilka potém miesięcy, gdy się żałoba Dowiattów ukończyła: pod wieczór pięknego letniego dnia, kilkunastu wybornie ubranej młodzieży na dzielnych koniach, jechało pięknym orszakiem ze dworku na Antokolu pana Dowiatta. Na ich czole jako przewodnik kalwakaty harcował pan porucznik Stelnicki błyszczączy od szlif, blach, taśm złotych i pendentów, na porcenelo-strokatym tarancie, którego gdzieś wielkim kosztem okupił; za nim jechał pan Ludwik na karym arabie, którego musiał nakoniec przyjąć w podarunku od pana Sulistrowskiego, za niemi liczna gromada towarzyszy, i nakoniec masztalerzy.

Przejechawszy tak oni kilka ulic między ciekawemi widzami, zawrócili się na Trockę i zsiedli przed pałacem pana pisarza litewskiego, rzęsistém oświeceniem wewnątrz jaśniejącym. Za ich tam wejściem zabrzmiała muzyka, a pytającym się na ulicy nieświadomym powodu tej uroczystości, odpowiadali świadomsi — A to dziewiczy wieczór panny starościanki Kapinowieckiej wychodzącej za mąż za pana Ludwika Dowiatta, tego co to jechał na karym koniu.

— Czemu nie? bogata para, mówiono: panna wzięła po śmierci jakiejś ciotki Dulskiej, kilkakroć sto tysięcy, a panu młodemu stryjaszek mecenas trybunalski, podobno drugie tyle odliczył. Radziwiłł zaś przyjął tę wspólną summę i dał obojgu za bezcen w zastaw wielkie dobra w Słuczczyznie; on to bo podobno zeswatał to małżeństwo.

Już się zciemniało; tłum patrzący z ulicy w okna drugiego piętra, rozszedł się nakoniec, gdy kompania liczna w salonach raptem się do okien zbiegła—

bo pod niemi na ulicy zaśpiewano kilkunastu dobranemi głosami, w których dyszkant celował:

„Zakładajcie konie kare!
I CHÓREM: „Złącz Boże tę parę!
„Zakładajcie konie gniade!
I CHÓREM: „Do ślubu niech jadą!
„Zakładajcię konie siwe!
I CHÓREM: „Daj Boże szczęśliwie! (*)

(*) Dawne weselne sztrofki.

KONIEC POWIEŚCI.

ZAKOŃCZENIE OBRAZÓW LITEWSKICH.

Dopisawszy ostatniej kartki tego tomiku kończącego moje Obrazy Litewskie, złożyłem pióro... i spójrzałem na cały ich zbiór z zadowolnieniem obejmującém zwykle każdego pracującego, po ukończeniu pracy. Z rozrzewnieniem i wdzięcznością, myśliłem o pobłażliwem przyjęciu przez ziomków, téj mojej dla nich ofiary, i tkliwém, a jakby ostatniém wspomnieniem żegnałem się ze snującemi się po mojej wyobraźni osobami, pod których to opieką, to wpływem, pielęgnowała się niegdyś młodość moja, i których z za grobu, po kolei do siebie wzywałem na wzory cnót i obyczajów ojców naszych, mających być przykładem nam i potomkom....

Lecz czyliż pisma te moje, dójdą rąk potomków? Czyliż mają dość wartości i wdzięku, aby odpowiedziały pospolitemu głodu *utile dulci* (*), ale najwłaściwszemu każdej podobnej xiążce, i zapewniającemu jej długotrwałą między ziomkami pamiątkę? Czyliż trafię do serc wszystkich? Wszystkich!.... to niepodobna! do serc przynajmniej wybrańszych, niezarażonych wpływem mętnych idei, i takich, którym cnoty naddziadów, ich wiara i prostota miłe są i drogie; którzy je pielęgnować we własnych sercach pragną, i którzy pojmą i uczują, że pisząc te obrazy, za każdym prawie wierszem, sercam się także swojego radził. Serca, w którém miłość przeszłości poczciwéj, z gorącém życzeniem dobra moralnego dla współczesnych ziomków, ściśle połączone.

(*) Pożytek z przyjemnością.

Ta wątpliwość, to pognębiając moję miłość własną, to na niéj wsparta chyląc się ku nadziei, znużyła niepewne myśli moje, jakby ojca usiłującego odgadnąć przyszłe losy ulubionych swych dzieci. Znużenie to objęło ciało i duszę: piérwsze usnęło, druga nie przestała marzyć jakby na jawie...«

I ujrzałem się w domku mojego dziadka.

Taż sama nizka strzecha, też okna różnoszybne, ten ganek staroświecki i od niego w różne strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa (*). Ten ogródek zakwitły pod oknem w siarczyste gwoździki i nagietki, zdobiące dawniej w niedzielę i uroczystości, głowy wiejskich dziewic i ramy świętych obrazów w pokojach....

Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości jeszcze pochyliło.

Dzień się zniżał ku zachodowi, i w oddaleniu dąwał się słyszeć odgłos dzwonu kościelnego; a bliżej w domku, jakby zaczynane i przerywane znowu tony i słówka dawnych piosnek, to pobożnych, to światowych, których echa odzywały się w przeszłości mojéj, i które pamięć moja i serce kończyły....

A co najbardziej, tenże sam krzyż, pod którym tylekroć z dziadkiem moim, proste a gorące odmawiałem paciorki i pod którym teraz... jego samego ujrzałem!

Siedział na kamieniu w téj postaci, jak go raz ostatni za życia widziałem; oparty na nieodstępnéj swéj podporze, kiju prostym, mosiężną skówką pokrytym, zdawał się życzliwém okiem poglądać na mnie, zbliżającego się ku niemu nieśmiało...

— »Czegoż się trwożysz moje dziecię? rzekł on, »chodź do mnie po dawnemu i usiądź obok, a nie-

(*) Domek mojego dziadka. Serya I-sza.

»spokojne twe myśli zbierz w jedno westchnienie do »Boga, o szczęśliwy skutek usiłowań twoich...

»Czas wielkiéj próby przyszedł na plemię wasze »moje dziecię; zepsucie otacza was zewnątrz i weszło »wewnątrz was, i trawi tam wszystkie wasze cnoty »rodzinne, przy których gdybyście w téj próbie wy»trwali, wyszlibyście z niej z niepokalaną duszą, »czystą i usposobioną do wszelkich odmian i wypad»ków, jakie czas spełniający przeznaczenie Boskie, »na ten świat sprowadza!

»Dla czegoż ten domek mój, w którym cię wypie»lęgnowałem, stoi dotąd mocno i trwale? bo go na »dawnych i odwiecznych fundamentach postawił; bo »ich nie wyruszyłem z głębi ziemi, do któréj wrosły; »bo ich nie zastąpiłem kruchą i niewytrawioną gli»ną, któraby się już dawno rozsypała i domekby »mój upadł!

»Wieki i lata przemijają moje dziecię, a w nich zmie»niają się myśli ludzkie, zamiary, postanowienia, nadzie»je i losy... Ale są rzeczy i zasady, które się nigdy »zmienić nie mogą, których płoche usiłowania ludzkie »nie wzruszą; bo one są pod opieką Ducha Bożego, który »jest duchem prawdy wieczystéj i nieodmiennej. Które»go my wyznając i wielbiąc w szczerości serca i du»szy, prostaczkowie w porównaniu z waszem rozu»mném pokoleniem, nie odstępowaliśmy właśnie tych »odwiecznych zasad jego mądrości danych ludziom, »dla ich prawdziwego tu na ziemi i tam w niebiosach »szczęścia. Nie poniewierajcie więc przykładami na»szemi. W doskonałości waszéj coraz jakoby wyż»széj, którą się chlubicie, nie zapominajcie że my, »w gorliwej wierze naszej, w cnotach z niej wypły»wających, to jest, w miłości powszechnej i brater»skiéj między sobą, w skromnej mierności i prosto»cie domowego pożycia, a w szlachetnéj prawości »postępków, znajdowaliśmy tę swobodę i spokojność »umysłu;—w biédach i przygodach, to zaufanie w opiekę »i wolę Boską, jakich wy, w głębokich dociekaniach

»waszych i w wątpliwém mędrkowaniu, nigdy nie znajdziecie!...

—Ot co jest! prawda panie strażniku dobrodzieju, ot co jest!...

Zwróciłem oczy i ujrzałem stojącego obok, znajomego mi opisanego w Pamiętnikach Kwestarza, X. kustosza bernardyńskiego.

—»Wy zaś *skryptorowie*, mówił dalej dziadek »mój, którzyście przedsięwzięli nauczać ziomków wa»szych, i którzy bronicie pamięci, obyczajów i przy»miotów naszych; stójcie, jak dawniej my szlachta »na granicy dyfferencyi, aby napastnik i uzurpator »ani kroku za nią nie stąpił. Stójcie i strzeżcie tak, »aby obca, zła i niechrześcijańska zaraza, nie wspo»mogła się coraz nowemi posiłkami i nie wyrugowa»ła do reszty z serc wszystkich, rodzinnej poczci»wości waszej. A póki skryptury i xięgi wasze, z ta»ką miłością czułą i serdeczną, i z takiém życzeniem »dla braci waszych pisać będziecie, z jakiemi stary »dziadulek naucza katechizmu swoje małe wnuczęta »i broni je od zgorszenia; z jakiemi naprzykład ja ciebie nauczałem — póty nie lękajcie cię Zoilów: bo

„Nie zginie wiecznie żywa
„Święta Chrystusowa wiara!
„Nie zginie mądrość prawdziwa,
„I poczciwość nasza stara!" (*)

ot co jest! prawda! ot co jest! odezwał się kustosz... i ja się ocknąłem.

(*) Godło z piérwszéj Seryi.

Koniec piątéj Seryi Obrazów Litewskich.

Spis Rozdziałów.

Stronica.

